

# NA POKUSZENIE

A hand with red-painted nails holds a vibrant red apple. A snake with a patterned body is coiled around the apple. The background is a dark, textured surface with scattered autumn leaves in shades of orange and red.

K.C.  
HIDDENSTORM

*Pożądania to pragnienia przerastające potrzeby.*

K.C.  
HIDDENSTORM

NA  
POKUSZENIE



## **Strona redakcyjna**

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Beata Kostrzevska*

Redaktor prowadzący: *Grażyna Muszyńska*

Redakcja techniczna i skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Karolina Czerkas, Barbara Milanowska (Lingventa)*

Grafika w tekście Designed by macrovector/Freepik © by K.C.

Hiddenstorm © for this edition by MUZA SA,

Warszawa 2023

ISBN 978-83-287-2716-8

Wydawnictwo Akurat

Wydanie I Warszawa 2023

## **Spis treści**

PROLOG

CZĘŚĆ PIERWSZA

na tropie czegoś wielkiego.  
pragnienia nieodkryte

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16

CZĘŚĆ DRUGA

opadają maski. kłamstwa ujawnione

1  
2  
3  
4  
5  
6  
7  
8  
9  
10  
11  
12  
13  
14  
15  
16  
17  
18  
19

EPILOG  
OD AUTORKI



## PROLOG



### NA IMIĘ MI OBŁĘD

Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam w Maskaradzie takie pustki.

Sądziłam – mylnie, jak widać – że większość ludzi, podobnie jak ja, tęskni za latami osiemdziesiątymi, nawet jeśli pamiętają je tylko ze starych filmów. Cóż, nawet jeśli rzeczywiście tęsknili, to tej nocy przestali.

– Hej! – Odskokczyłam w ostatniej chwili, zanim facet niosący metalową beczkę mnie staranował. – Uważaj, jak chodzisz!

Mężczyzna – nie, właściwie jeszcze chłopak – mruknął coś pod nosem, ale się nie odwrócił. Aha, słuchawki w uszach. No dobra, nie żebym go winiła. Był piątek wieczór, a on harował w podłej robocie. To samo z siebie potrafiło być wkurwiające.

Choć obiecałam sobie, że nie będę, sprawdziłam komórkę i upewniłam się, że nikt mnie nie wzywa. A potem spróbowałam wreszcie przestać...

być w pracy. Wciągnęłam w nozdrza zapach tego miejsca, dymu zmieszanego z kurzem i metaliczną wonią elektryczności. Zlustrowałam pociągnięte granatową farbą ściany oraz błękitne i różowe neony ułożone w przemyślane wzory – niby wszystko było tak samo, a jednak nie mogłam się pozbyć wrażenia, że coś jest inaczej. Cholernie nie lubiłam tego odczucia. W końcu uznałam, że przez dramatyczny niedobór klienteli lokal

wydaje się większy, i zakończyłam temat. Nie chciałam świrować, to w końcu mój wolny dzień, na litość boską.

– Piwo – zwróciłam się do barmana. – Bezalkoholowe.

– Pamiętam – westchnął. – Przychodzisz tu dość często.

Położyłam banknot na kontuarze.

– No i?

Zerwał kapsel i przesunął butelkę w moją stronę, drugą ręką płynnie zgarniając forszę.

– No i zawsze zamawiasz bezalkoholowe. To jakiś sprawdzian woli?

Napiłam się, mierząc tego wielkiego, barczystego faceta spojrzeniem spod przymrużonych powiek. Od jego tysej głowy odbijał się blask neonów.

– Wyglądam ci na nawróconą alkoholickę?

Rozejrzał się teatralnie, po czym wychylił się ponad kontuar.

– Szczerze? Raczej nie.

Powtórzyłam jego gest i również się przysunęłam.

– Więc o co chodzi?

Zbliżył się jeszcze odrobinę, tak że teraz wyraźnie widziałam jego głęboko osadzone oczy. Miały nietypową barwę – nie całkiem szare, ale i nie do końca zielone.

– To dobre miejsce, żeby się rozerwać – powiedział ściszym głosem.

– Zrobić coś więcej, niż tylko biernie patrzeć.

– Dlaczego szepczemy? – zapytałam.

– Bo on słucha – odparł enigmatycznie, po czym odwrócił się ode mnie.

Jeszcze chwilę gapiłam się na jego szerokie plecy obciążone czarnym podkoszulkiem, po czym dałam sobie spokój i podryfowałam do stolika w głębi. Gdy szłam po obsydianowym, lustrzanym parkiecie, rozbrzmiewał

przyjemny stukot. Rozparłam się na wściekle różowej kanapie i zajęłam –

dokładnie tak, jak wytknął mi barman – obserwowaniem tych nielicznych gości, którzy przyszli zwabieni klimatem miejsca. Okej, chyba powoli zaczynałam łapać, dlaczego teraz było ich niewielu.

Na prawo ode mnie przeparadowała ładna brunetka w przepasce na czole i sukience żywcem wyjętej z lat dwudziestych. Trochę dalej jakaś dziewczyna, prawdopodobnie kelnerka, powitała mnie złotymi latami pięćdziesiątymi. A więc to była kostiumowa noc, tylko najwyraźniej nikt nie ustalił tematu przewodniego. Zerknęłam na swój wystający spod wiatrówki podkoszulek i odciągnęłam go od ciała. Bardziej się nie przebrać już się chyba nie dało.

Dopiłam piwo i obrałam kurs na łazienkę. Byłam ciekawa, jakiego rodzaju będzie to impreza, i uznałam, że jeśli mi nie siądzie, zwyczajnie zmyję się po drugim bezalkoholowym. Pchnęłam drzwi i na moment przystanęłam. Na pokrytej białymi kafelkami ścianie ktoś napisał: Wolność znajduję tylko w tym, co robię, Modlę się do bezbożnego Boga, Gniew jest wszystkim, co mam.

Litery były czerwone, co mimowolnie nasuwało skojarzenia z krwią, szczególnie przez zacieki z farby. Ale to w samej wiadomości było coś upiornego. Wzdrygnęłam się, skorzystałam z toalety, a potem, starając się omijać wzrokiem napis, pośpiesznie wyszłam na korytarz. To było jedno z tych irytujących złudzeń optycznych, bo litery obserwowane kątem oka

zdawały się falować, przeistaczać. Strach pomyśleć, co bym zobaczyła, gdyby to piwo jednak zawierało procenty.

Wróciłam na swoje miejsce z kolejnym bezalkoholowym. Barman podał mi je bez słowa, nie musiałam nawet nic mówić. Przyjemny facet.

Miałam nadzieję, że nie wpadł na pomysł, żeby podkreślić je czymś, co pozwoliłoby mi „się rozerwać”. Nie potrzebowałam tego rodzaju gówna.

Przychodziłam tu głównie dla muzyki jak chyba większość ludzi.

Zarzuciłam nogi na kanapę i odchyliłam się na oparciu, niespiesznie sącąc piwo. Z głośników płynęło *Back Door*[1], a ludzie rzeczywiście zaczęli się schodzić. I nie wiem, jakim cudem, ale okazało się, że jestem jedyną osobą, która przeoczyła wzmiankę o kostiumach. Nie żebym miała zamiar w jakimś przyjść, po prostu dziwiło mnie, że nie widziałam wcześniej ani jednej ulotki ani nic. A nie należałam do mało spostrzegawczych osób, to by się kłóciło z moim zawodem. Nawet ten czarnowłosy facet przy barze wiedział. Przysiadł na jednym ze stołków wbity w taki wytworny smoking, jaki mógłby nosić, gdyby czasy jego młodości przypadły jakieś sto lat temu.

No właśnie. Ten facet.

Odstawiłam butelkę na stolik i wychyliłam się do przodu. Znałam go skądś, na pewno. Wprawdzie teraz widziałam tylko jego niepełny profil, ale wrażenie było silne. Kim był? Nie miałam pojęcia, ale czułam, że ta wiedza krąży gdzieś koło mnie. Nie mogłam jednak jej pochwycić.

Kim jesteś? Kim jesteś, do cholery? Aresztowałam cię kiedyś?

Przesłuchiwałam? A może robiłeś za adwokata któregoś z tych dupków?

Kim jesteś, sukinsynu? Jestem pewna, że gdzieś cię widziałam. Zrób coś, żebym przypomniiała sobie gdzie. Zdradź się jakimś gestem...

Potrząsnęłam głową. Wystarczy. Nieważne, kim mógł być ten gość, ponieważ nie byłam, kurwa, na służbie i powinnam wreszcie wyluzować.

Może znałam go z widzenia, a może nie. Nieistotne. Nie w tej chwili.

Pociągnęłam hojny łyk tej bezalkoholowej lury, wkładając wzmożony wysiłek w to, żeby jednak się wyluzować.

Nie wyluzowałam się.

– *Mam cię pod skórą*[2] – popłynęło z głębi Sali. Subtelny, zmysłowy głos mimowolnie przyciągał uwagę. – *Mam cię głęboko w sercu. Tak głęboko w sercu, że tak naprawdę jesteś częścią mnie.*

Spojrzałam w tamto miejsce i zamarłam. To przypominało sen, zwłaszcza sposób, w jaki ludzie się rozstąpili, ukazując solistkę w pełnej krasie. Reflektor oświetlał ją od góry białym światłem, eksponując każdy szczegół z porażającą precyzją. Wrażenie było tak samo upiorne, jak w przypadku tego dziwaczного napisu w toalecie, tyle że znacznie silniejsze.

Patrzyłam na kobietę łądząco do mnie podobną. Patrzyłam na... samą siebie. Rysy, gestykulacja, sylwetka, włosy – wszystko się zgadzało.

Chociaż nie, rysy wydawały się nieco bardziej drapieżne, a włosy ułożone zostały w misterne fale, takie, jakie nosiło się na początku zeszłego wieku.

A kiedy się uśmiechnęła... Miała nieco zbyt dużo zbyt ostrych zębów. Była i zarazem nie była mną. Nie potrafię opisać tego tak, żeby miało sens, ponieważ w tamtej chwili nic go nie miało.

– *Próbowałam się nie poddawać* – śpiewała, zmysłowo kołysząc biodrami. – *Ale dlaczego miałbym próbować się opierać, kiedy, kochanie, wiem tak dobrze, że jesteś częścią mnie.*

Kiedy popatrzyła prosto na mnie, prawie się zachłysnęłam. Dostrzegła moją rekcję, która wyraźnie ją rozbawiła. Powoli przesunęła ręką po statywie lampowego mikrofonu. Jej pociągnięte czarnym lakierem paznokcie wyglądały na długie i ostre.

– *Mam cię... pod skórą.* – Uniosła prawą dłoń i przejechała palcem po gardle. Paznokcie rozciął ciało, z tętnicy momentalnie buchnęła krew. –

*Jesteś częścią mnie.* – Przycisnęła dłoń do szyi, a potem z satysfakcją spojrzała na unurzane w szkarłacie opuszki i znów się do mnie uśmiechnęła. – *Mam cię... pod skórą.*

Mimowolnie powtórzyłam ten gest i kiedy popatrzyłam na swoją rękę, próbowałam krzyknąć, ale nie dałam rady. Krew zalewała mi przelyk, spływała po palcach. Krew z mojego poderżniętego gardła.

Chwyciłam się krawędzi stołu, ale nie udało mi się wstać. Nogi ugięły się pode mną. Świat zakółsał się i wywrócił na lewą stronę. Zalała go czerń.

*Mam cię pod skórą.*



*Mam cię... pod skórą.*

*Tak, jesteś częścią mnie.*

Otworzyłam oczy, ze świstem wciągając powietrze. Czoło lepilo się od potu, moja dłoń kurczowo zaciskała się na krtani. Dyszałam, jakbym miała za sobą morderczy bieg, a serce tłukło mi się o żebra. Zamrugałam. Potem znowu. Dobre dwie, trzy sekundy zajęło mi zrozumienie, że patrzę na ścianę swojej własnej sypialni.

To był sen.

To był tylko sen.

Spojrzałam na rękę, upewniając się, że nie ma żadnej krwi, a potem chwyciłam się krawędzi materaca i podniosłam z podłogi. Nie pierwszy raz zdarzyło mi się spaść z łóżka. Tego rodzaju sen, nawiasem mówiąc, także nie stanowił żadnego novum. Ale doprowadzał mnie na skraj paniki za każdym razem, ponieważ był tak boleśnie realny.

Zerknęłam na swoje dłonie – drżały – a następnie skierowałam wzrok na leżącą na nocnej szafce broń i odznakę. Zabraliby mi je, gdyby wiedzieli, że mam tak ciężkiego świra.

Odebraliby mi wszystko.

# **CZĘŚĆ PIERWSZA**

## **NA TROPIE CZEGOŚ WIELKIEGO. PRAGNIENIA NIEODKRYTE**

*Biada temu, kto wraca pamięcią do samotnych godzin  
w potężnych, ponurych komnatach.*  
H.P. LOVECRAFT, WYRZUTEK

# 1



Za dnia łatwo było nie pamiętać o koszmarach, nawet tych najkrwawszych. Wiedziałam jednak, że wrócą, zawsze wracały. Istniało ryzyko, że kiedyś dokumentnie od nich zeświruję, ale po co się tym martwić? Najgorsze, co można zrobić z własną psychozą, to dodatkowo ją zaogniać. Wolałam raczej skupić się na pracy. No, może niekoniecznie dokładnie w tej chwili, ale ogólnie.

Teoretycznie obiecałam sobie, że pojedę prosto do mieszkania, ale teoria ma to do siebie, że potrafi znacząco różnić się od praktyki. Dlatego kiedy usłyszałam wezwanie przez radio, byłam gdzieś w połowie drogi zupełnie donikąd. Nie namyślałam się długo, właściwie to wcale. Nazwisko podejrzanego odpaliło wszystkie alerty w moim mózgu. Kevin Reynolds, niech go szlag. Chwyciłam mikrofon, wcisnęłam przełącznik nadawania i powiedziałam: – Tu dwunastka, skurwiel jest mój.

Radio wydało z siebie serię trzasków, następnie odezwała się dyspozytorka.

– Odmawiam, dwunastka. Jesteś za daleko. Podejrzany kieruje się na południowy wschód, mam tam dwa patrole.

– Sprecyzuj „tam”.

– Są bliżej niż ty. Wystarczy?

Mnie z pewnością nie. Zresztą, Jezu, dwa patrole? Mogła mieć ich i ze dwadzieścia, a Reynolds i tak ich kiwnie.

– Raz już zwiął i zwieje wam znowu.

– Nam? Dwunastka, blokujesz...

– Jest mój – powtórzyłam. – I będę tam pierwsza.

– Dwunastka, odmawiam. Nie jesteś nawet na służbie!

– Ja zawsze jestem na służbie – warknęłam i odwiesiłam mikrofon.

I tak w dalszym ciągu słyszałam jej pieprzenie, ale to nic. Przy okazji podawała aktualne współrzędne podejrzanego, a o to mi przecież chodziło.

Wbiłam w GPS trasę, którą Reynolds uciekał, następnie szarpnęłam kierownicą i zjechałam na sąsiedni pas. Jeżeli pojedę obwodówką, na której jakimś cudem nie będzie korków, powinnam dorwać sukinsyna. Miałam co do niego pewne przeczucie. Ludzie działają według wyuczonego wzorca, a Reynolds nie był wyjątkiem. Poza tym to ja przyskrzyliłam go pierwszy raz, nie cholerna drogówka. I jeśli komuś miało się to udać teraz, to właśnie mnie. Ponieważ wiedziałam, jak myśli ktoś taki jak on.

– Drugi raz nie uciekniesz – mruknęłam, zerkając na GPS.

– Blokada na trasie I-80, powtarzam, blokada na trasie I-80 – obwieściła dyspozytorka.

Kurwa. To nieco komplikowało moje plany. Reynolds na pewno nasłuchiwał policyjnej częstotliwości i w tej chwili dowiedział się tego samego, co ja. Zmieni trasę, pomyślałam i w tym momencie dyspozytorka

odezwała się ponownie: – Podejrzany kieruje się na północny zachód.

Powtarzam, podejrzany kieruje się na północny zachód.

Tak, bo teraz naprawdę miał już tylko jedną możliwość ucieczki.

Z całej siły wdusiłam hamulec i chevrolet zatrzymał się z piskiem opon.

Przepuściłam auto, które minęło mnie, wściekle trąbiąc, i na parę chwil ustawiłam się w poprzek drogi. Tak, dobrze wiedziałam, ile przepisów właśnie złamałam, ale miałam to gdzieś. Idź na całość albo idź do domu, znacie to powiedzenie?

Spojrzałam w lewo i wykręciłam pospiesznie, o milimetry unikając zderzenia z jadącym z tyłu nissanem. Kierowca nie tylko na mnie zatrąbił, ale i – zdaje się – coś wrzeszczał, wymachując ręką. Na szczęście nie płacili mi za słuchanie czegoś takiego. Włączyłam normalne radio i podgłośniłam do oporu, a potem ruszyłam prosto przed siebie. Pod prąd.

Eddie Vedder grzmiał: *W mojej skroni mam bombę, która zaraz eksploduje*[3], a ja wróciłam na drogę, z której wcześniej zjechałam.

Mijałam kolejne samochody, jadąc z coraz większą prędkością. I tak, owszem, wydawało się to niemal samobójczą brawurą, ale w tamtej chwili nie postrzegałam tego w ten sposób. Miałam sprecyzowany cel i zamierzałam go osiągnąć, nie zważając na środki. Byłam skuteczna.

Zawsze. Nieistotne, z czym się to wiązało. Poza tym miałam niezły refleks.

Ekran telefonu wpiętego w uchwyt na desce rozdzielczej migał, sygnalizując przychodzące połączenie. Zerknęłam na niego, ale ostatecznie postanowiłam zignorować. Wyminęłam złotego mercedesa, potem toyotę...

i nagle leciwe kombi przede mną gwałtownie zahamowało. A ja zrobiłam to samo. Akurat w porę, żeby nie rąbnąć w jego przedni zderzak.

– Szlag! – Uderzyłam rękoma w kierownicę. – Szlag, szlag, szlag!

Wyciągnęłam szyję i spojrzałam w dal. Korek. Gigantyczny. Tak na oko ciągnął się na parę kilometrów. A według GPS-u to miały być tylko lekkie utrudnienia. Mogłam tu stać, włączyć policyjne pasmo i słuchać, jak Reynolds znów kiwa gliniarzy, ale nie zamierzałam.

Popatrzyłam w bok, na pas awaryjny, kończący się wyrwą przesłoniętą prowizorycznym zabezpieczeniem i stertą ostrzegawczych flag, a następnie w dół, na niższy poziom obwodówki. Najkrótsza droga prowadziła właśnie tamtędy. GPS mi jej nie pokazał, bo odcinek był wyłączony z ruchu na czas robót drogowych. Sęk w tym, że zajebicie mi się spieszyło. Jeżeli zawieszenie chevroleta wytrzyma, powinnam być w stanie...

Opuściłam szybę i przytwierdziłam koguta do dachu. Odpaliłam syreny i wrzuciłam wsteczny. Któryś ze stojących za mną samochodów cofnął się niewystarczająco sprawnie; słyszałam chrzęst blachy, gdy przeszorowałam mu zderzakiem karoserię. Wjechałam na pas awaryjny, rozpędzając się do pełnej prędkości. Kątem oka widziałam, jak parę głów obraca się w moją stronę. Mogłam postawić dychę, że większość z nich uznała mnie za samobójcę.

Przejechałam ostatni odcinek, pedałem gazu dotykając podłogi.

Wjechałam po niewielkim podwyższeniu... i wyskoczyłam w powietrze.

Czas zwolnił i wreszcie zupełnie stanął, niemal tak, jak pokazują to na filmach. Wypchnięta siłą bezwładności leciałam łagodnym łukiem prosto w dół.

W wyobraźni widziałam, jak kręca się koła chevroleta.

Wokalista Pearl Jam zaśpiewał: *Dawno, dawno temu mogłem się kontrolować. Dawno, dawno temu mogłem się zatracić* ...i mniej więcej przy tych słowach gruchnęłam o znajdujący się paręnaście metrów niżej

asfalt; towarzyszący temu huk na moment zagłuszył muzykę.

Podskoczyłam na fotelu, omal nie przygryzając sobie koniuszka języka.

Mimo to lubię myśleć, że wyglądało to widowiskowo. I prawie takie było. Z naciskiem na „prawie”.

Nie przestawałam maltretować pedału gazu. Chevrolet uderzył w barierkę lewym bokiem, potem odbił w drugą stronę i zerwał prawe lusterko w starciu z furgonetką robót drogowych. Odzyskałam panowanie nad kierownicą, ale ledwo. Ledwo.

Ruszyłam z piskiem opon, pozostawiając za sobą ślad palonej gumy.

Ekran komórki kolejny raz rozjarzył się kolorami i kolejny raz został zignorowany. Naprawdę nie miałam teraz na to czasu.

Przebiłam się przez pozostawione przez robotników blokady. Drewno, przy wtórze upiornego pisku, zdierało lakier z karoserii wozu, podgłośniłam więc radio, żeby tego nie słyszeć. A potem wcisnęłam gaz do oporu.

Za każdym razem, gdy ścigałam podejrzanego, na jakimś poziomie świadomości byłam przekonana, że gonię zabójcę matki. I w jakimś pokrętnym sensie tak było. Dziwnie znajomy głos szeptał, że tym razem będzie inaczej, że się uda. I że jeśli będę jechać wystarczająco szybko, zdołam zmienić przeszłość. Odruchowo dotknęłam miejsca między piersiami, gdzie pod bluzką krył się wisiołek.

*Dawno, dawno temu mogłem kochać siebie.*

*Dawno, dawno temu mogłem kochać ciebie.*

*Kiedyś, kiedyś, kiedyś, kiedyś, kiedyś...*

Przełączyłam radio na policyjne, chcąc zorientować się w sytuacji.

Reynolds wciąż uciekał, co za niespodzianka. Zostawiłam autostradę za sobą, wjeżdżając na dwupasmową drogę, i ruszyłam dalej, do dzielnicy przemysłowej, która lata świetności miała za sobą. Teraz stanowiła raj dla ćpunów i wszelkiej maści bandytów. Takich na przykład jak wspomniany Reynolds.

Wyłączyłam koguta i zastanowiłam się, co bym zrobiła na miejscu tego sukinsyna. Będzie chciał zmienić wóz, ale nie tak od razu. Najpierw spróbuje gdzieś się zaszyć. A ta dzielnica dawała mu szerokie pole manewru.

Na wysokości sąsiedniej ulicy mignęły mi dwa radiowozy – jechały w przeciwnym kierunku, jazgocząc syrenami. Mało to subtelne, ale jeśli wierzyć dyspozytorce, wóz Reynoldsa został porzucony pół kilometra dalej.

Ci dwaj geniusze sądzili pewnie, że zajdą go od tyłu. Wychyliłam się i odnalazłam wzrokiem policyjny śmigłowiec. Wisiał mniej więcej w miejscu, do którego się kierowałam. A więc tam Reynolds nie było.

– Gdzie się schowałeś? – zastanowiłam się.

A potem zaczęłam się rozglądać. Niebawem wkroczą tu psy tropiące, ale facet do tego czasu może już zniknąć. Wiedziałam, co potrafi – raz już to zrobił. Prysnał z aresztu, do którego własnoręcznie go wsadziłam, i zaszył się gdzieś na prawie rok. Miło, że nie zdechł gdzieś potajemnie, bo bardzo chciałam znów go zapuszkować. Tylko tak, żeby tym razem już został w pudle.

Wjechałam w kolejną ulicę, potem równoległą do niej i jeszcze następną. Śmigłowiec krążył w pobliżu, nie widziałam go, ale słyszałam.

Minęłam niski budynek z cegieł, automatycznie odczytując wymalowany czarnym sprayem napis: GNIEW JEST WSZYSTKIM, CO MAM.

Zacisnęłam usta, czując, jak coś ściska mnie w środku.

Radio trzasnęło, następnie odezwała się dyspozytorka: – Podejrzany ucieka w kierunku Union.

Ożywiłam się w sekundę. Union było zaraz obok.

Wycisnęłam z chevroleta tę resztkę mocy, jaka mu jeszcze została, i przecięłam parcelę, która dzieliła mnie od magazynów Union. Samochód wydawał z siebie niepokojący charkot, ale posłusznie sunął naprzód.

Zatrzymałam go i wyskoczyłam na spękany beton. Szłam na lekko ugiętych nogach, po drodze wyszarpując broń z kabury. Odbezpieczyłam ją, jednocześnie skanowałam czteropiętrowy magazyn wzrokiem. Okna na parterze były zabite deskami, podobnie drzwi. A nie, poprawka. Dwie deski przesłaniające wejście wyglądały na połamane.

– Mam cię.

Nie podążyłam tą samą drogą, którą wszedł Reynolds. Może stał tam i tylko na mnie czekał, może nie. Może miał broń, a może nie. Dyspozytorka milczała na ten temat, a ja nie planowałam sprawdzać. Okrążyłam budynek, weszłam na rampę załadunkową, stamtąd na skrzynki i wdrapałam się na piętro. Nie musiałam wybijać szyby w oknie, ktoś dawno temu zrobił to za mnie. Wślizgnęłam się do środka i wyładowałam na stosie śmieci.

Zlustrowałam pomieszczenie, następnie opuściłam wzrok. Podłoga była zakurzona, nie dostrzegłam jednak świeżych śladów. Trzymając przed sobą gotową do strzału broń, wyszłam na korytarz.

I nagle usłyszałam pojedyncze „brzdęk”.

Puściłam się pędem w kierunku dźwięku. Poły rozpiętej wiatrówki łopotały wokół mnie. Słyszałam dolatujący z oddali lament syren. Faceci, którzy wejdą tu po mnie, będą mieli na sobie kamizelki kuloodporne. Ja miałam nieco mniej szczęścia. Ale tak czy inaczej sukinsyn był mój.

Pewnie, chodziło nie tylko o dawne porachunki, ale i o chorą ambicję. Nie bałam się do tego przyznać.

Skręciłam za róg, przeskoczyłam nad wybebeszoną paletą spleśniałego papieru i ruszyłam dalej. Teraz już słyszałam tego skurwiela bardzo wyraźnie. A w następnej chwili go zobaczyłam. Biegł w kierunku schodów.

– Reynolds, stój! – zawołałam.

Ktoś z was naprawdę sądził, że mnie posłuchał? No właśnie.

– Zmuś mnie, suko!

Dzieliło nas kilkanaście metrów. Wycelowałam pistolet mniej więcej w jego nogę, ale spudłowałam. Nie odpowiedział ogniem, a więc albo nie miał broni, albo czekał na czysty strzał.

– Stój! – powtórzyłam.

Odpowiedź Reynoldsa stanowił drwiący śmiech.

Wbiegłam za nim na schody. W tym momencie byłam całkowicie odsłonięta i Reynolds to wykorzystał. Posłał w moim kierunku trzy, nie, cztery strzały. Ostatni na

tyle blisko, że rozerwał mi rękaw kurtki. Być może również mnie drasnął, ale nie miałam czasu się w to zagłębiać.

Padłam na ziemię i wystrzelałam pół magazynka w kierunku faceta.

Mierzyłam nisko i któraś z kul dosięgła celu. Usłyszałam głuchy łomot, a następnie stłumione przekleństwo.

Nie miałam zamiaru dawać Reynoldsowi czasu do namysłu.

Poderwałam się z miejsca i ruszyłam ku niemu. Gdyby wtedy wpadł na pomysł, żeby wymierzyć we mnie broń... Na szczęście tego nie zrobił.

Prawdę mówiąc, nie mógł. Impet upadku wytrącił mu pistolet z ręki.

– Cześć, Kevin – powitałam go, celując mniej więcej w jego głowę. –

Wybierałeś się dokądś?

Zmierzył mnie wzrokiem, nie krył przy tym nienawiści. Jego prawa noga krwawiła, stopa wyginała się pod nienaturalnym kątem. Nic zagrażającego życiu, ale musiało boleć jak skurwysyn.

– Powinnaś zacząć się malować – powiedział, uśmiechając się wstrętnie. –

Wyglądasz jak lesba.

– Ty nie musisz. I bez tego spodobasz się nowym kumplom. Kto wie, może weźmiesz nawet więzienny ślub?

Spróbował rzucić się w bok, chcąc pochwycić swój pistolet, ale zacmokałam z dezaprobatą.

– Nie wierć się tak, bo palec może mi się omsknąć – poradziłam, podchodząc bliżej.

Tęsknie spojrział w stronę swojego smith&wessona, po czym z ociąganiem cofnął dłoń.

– Zabiłabyś mnie? Jestem nieuzbrojony.

Prychnęłam lekceważąco.

– Litości.

Dźwięk syren był coraz głośniejszy. Oceeniłam, że gliniarze wpadną tu najdalej za dwie minuty. Reynolds także to wiedział. I postanowił wykorzystać ten czas, żeby mnie sprowokować.

– Przyswajasz, że znów prysnę? Jestem jak jebany Houdini.

– Nie przypominam sobie, żeby Houdini gwałcił i zabijał.

Zaśmiał się i zaraz skrzywił. Nagły spazm musiał sprowokować nową falę bólu w przestrelonej nodze.

– Najgorsze będzie to czekanie – podjął, wpatrując się we mnie głęboko osadzonymi oczami. – Oglądanie się przez ramię, sprawdzanie każdego pomieszczenia, zanim do niego wejdiesz. Ale nie znajdziesz mnie, chociaż i tak tam będę.

Nie powiem, korciło mnie, żeby kopnąć go w zranioną kostkę. A jednak twardo stałam w stosownej odległości, takiej, żeby nie był w stanie odwinąć się i szarpnąć mnie za nogę albo wykręcić równie parszywego numeru.

– No popatrz, teraz jakoś cię znalazłam – odparłam.

– Nie da się być czujnym cały czas, w końcu staniesz się nieostrożna.

Wtedy się spotkamy. – Zaśmiał się. – Chciałabyś umrzeć tak jak mamusia?

Słyszałam, że nieźle ją wymęczyli. Stawiam sto dolców, że jej się podobało.

Pewnie piszcziała z zachwyty, kiedy...

Nie dałam mu skończyć. Doskoczyłam do niego i zmiażdżyłam mu chorą nogę. Zawył, ale jego załzawione oczy się śmiały. Chory skurwiel.

Wcisnęłam lufę w miękkie zagłębienie pod jego brodą i kazałam mu zamknąć mordę. Nie, oczywiście, że nie posłuchał.

– Doszła? Jak ci się wydaje? Takie kurwy jak twoja matka podobno dochodzą, kiedy gwałci się je w...

– Zamknij się! – wrzasnęłam. Patrzyłam na niego przez kurtynę chorej czerwieni i ta czerwień niemal odbierała mi zmysły. Byłam na granicy dopuszczenia do głosu dzikiej, potężnej siły. W ustach czułam charakterystyczny miedziany posmak, a krążąca w krwi adrenalina przepalała kolory.

A Reynolds najwyraźniej doskonale się bawił.

– Bo co? Zastrzelisz mnie?

Wbiłam lufę głębiej w jego ciało.

– Masz ochotę się przekonać?

Chciał tego nie dlatego, że pragnął umrzeć, ale by mnie pogrzyżyć. A ja prawie spełniłam jego życzenie.

– Nie zrobisz tego.

– Nie? No to patrz.

Gdzieś za sobą usłyszałam huk, następnie rozległ się tupot wielu par stóp w ciężkich butach. To był dźwięk bez znaczenia, odgłos ze snu. W tym momencie tkwiłam zakłęta we własnej wściekłości. Otaczający mnie świat osobliwie się skurczył.

– Winters! Odsuń się, kurwa, od niego! – ryknął któryś z gliniarzy.

Nie zareagowałam, więc odciągnął mnie siłą. Inny błyskawicznie dopadł do podejrzanego, z tym że – w przeciwieństwie do mnie – trzymał się procedur.

– Co ty odpierdalasz?! – rzucił. Z trudem dopasowałam twarz do nazwiska. Martinez. Facet nazywał się Martinez.

– Tu sierżant Davis. – Drugi glina mówił do nadajnika przypiętego do kurtki. – Potrzebny ambulans. Magazyny Union.

– Nie – zaprotestowałam. – On nie potrzebuje ambulansu.

Znów wam spierdoli.

Martinez rzucił wymowne spojrzenie na powiększającą się plamę krwi przy nodze Reynoldsa.

– Biegać raczej nie będzie.

– Dla pewności przestrelę mu drugą nogę. – Uniosłam broń, ale facet chwycił mnie za nadgarstek.

– Co ty odpierdalasz, Winters?

Wyszarpnęłam rękę.

– Wykonuję swoją pracę.

– Właśnie przestałaś. – Stał tak, żeby przesłonić mi podejrzanego, i odciągnął mnie w tył. – To śmieć i należy mu się czapa – powiedział ściszym głosem. – Ale nie ty o tym decydujesz.

– Szkoda.

– Wynoś się stąd – poradził.

Wzruszyłam ramionami.



– Jak chcesz. Tylko nie płaczcie, jeżeli znów wam zwieje.

Słyszając to, zacisnął szczęki. Wyraźnie miał ochotę coś jeszcze dodać, ale ubiegł go ktoś inny.

– Do zobaczenia, skarbie! – zawołał za mną Reynolds.

Czasem żałuję, że się wtedy nie odwróciłam i nie wpakowałam mu kuli między oczy.

Wyszłam na zewnątrz i dopiero tam zdałam sobie sprawę, że w prawym ręku cały czas kurczowo ściskam broń. Spojrzałam w ślepe oko lufy, schowałam pistolet do kabury i powlokłam się do zdezelowanego chevroleta.

## 2



Chciałabym powiedzieć, że w noc po tym, gdy złapałam Reynoldsa, spałam jak niemowlę, ale to byłoby kłamstwo. Chodziło o koszmary –

głównie – ale nie to moje zwyczajowe świrowanie. Śnił mi się pościg, lecz ten w odróżnieniu od rzeczywistych wydarzeń nie kończył się sukcesem –

Reynoldsowi udało się mnie dopaść, zanim ja dopadłam jego. Drugi powód był nieco bardziej banalny, choć zarazem złowieszczy. Komendant chciał mnie widzieć.

Na posterunku panował tłok. Pojedyncze głosy zlewały się ze sobą, tworząc beładny szum jak w ulu. Stałam na korytarzu, gapiąc się na wyblakły plakat STOP NARKOMANII. I albo to była moja rosnąca w siłę paranoja, albo przechodzący obok gliniarze popatrywali na mnie z... hm, powiedzmy, pobłażliwością. No tak, Martinez pewnie się pochwalił, że chciałam rąbnąć podejrzanego.

Dopiłam kawę, której w gruncie rzeczy nie potrzebowałam, zgmiotłam kubek i cisnęłam go do kosza. Przeszłam przez biuro i stanęłam naprzeciwko drzwi gabinetu komendanta. Zastukałam w nie i nie czekając na odpowiedź, weszłam do środka. Zmierzył mnie mało zachęcającym spojrzeniem. Ubrany był w jedną ze swoich słynnych barwnych koszul, tym razem fioletową. Upstrzone siwizną włosy zostały starannie przycięte, usta i oczy okalała siateczka drobnych zmarszczek. Złota tabliczka na zawalonym teckami biurku głosiła: kom. Andre Stewart.

– Proszę... – wycedził. – Ale widzę, że już weszłaś.

– Chciał mnie pan widzieć.

– Siadaj.

– Mogę? Na pewno?

– Siadaj, Winters!

Stłumiłam uśmiech i opadłam na krzesło naprzeciwko.

– A dziwisz się? – Odłożył długopis i splótł dłonie przed sobą. – Że chciałem cię widzieć?

– Chodzi o Reynoldsa? – spytałam niewinnie.

– O Reynoldsa, o wóz, który rozwaliałaś, o ludzi, których prawie zabiłaś.

Mam wymieniać dalej?

Pokręciłam głową.

– Nie trzeba. A jeśli chodzi o raport...

– Jaki, kurwa, raport?! Nie byłaś nawet na służbie!

No tak, to rodziło pewien problem. Z mojej perspektywy raczej niewielki, ale stary miał na ten temat inne zdanie. Tym bardziej że to nie był

mój pierwszy numer tego rodzaju. Wspominałam, że jestem skuteczna? No właśnie. A to się często wiąże z naginaniem przepisów.

– Skończyłam ją raptem kwadrans wcześniej – skłamałam. Tak naprawdę to były prawie dwie godziny.

Komendant świdrował mnie wzrokiem.

– Nawet nie zaczynaj – warknął. – Już dawno powinienem był cię wylać za niesubordynację.

No dobra, tym razem naprawdę się wściekł. Strach pomyśleć, co by zrobił, gdybym faktycznie stuknęła tego złamasa.

– Komendancie, to Reynolds – wyjaśniłam. – Ten Reynolds.

Steward przewrócił oczami.

– A jest ich więcej?

– Raz go wsadziłam, uciekł. Wczoraj pojawił się znowu. Czy to takie dziwne, że chciałam naprawić to, co zepsuł ktoś inny?

Kaszlnął w zwiniętą dłoń.

– Coś sugerujesz?

– To bandyta. Najgorszy sort. Naprawdę wolałby pan, żeby Reynolds chodził teraz po ulicy?

– Zapominasz, że obowiązują cię procedury.

– Robiłam to, co kazał mi instynkt. To, do czego zostałam wyszkolona.

– Wychyliłam się do przodu i mimochodem zerknęłam na teczki. Jedna leżała otwarta i to właśnie ona przykuła moją uwagę. – Do tego sprowadza się praca policjanta.

– Ale nie do samowolki, Winters. Rozwaliłabyś go, gdyby ktoś w porę ci nie przeszkodził.

A więc Martinez rozpałał wszystkim, świetnie. Coś go bolało czy liczył na premię za bycie szpiclem?

– Przecież go nie rozwaliłam. Nie rozumiem, po co drążymy ten temat.

– Widzisz? To jest właśnie twój problem.

Żeby to jeden, prychnęłam w duchu.

– Jak ktoś taki jak ty w ogóle przeszedł psychotesty?

– Oszukiwałam.

Komendant wbił we mnie mordercze spojrzenie. Jego twarz nie była już tak ciemna jak zwykle, bo teraz przybrała barwę burgunda.

– To cię bawi?

O Jezuu, więc się uśmiechałam. Ze mną naprawdę było coś nie tak.

– Nie, w żadnym razie. – Spuściłam wzrok. – Ja tylko...

– Wiesz, co powinienem ci wpisać w akta? Niesubordynację, narażanie cywili, rażącą lekkomyślność, brawurę i łamanie powszechnie przyjętych norm.

– Zmieniłabym to ostatecznie na podejmowanie decyzji pod presją –

mruknęłam, gapiąc się na swoje paznokcie. – A niesubordynację na indywidualizm.

– Indywidualizm trudno w policji uznać za zaletę.

– A niby jak łapię tych zakapiorów? Odbiegam od norm, dlatego jestem taka skuteczna.

Skrzywił się, po czym ścisnął nasadę nosa kciukiem i palcem wskazującym.

– Udam, że tego wszystkiego nie słyszałem. Że na zewnątrz przeleciał śmigłowiec i zagłuszył twój bełkot.

– Nikt nie zginął – przypomniałam. – Naprawdę moglibyśmy...

Uderzył otwartą dłoń w biurko.

– Ty mogłaś zginąć! Skacząc, kurwa, z kilkunastu metrów służbowym wozem, który zmieniłaś w złom.

– Szczerze? I tak miał iść na...

– Milcz!

Zrobiłam gest, jakbym zapinała niewidzialny zamek błyskawiczny na swoich ustach.

– Już.

Komendant przeciągnął dłońmi po twarzy, po czym odchylił się na oparciu fotela. Dłuższą chwilę wpatrywał się w jakiś punkt za moimi plecami, a ja przezornie postanowiłam mu tej medytacji nie przerywać. I tak nie byłam jego pupilkiem, właściwie nie byłam niczym pupilkiem.

Chyba nawet jakoś szczególnie nie przepadałam sama za sobą... i może właśnie tam leżało źródło problemów. Ale czy to takie ważne?

– Czasem się zastanawiam, czy jesteś tylko beczelna, czy cierpisz na coś w rodzaju degradacji instynktu samozachowawczego.

– Nie ma czegoś takiego.

– Jeśli jest, ty to masz.

Mam też koszmary, które ryją mi głowę, ale kto by się przejmował takimi drobiazgami.

– Dostanę naganę? Do tego sprowadza się ta rozmowa?

Zaśmiał się ponuro.

– O nie. Chciałbym, ale nie.

Poczułam, że się rumienię. Wyglądało na to, że dobry wujek interweniował kolejny raz. Nie żebym go prosiła. Nigdy nie prosiłam. Ale nawet gdybym zakazała mu czegokolwiek, on i tak by nie posłuchał.

Nieposłuszeństwo najwyraźniej mieliśmy w genach.

– Nazwisko Winters otwiera w tym mieście wiele drzwi – wyjaśnił komendant, zerkając na mnie wymownie.

A więc tak, jednak wujek.

– Gdyby moja matka zdążyła wyjść za mąż, miałabym inne – palnęłam.

Na krótką chwilę w spojrzeniu Stewarta dostrzegłam coś, co mogło być litością.

– Twój numer z fruwającym policyjnym wozem przejdzie bez echa – powiedział. – Podziękuj za to burmistrzowi.

Jasne, podziękuję za to wujkowi przy pierwszej lepszej okazji, a coś mi mówi, że długo czekać nie będę.

– Czyli mogę już... – zaczęłam, podnosząc się z krzesła.

– Siadaj!

Potulnie opadłam na siedzenie.

– Nie skończyliśmy rozmowy, Winters.

– Tak jest, panie komendancie.

Stewart rzucił mi jedno z tych swoich złowrogich spojrzeń.

– Rozumiem, że prowadzisz osobistą krucjatę, ale policja to nie twój prywatny plac zabaw. Obowiązują tu pewne zasady, a ty wszystkie je równo zlewasz. Wykopałbym cię – i nie chodzi nawet o burmistrza – ale mimo wszystko jesteś dobra. Moim osobistym zdaniem nawet jedna z najlepszych. – Wymierzył we mnie palec. – Oficjalnie się tego wyprę.

Powstrzymałam uśmiech. Może jednak nie byłam w takiej dupie, jak mi się wydawało.

– Problem w tym, że nawet ci dobrzy spadają na dno – stwierdził.

Oho, i pozytywne wibracje szlag trafił.

– Czy mam rozumieć, że... – odchrząknęłam – że zostanę zdegradowana?

Milczał dobrą minutę, zanim powiedział: – Nie. Nie tak od razu.

Źle, bardzo, kurwa, źle.

– Panie komendancie, z całym szacunkiem, ale Reynolds znowu by uciekł. Znam go lepiej niż inni, poświęciłam mu...

Uniósł rękę.

– Dość. Nie chcę już o nim słuchać. Jesteś dobrym detektywem, Winters, ale potrzeba ci odpoczynku.

– Słucham?

– Wakacje. Jak to dla ciebie brzmi?

– Jak gówno.

– Ujmę to tak: gdyby inny glina odstawiał takie numery jak ty, góra już dawno zażądałaby jego głowy. Masz to szczęście, że ciebie i górę łączą więzy krwi, ale wszystko ma swoje granice. Owszem, istnieją pewne... hm, powiedzmy, okoliczności łagodzące, ale mam pod sobą innych ludzi, nie tylko ciebie. Jeśli nic nie zrobię, wejdą mi na głowę.

Zdmuchnęłam zsuwające się na czoło pasmo włosów.

– Więc zostanę ukarana dla przykładu?

– Nie dla przykładu, sama na to zapracowałaś. Poza tym mówimy o urlopie.

Odpoczynek to nie kara.

– Zależy, dla kogo – burknęłam pod nosem.

– Proszę?

– Powiedziałam: przyjmijmy, że to był błąd żółtodzioba.

– Nie jesteś żółtodziobem, Winters. Prędeż socjopatką.

Spojrzałam prosto na komendanta i się uśmiechnęłam.

– Jestem sumą tego, czym uczyniło mnie społeczeństwo. Ludzie.

Dyskretnie zerknął na zegarek.

– Zostaw takie gadki dla psychoterapeuty – poradził. – Możesz też skorzystać z usług policyjnego psychologa. Będziesz miała na to dużo czasu.

– Ile?

– Dwa miesiące.

– Słucham?! – ryknęłam, podrywając się z krzesła.

Stewart patrzył na mnie z niewzruszoną miną.

– Ochłoniesz, mogłabyś zacząć już teraz, bo jesteś jakaś nerwowa.

Złapiesz dystans, wyluzujesz. Przyda ci się to, Winters. Wyjedź gdzieś, chwyć trochę opalenizny.

Wiedziałam, że jedyne, co złapię, siedząc dwa miesiące na przymusowym urlopie, to ciężki zajob. Nie mogłam tak po prostu odwiesić odznaki i pojechać na cholerną wycieczkę albo zacząć dziergać na drutach.

Policjantem się jest, a nie bywa. Musiałam coś zrobić. Cokolwiek. I nagle wpadł mi do głowy cudowny plan.

– A co, jeśli go przyskrzynię? – Wychyliłam się i postukałam w otwartą teczkę obok łokcia komendanta.

Stewart powiódł wzrokiem za moim palcem.

– Jego? Nathaniela Thorne’a? Ciebie chyba boli głowa.

– Przyniosę dowody jego winy choćby i w zębach. – Coraz bardziej zapalałam się do własnego pomysłu.

– Mówisz poważnie? – zapytał, a potem odrzucił głowę do tyłu i zaniósł się śmiechem. – Powodzenia.

– Przyskrzynię go – upierałam się.

– Wszyscy próbują. Od paru dobrych lat. Nie udało się nam, nie udało się federalnym, dlaczego ma się udać tobie?

Bo jestem najlepsza, to chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język.

– To mogę?

Przemyślał to. Na przemian to łączył, to rozdzielał palce.

– Działasz na własną rękę, jasne? Jeśli się w coś wpakujesz, to będzie wyłącznie twój problem.

– Tak jest.

– Oficjalnie przebywasz na urlopie. Nie chcę wiedzieć, co robisz. Nie chcę cię słyszeć, nie chcę cię widzieć i pod żadnym pozorem nie chcę mieć choćby cienia podejrzeń, że nadużywasz uprawnień.

Mhm, wiedziałam, do czego pił. Czasem prosiłam Petera Andersa, naszego informatyka, o drobne przysługi. Technicznie rzecz biorąc, nie był

gliną, pracował na komisariacie na takich samych zasadach co laska z archiwum, a ja to wykorzystywałam, ślizgając się po prawie i paragrafach.

– Jeżeli chodzi o Petera...

– Zostaw dzieciaka w spokoju, zanim stanie się takim samym degeneratem jak ty. Pierzesz mu mózg, ale to nie moja sprawa. Jeśli jakimś cudem uda ci się doprowadzić do ujęcia Thorne’a, pewnie nawet cię awansuję. No, a jeśli nie... – zamachał ręką, jakby zatrzymywał samochód

– sama rozumiesz.

Rozumiałam. Jeżeli nawalę, zostanę krawężnikiem. Nie miałam pojęcia, kiedy zrobiło się aż tak parszywie, ale wchodziłam tu z nieco większymi nadziejami.

– Facet już praktycznie siedzi – powiedziałam.

Spojrzenie Stewarta wyrażało w najlepszym razie powątpiewanie.

– Ty chyba nie chcesz się zabić, co?

– Nie, czemu?

– Bo się tak zachowujesz. Wiesz w ogóle, na jaki kaliber się porywasz, kim jest Nathaniel Thorne?

– Obiło mi się o uszy.

– Masz. – Podał mi jego teczkę. – Zerknij sobie.

Przekartkowałam akta. Było ich zaskakująco niewiele jak na człowieka podejrzanego o tyle różnych rzeczy, ale to akurat tłumaczyło, dlaczego nigdy nie postawiono go w stan oskarżenia. Oszustwa, wymuszenia, handel bronią, narkotykami, ludźmi, szantaż, morderstwa – można by tym

obdzielić parę osób. Oficjalnie Thorne był prawą ręką Liama Millera, właściciela owianego ponurą sławą hotelu, który szczyił się kasynem owianym jeszcze gorszą sławą. Nieoficjalnie to on dowodził, Miller jedynie robił za figuranta. Swoją drogą, on też miał sporo na sumieniu, ale Thorne go chronił. Jeżeli rozpracuję jednego, prawdopodobnie uda mi się przyskrzynieć obu.

– Całkiem przystojny jak na psychola – oceniłam, przyglądając się fotografii Thorne'a. Prawdę powiedziawszy, wydawał mi się w jakiś mglisty sposób znajomy, ale to pewnie dlatego, że przewijał się przez wydział nie pierwszy raz.

– Się w nim tylko, kurwa, nie zakochaj.

Odłożyłam teczkę na biurko.

– Może mogłabym jeszcze...

– Nie. Zabieraj tyłek i idź na ten swój urlop. To rozkaz. – Stewart przeszył mnie spojrzeniem. – Wiem, że masz w zwyczaju je ignorować, ale tego radziłbym posłuchać.

Przyłożyłam kant dłoni do czoła.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Żadnych numerów, kapujesz?

– Tak jest – powtórzyłam cierpliwie.

Zaczęłam się odwracać, ale mnie zatrzymał.

– Winters, ostatnia rzecz.

– Tak?

– Uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, żeby dowiedzieć się, kto jej to zrobił.

Wykrzesalam z siebie blady uśmiech, choć przyszło mi to z trudem.

Miałam wrażenie, że zimna obręcz ścisła mnie od środka.

– Wiem.

### 3



Wychodząc, wpadłam na Alana Wintersa – burmistrza i mojego wuja w jednej osobie. Było za późno, żeby zwiąć, zdążył mnie zauważyć. Mogłam więc tylko czekać, aż ten szpakowaty mężczyzna o przyjemnej twarzy, na którą chętnie głosowali wyborcy, do mnie podejdzie.

– Cześć – powiedziałam, unosząc dłoń. – Ty tutaj?

– Sprawy zawodowe. – Kiedy mnie przytulił, policzkiem musnęłam jego kaszmirowy płaszcz. Chryste, jakie te rzeczy były miękkie.

– Mhm. Jasne. – Rzuciłam drzwiom tęskne spojrzenie. – Przepraszam, ale muszę już...

Chwycił mnie za rękę.

– Skoro już się widzimy, powiedz, wszystko z tobą w porządku? –

Przyglądał mi się oczami tak podobnymi do tych, które odziedziczyłam po matce.

– W najlepszym – zapewniłam. – Złapałam jednego... Zresztą pewnie słyszałeś.

Nie tylko słyszał, ale i pociągnął za odpowiednie sznurki, żeby ograniczyć wyrządzone przeze mnie spustoszenia do minimum.

– Cokolwiek powiedział ci komendant, ja uważam, że jesteś odważna.

Zupełnie jak Susannah.

Na imię matki coś się we mnie zacisnęło.

– Dzięki.

– Może chciałabyś któregoś razu wpaść na kolację? – zaproponował. –

Nie widzujemy się zbyt często.

Należałoby powiedzieć: „Nie widzujemy się prawie wcale”. Dziwicie mi się?

Rozumiałam, że to nie jego wina, że moja matka zginęła, ale to było po prostu... może nie tyle bolesne, ile niekomfortowe. On wciąż żył, mogłam obserwować podobieństwo brata i siostry w drobnych gestach, mimice i zastanawiać się, dlaczego to ona musiała umrzeć. Tak, zgoda, brzmi jak nieprzepracowana trauma. Tyle że zamiast tracić czas u terapeuty, wolałam znaleźć skurwiela, który ją zabił. Co prawda jeszcze mi się nie udało, ale nie byłam z tych, którzy poddają się tak łatwo.

– Dziękuję za propozycję.

– Ale nie skorzystasz? – odgadł.

– Nie w najbliższym czasie. Mam parę rzeczy do zrobienia.

– To zupełnie jak ja. – Uniósł neseser. – Jednak na kolację z siostrzenicą zawsze znajdę chwilę.

– Odezwę się – zapewniłam kłamliwie. – A teraz naprawdę muszę już...

– Słuchaj, nie miałabyś ochoty zatrzymać się u mnie na kilka dni? – nie dawał za wygraną. Możliwe, że żal po stracie, który u mnie spowodował

wycofanie, jemu kazał być nad wyraz troskliwym wobec jedynej córki swojej siostry.

– Dom za miastem zapewni ci więcej spokoju niż mieszkanie w centrum. Czasem każdy



potrzebuje spokoju, Leah.

Dom to pewne niedomówienie. On mieszkał w cholernej rezydencji.

– To naprawdę miłe.

– Więc skorzystaj.

– Zrobię to. – Kiedyś na pewno.

Kiedy komórka wujka ożyła, uznałam to za dobry moment na ucieczkę.

Pożegnałam się i czmychnęłam na zewnątrz. Wprawdzie nie poszedł za mną, ale przyglądał mi się przez szklane drzwi. Miał taką minę... Czasem chciałabym potrafić czytać w myślach.



Dałam sobie tydzień na przygotowanie. Uznałam, że jeśli ten czas się wydłuży, albo pokombinuję coś, albo się wycofam. Bo wbrew temu, co mówiłam w gabinecie komendanta, wiedziałam, że porywam się z motyką na słońce. Thorne był świrem najgorszego sortu. Nieobliczalny, umoczony w każde możliwe gówno, niebezpieczny, a przede wszystkim nieuchwytny.

Jeżeli chciałam znaleźć coś, co go obciąży, musiałam to rozegrać naprawdę zmyślnie.

I liczyć na cud.

Starałam się przygotować możliwie najlepiej, ale niekoniecznie miałam z czym pracować. Przetrzepałam Internet wzdłuż i wszerz, posiłkując się policyjnym systemem, ale z mizernym skutkiem. Thorne jakby nie istniał.

Lewy numer ubezpieczenia, brak prawa jazdy, nie mówiąc już o czymś tak egzotycznym jak wzmianka o krewnych. Wprawdzie w jego aktach widniała adnotacja, że prawdopodobnie jest cudzoziemcem, ale

„prawdopodobnie” to nie jest słowo, które chce usłyszeć jakikolwiek glina.

Odcisków palców oczywiście też nie było, bo Nathaniel Thorne nigdy nie został zatrzymany. Nie miałam absolutnie żadnego punktu zaczepienia, nic.

Zupełnie jakbym ściagała ducha.

– Dorwę cię, Thorne – mruknęłam, wychodząc z wanny. – Jesteś człowiekiem i krwawisz jak człowiek. Dźgnę cię, jeśli będzie trzeba, i wyślę twoją krew do analizy.

Abstrahując od nieistniejącej tożsamości Thorne’a, uznałam, że drobna zmiana wyglądu mi nie zaszkodzi. Tak, wiem, klisza rodem z filmów akcji,

jednak niektóre klisze powiela się z przyjemnością. Tak więc z pomocą drogeryjnej farby zmieniłam swoje ciemnoblonde włosy w coś, co zgodnie z opisem producenta miało być odcieniem miodowym.

– Nieźle – stwierdziłam, przeglądając się w lustrze.

Przyznaję, przez myśl przeszły mi odwiedziny w gabinecie medycyny estetycznej, ale odrzuciłam ten pomysł. Przekombinowane, niepotrzebne, kretyńskie. Nie byłam postacią medialną, moje zdjęcia nie pojawiały się w gazecie. Nie pracowałam też w drogówce – w każdym razie jeszcze nie –

więc ryzyko, że Thorne albo któryś jego człowiek mnie skojarzy, bo wlepiłam mu mandat, wynosiło zero. Zresztą, Jezu... przygotowałam tyle różnych bajeczek na każdą możliwą okoliczność, że wyłgałabym się, nawet jeśli ktoś nakryłby mnie na próbie przywłaszczenia sobie żetonów. Nie żebym to planowała, to tylko przykład.

Wysuszyłam włosy i jeszcze raz przejrzałam się w lustrze. Spoglądała na mnie szczupła laska, raczej średniego wzrostu, niebrzydka. O ciemnych oczach osadzonych w owalnej twarzy, zgrabnym nosie i ładnie wykrojonych ustach. Byłam przed trzydziestką, a za sprawą rozjaśnionych włosów zyskałam coś w stylu dziewczęcej

delikatności. Albo wmówiłam sobie, że tak jest. Czy wyglądałam jak glina? Nie. Ale makijaż nie będzie wcale złym pomysłem. I ciuchy – jakieś bardziej kobiece. Tak, to też nie zaszkodzi. W zasadzie została mi tylko jedna rzecz i mogłam zaczynać przedstawienie.

Chwyciłam telefon i zadzwoniłam na recepcję Czerwonego Barona.

Odstawiłam teatrzyk w stylu „zdesperowana laska szuka pracy”. Moja rozmówczyni łyknęła to bez problemu. W następnej kolejności wybrałam numer naszego informatyka, drugą ręką wyciągając kosmetyczkę z szafki.

Nie malowałam się zbyt często, ale większość tych kosmetyków powinna się wciąż do czegoś nadawać.

Usłyszałam całe cztery sygnały, zanim kumpel odebrał.

– Cześć, Leah – powitał mnie.

– Cześć – powiedziałam, przyciskając komórkę policzkiem do ramienia.

– Masz chwilę?

– Na pewno nie tak długą jak ty, pani na dwumiesięcznym przymusowym urlopie.

– Wieści aż tak szybko się rozchodzą czy znów grzebałeś w aktach, w których nie powinieneś?

Cisza, jaka zapadła na linii, wystarczyła mi za odpowiedź.

– Nieważne. I tak byś się dowiedział – stwierdziłam, otwierając kosmetyczkę.

– Taa, zauważyłbym, że nie przychodzisz do mojego sanktuarium.

– Słuchaj, Pete – obejrzałam antyczny tusz do rzęs i wrzuciłam go do umywalki – potrzebne mi dokumenty. Te specjalne dokumenty.

– Nie chcę wiedzieć, po co?

– Absolutnie nie.

Z głośnika dobiegło przeciągłe westchnienie.

– Jeśli mam być szczerzy, chyba mi się to nie podoba. Pakujesz się w kłopoty.

– My, rozrywkowi ludzie, nazywamy to przygodą.

– Mówię poważnie.

– Ja też. Potrzebne mi dokumenty.

Pete uraczył mnie kilkusekundową pauzą.

– Będę tego żałował?

– Jeśli odmówisz, tak.

Rozległo się kolejne udręczone westchnienie.

– Znasz to powiedzenie, że nie ma nic za darmo?

Ściągnęłam zatyczkę z eyelinera i przesunęłam flamastrem po skórze.

Działał jak nowy.

– Pijawa z ciebie, Pete.

– Dam ci rabat. – W tle słyszałam stukanie klawiatury. – Albo możemy skoczyć na piwo do twojego ulubionego baru.

Facet potrafił robić interesy, nie powiem.

– Żaden problem.

– Na kiedy chcesz te dokumenty?

– Na wczoraj. – Podkład cisnęłam w ślad za tuszem do rzęs. Chyba jednak będę musiała się wybrać na zakupy.

– Przyjdź jutro. Może będę coś miał.

- Dzięki, Pete. Jesteś najlepszy.
- Wiem.
- W takim razie do ju...
- Hej, chcesz wybrać sobie imię?  
Zastanowiłam się.
- Nie, zrób mi niespodziankę.
- Pete się zaśmiał, a ja zaczęłam żywić obawy, że mogę tego żałować.
- Jak sobie życzysz. Do zobaczenia.



Sądzę, że każdy w mniejszym lub większym stopniu oczekuje, że w pewnym momencie pojawi się ktoś, kto weźmie nas za rękę i powie, że całe dotychczasowe życie było tylko nieporozumieniem, czymś w rodzaju fatalnej pomyłki i oto wreszcie nadeszła pora, żeby wracać do domu.

Najczęściej jednak tak się nie dzieje. Dlatego ludzie doszli do perfekcji w zagłuszaniu tego pragnienia. Stąd biorą się prochy, wóda, ryzykowne znajomości i jeszcze bardziej ryzykowne miejsca. Najgorsze z nich –

Czerwonego Barona – stworzył Nathaniel Thorne. A ja miałam zamiar nie tylko przekroczyć jego próg, ale i zostać tam w charakterze pracownika. Bo jak się bawić, to na ostro.

Czy się bałam? Nie, nieszczególnie. To było raczej coś w rodzaju niezdrowej ekscytacji. Wyciągnęłam prawo jazdy z torebki i rzuciłam na nie okiem. Michelle, takie imię wybrał dla mnie Pete. Michelle Becker.

Przyznaję, bałam się, że będzie gorzej. Prawo jazdy też wyglądało zawodowo. No ale przecież nie poszłam z tym do amatora. Gdyby komendant wiedział, jaką robotę kręci na boku jego informatyk, pewnie przegrzałyby mu się styki. Albo – co chyba jest nawet bardziej prawdopodobne – doszedłby do wniosku, że to moja wina.

– No dobra, Michelle – powiedziałam, obracając wsteczne lusterko tak, żeby zobaczyć swoją twarz. Teraz, w mocnym makijażu, prawie nie przypominałam siebie. – Zaczynamy przedstawienie.

Wysiadłam z wozu i obciągnęłam sukienkę. Obrzuciłam wzrokiem Czerwonego Barona – potężną budowlę, która bardziej pasowałaby raczej

do Vegas – i ruszyłam w jej kierunku. W chodzeniu na szpilkach miałam wyraźne braki, ale istniała szansa, że facet na bramce po prostu uzna, że jestem lekko upośledzona.

– Zaproszenie. – Barczysty typ w rozmiarze wiekowej sekwoi zagroził mi drogę. Ubrany był w elegancki garnitur, w uszach pobłyskiwały mu brylanty. Dłonie miał wielkie jak bochny, położyłby mnie jednym ciosem.

– Nie mam, to znaczy... Jestem umówiona na rozmowę w sprawie pracy. Dzwoniłam niedawno. Dostałam informację, że mogę przyjść.

– W sprawie pracy? – Przekrzywił głowę. Sprężyna biegnąca od słuchawki w jego uchu rozszerzyła się odrobinę. – Nazwisko.

– Becker.

– Dokumenty. – Wyciągnął rękę.

Podaliśmy mu lewe prawo jazdy. Oglądał je tak długo, że zaczęłam się pocić. Byłoby kiepsko, gdyby coś poszło nie tak już na tym etapie.

– Wchodzisz, korytarzem na prawo, a potem na lewo. Zapamiętasz?

Oho, blond robił swoje. Dla tego dryblasa byłam żywym stereotypem.

– Jasne. – Dałam krok do przodu, ale nie pozwolił mi wejść.  
– Najpierw to obejrzę. – Wyrwał mi torebkę i zaczął w niej grzebać.  
Nie wpadłam na pomysł, żeby schować tam broń. Nie byłam kretynką.  
– W porządku. – Oddał mi rzeczy. – Możesz iść. W kasynie pytaj o Terry'ego.  
Kiwnęłam głową, a potem wkroczyłam do środka. Z miejsca otulił mnie przyjemny, jakby lekko piżmowy zapach. Podłogi i ściany obszernego lobby wyłożone były ciemnym marmurem, który przełamowały złote akcenty.  
– Dzień dobry – powitał mnie mężczyzna za kontuarem. Nie wydawał się tak rosły jak ochroniarz, ale również miał na sobie garnitur. – Czym mogę służyć?  
– Ja w sprawie pracy. – Uśmiechnęłam się. – Wiem, którądy mam iść, dziękuję.  
Czułam na sobie jego wzrok, kiedy skręcałam za filar. Pewnie zastanowiło go, dlaczego tak nieporadnie kuśtykam w tych cholernych szpilkach.  
Kolejny skręt i po zejściu na niższy poziom znalazłam się w kasynie.  
Otoczył mnie hałas i błyskające karmazynowe światła. Thorne zadbał o klimat, i to w każdym szczególe. Było tu jak na Times Square nocą.  
Podobnie jak w centrum handlowym, nie dało się znaleźć jakichkolwiek okien czy zegarów: ludzie mieli się skupiać wyłącznie na grze, do reszty tracąc poczucie czasu.  
– Witamy w Czerwonym Baronie – powiedziała hostessa, przechodząc obok mnie. Miała na sobie skąpy uniform z czymś w rodzaju osobliwej przepaski, fioletową perukę i wachlarz sztucznych rzęs. Jeśli dostanę tę robotę, zaraz sama będę tak wyglądać.  
Rozglądałam się, ale starałam się robić to dyskretnie. Miałam pytać o Terry'ego, ale wyglądało na to, że facet znalazł mnie pierwszy. Był niewysoki, miał bujne brwi i chytre oczka małego drapieżnika. Chwilę gapił się z przeciwległego końca sali, po czym przywołał mnie gestem.  
Kiedy podeszłam, wskazał drzwi prowadzące do pomieszczeń dla personelu. Weszliśmy do niewielkiego pokoju. Pod oknem stało proste, skromne biurko, a na lewo metalowa szafka, podobna do tej, w której na komisariacie trzymaliśmy broń. Byłam ciekawa, co bym zobaczyła, gdyby poświecić tu lampą UV.  
– Przyszłaś w sprawie pracy – mruknął, taksując mnie z góry na dół. – Masz jakieś doświadczenie?  
– Zgadza się. – Zajrzałam do torebki, pogrzebałam w niej i zrobiłam zszokowaną minę. – Ojej, zostawiłam papiery w...  
– Nie będą potrzebne, każdy i tak zawsze to koloryzuje. Ale chętnie zobaczę jakiś dokument.  
Tyle akurat mogłam zrobić.  
– Becker, tak? – Facet spojrział na mnie znad lewego prawa jazdy, które mu wcisnęłam.  
– Mhm. To ja.  
– Umiesz się uśmiechać? W tej pracy trzeba się dużo uśmiechać.  
Rozciągnęłam wargi, ukazując rząd równych zębów.  
– O tak?  
– Mniej więcej.  
– Co jeszcze muszę robić w tej pracy? – Zatrzepotałam rzęsami. – Bardzo mi zależy, to takie piękne miejsce.

– Dbać o to, żeby klienci dobrze się tutaj czuli. Roznosić drinki, pomagać, jeśli się zgubią, zrobić sobie pamiątkowe zdjęcie, jeśli poproszą. I uśmiechać się, na litość boską. Zapamiętasz to?

Zaangażowałam się maksymalnie i olśniłam faceta uśmiechem. Tak szerokim, że pewnie widział moje ósemki.

– Dbać o klientów, podawać drinki, uśmiechać się, jasne. Poradzę sobie, jestem stworzona do uśmiechania się.

– Kto by pomyślał – mruknął. Rzucił ostatnie spojrzenie na prawo jazdy Michelle i oddał mi dokument. – To by w zasadzie było na tyle.

– Czyli... – przestąpiłam z nogi na nogę – dostanę tę pracę?

Znów otaksował mnie wzrokiem, najdłużej zatrzymując się na piersiach. Plus dla mnie za włożenie usztywnianego stanika.

– Na początek dzień próbny. Zaczynasz od... – spojrzał na zegarek na swoim nadgarstku – ...zaraz.

– Jeeej! Dziękuję!

– Niepłatny dzień próbny. – Zmroził mnie spojrzeniem. – Nie pij. I nie próbuj kraść. Nie pieprz się też z klientami, to nie burdel.

Miałam nieco inne zdanie na temat tego miejsca, ale powiedziałam tylko: – Tak jest, proszę pana.

– Dwa pokoje dalej masz garderobę, powiedzmy. Włóż uniform, Ally ci jakiś znajdzie. I perukę. Hostessy chodzą w perukach.

– Nie ma problemu. Uwielbiam peruki. – Zgrywanie idiotki wychodziło mi zadziwiająco dobrze.

– Zmiana kończy się rano, ale pewnie to wiesz.

– Mhm.

– To dla ciebie nie problem?

– Nie, nie. Naprawdę bardzo chcę tu pracować.

Terry zamachał ręką.

– To idź już. I zrób coś z tym. – Wskazał swoje prawe oko. – Tusz ci się rozmazał.

– Tak jest, panie...?

– Terry wystarczy.

Dwadzieścia minut później Michelle Becker była już przebrana w służbowy uniform, a jej świeży miodowy blond przykrywała fioletowa peruka. Kosmyki syntetycznych włosów trochę łaskotały mnie w brodę, ale poza tym nie było źle. Gdyby nie obcasy, powiedziałabym, że nawet wspaniale.

Ta praca nie należała do szczególnie skomplikowanych. Nie żeby była lekka – widmo dreptania na szpilkach do rana optymizmem raczej nie

napawało – ale mogłam trafić gorzej. Thorne mógł na przykład prowadzić nocny klub, a jedyną fuchą, która gwarantowałaby inwigilowanie miejsca od środka, byłby taniec na rurze.

– Witamy w Czerwonym Baronie – powiedziałam do przechodzącego obok faceta swoim najbardziej przymilnym głosem.

Gość zerknął w moją stronę, po czym minął mnie bez słowa. Byłam tu tylko tłem, świetnie. Przezroczysta jak powietrze. Uznałam, że dam sobie góra czterdzieści minut, a potem pokręcę się trochę po kasynie.

Zamierzałam zwiedzić nie tylko sale, w których ludzie tracili forszę, ale i pomieszczenia zarezerwowane wyłącznie dla pracowników. Jeśli dopisze mi szczęście, może nawet uda mi się znaleźć gabinet Thorne'a, choć ten pewnie znajdował się na górze, w części hotelowej. Tego typu ludzie lubili patrzeć na wszystko z wysokości.

Po pierwszej godzinie miałam już za sobą wypad do sąsiedniej sali i pomieszczenia, które okazało się magazynem. Niewiele, ale nie chciałam przeszarżować, inaczej dzień próbny okazałby się ostatnim. Z drugiej jednak strony wiedziałam, że jeśli będę grać zbyt zachowawczo, spędzę w Czerwonym Baronie bardzo dużo czasu. Z dwojga złego wolałam już chyba postawić wszystko na...

– Zgubiłaś się? – Terry wyrósł obok mnie niczym upiór.

Uśmiechnęłam się głupkowato.

– Nie, dlaczego?

– Bo się szwendasz. – Wskazał oko kamery w rogu, tuż nad automatami do gry. – A ja widzę każdy twój ruch.

Tak, wiedziałam o kamerach, ale udałam zaskoczenie.

– Myślałam, że to alarm – powiedziałam, nie rezygnując przy tym z głupkowatego uśmiechu. – Poza tym nie szwendam się, tylko pracuję. W innych salach też są goście.

– Ty obsługujesz tylko tę jedną. – Zerknął na tarczę swojego zegarka. –

Mój błąd, chyba zapomniałem ci o tym powiedzieć.

– Ale do łazienki mogę wyjść?

Spojrzał na mnie jak na kretynekę.

– Tak, bylebyś się nie szwendała. I pamiętaj o uśmiechu.

– Jest ze mną cały czas – odparłam i wyszczerzyłam się.

– Przyłóż się, to może coś z tego będzie – rzucił na odchodnym.

Patrzyłam, jak przebija się przez tłum gości i wreszcie znika mi z pola widzenia. Nie szwendaj się, jasne. Terry mógł mnie cmoknąć. Mimo to przez kolejną godzinę zachowywałam profilaktyczną ostrożność. Do rana miałam jeszcze bardzo dużo czasu.

Podaliśmy drinki kilku gościom, jeden facet poprosił nawet o zdjęcie.

Zgodziłam się, a potem ustawiłam tak, żeby moja twarz nie była zbyt dobrze widoczna. Zresztą typ był tak wstawiony, że nie zrobiłoby mu różnicy, nawet gdybym w ostatniej chwili wyskoczyła z kadru.

– Miłej zabawy – pożegnałam go z tym sztucznym uśmiechem przyklejonym do warg.

– Nowa, co? – zagadnęła mnie hostessa w identycznej fioletowej peruce i uniformie. Jednak ona poruszała się na szpilkach jak gazela.

– Mhm. To mój pierwszy dzień.

Rozejrzała się, a potem do mnie zbliżyła.

– Terry wcisnął ci bajeczkę o tym, że jest bezpłatny?

– To jednak płacą? – odezwałam się głośniejszym głosem, niż zamierzałam. Jakaś kobieta odwróciła głowę w moim kierunku, więc pomachałam do niej, szczerząc się jak wariatka.

– Niepełną dniówkę, ale tak. Terry tylko tak gada, żeby odstraszyć osoby, które nie są tu z powołania.

Jak można mieć, kurwa, powołanie do czegoś takiego?



– Jasne, łapię – odparłam. – Wiesz może, gdzie tu jest łazienka?  
– Lepiej skorzystaj z tej dla personelu. Klienci potrafią być wstrętnei, kiedy sobie popijają, a my jesteśmy – wskazała nasz ubiór – śliczne, rozumiesz. Jesteśmy maskotkami tego miejsca.

– Ta dla personelu też nie wiem, gdzie jest.

– Skręcasz za tamtymi automatami, a potem prosto. Tylko się nie pomył i nie odlej się w windzie. Kiedyś się tak zdarzyło.

To by tłumaczyło, dlaczego Terry wspomniał o picciu.

– Trafie, dzięki. – Zrobiłam zakłopotaną minę. – Zaczął mi się okres i...  
no wiesz...

– Idź. Obskoczę twój sektor.

Powłokłam się w stronę wspomnianych automatów, minęłam je i weszłam na korytarz dla zaopatrzenia. Tu nie było marmurów – ściany pociągnięto granatową farbą – ale złote akcenty pozostały. Zerknęłam w górę. Wyglądało na to, że kamer również tu nie ma. Minęłam łazienkę i

poszłam dalej, ciekawa, co kryją pozostałe drzwi. Nie to, że się spodziewałam, że za jednymi z nich Thorne trzyma trupa, ale jeśli choć część historii o tym miejscu była prawdą, nie wydawałoby się to wcale takie zaskakujące.

Przechodziłam obok windy akurat w momencie, kiedy jej drzwi się rozsunęły. A stał w nich nie kto inny, tylko Nathaniel Thorne we własnej osobie. W czarnej koszuli i tak samo czarnym, eleganckim, szytym na miarę garniturze nie wyglądał na przestępcę. Aż tak bardzo. Za nim stał

łysejący facet z teczką, ale to Thorne skupiał na sobie uwagę. Było w nim coś... hipnotyzującego. Zdjęcia tego nie oddawały. Padłam na kolana, udając, że czegoś szukam.

– Tu nie wolno wchodzić – rzucił facet z aktówką.

– Przepraszam, zgubiłam kolczyk – wymamrotałam, macając dłońmi podłogę.

– To szukaj szybciej i zjeżdżaj. – Przycisnął teczkę do piersi i ruszył za szefem.

Kojarzycie ten moment z filmów, kiedy czas zwalnia w chwili spotkania tej szczególnie ważnej postaci? No właśnie. Mniej więcej tak to zapamiętałam, kiedy przeszedł obok mnie Thorne. Rzucił mi przeciągłe spojrzenie – tak przeszywające, że aż poczułam ciarki.

Tyle że jeden szczegół się nie zgadzał.

Kolor jego oczu.

Na zdjęciu w policyjnej kartotece miał niebieskie tęczęwki. Wiem, bo gapiłam się na fotografię wystarczająco długo, żeby to zapamiętać. Widać facet stawiał nie tylko na lewą tożsamość, ale też na barwione soczewki.

Jeśli się okaże, że wypalił sobie kwasem opuszki, pozbawiając się linii papilarnych, to chyba oszaleję.

Jeszcze chwilę poszukałam tego wyimaginowanego kolczyka, po czym

– kiedy kroki obu mężczyzn ucichły – wstałam. Rozejrzałam się i niewiele myśląc, wsiadłam do windy. Do diabła, teraz albo nigdy. Spojrzałam na panel na lustrzanej ścianie i kierowana impulsem wcisnęłam przycisk najwyższego piętra. To znaczy, hm... tak na zdrowy rozum wydawałoby się, że pięter powinno być więcej – budynek był

niczym wieża. Ale mniejsza z tym. Stwierdziłam, że pojedę tak wysoko, jak się da. Tam znajdę albo gabinet Thorne'a, albo kłopoty. Trzeciej opcji nie przewidywałam.

Gdy winda dotarła na miejsce, drzwi rozsunęły się z cichym „bim”.

Wyjrzałam ostrożnie, a kiedy zobaczyłam, że korytarz jest pusty, wyszłam.

Żałowałam, że nie mam ze sobą broni, ale przynoszenie jej tu to kiepski pomysł. Podłogę pokrywała gruba wykładzina, lecz mimo to zdjęłam szpilki. W razie potrzeby jedną wbiję komuś w oko. No i bosy biegało się szybciej.

Było tu zaskakująco chłodno, jak gdyby ktoś ustawił klimatyzację na maksymalne chłodzenie. W powietrzu unosił się jakiś egzotyczny zapach z ostrą, drażniącą nutą i coś... Tak musiała pachnieć pustynia. Rozglądałam się, nie bardzo wiedząc, czego właściwie szukam. Mijałam kolejne drzwi i kiedy korytarz skręcił, moją uwagę od razu przykuły jedne. Były niedomknięte. Czyżby to Thorne wychodził w takim pośpiechu, że ich za sobą nie zamknął? Uznałam, że nie zaszkodzi sprawdzić.

Wślizgnęłam się do środka. Dałam sobie parę sekund, aby oczy przyzwyczyły się do półmroku. Nie chciałam zapalać światła. Obralam kierunek na biurko i powoli brnęłam przed siebie. Nagle lampy w górze zapłonęły, a ja wypuściłam szpilki z ręki.

– Musi ci bardzo zależeć na tym kolczyku – usłyszałam za plecami.

Źle, bardzo, bardzo źle.

Odwrociłam się powoli i stanęłam twarzą w twarz z Nathanielem Thorne'em.

– Cześć. – Zaryzykowałam uśmiech. – Chyba się zgubiłam.

– Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo.

– Może lepiej już pój...

Nie wiem, jak to zrobił, ale znalazł się przy mnie w ułamku sekundy.

Złapał mnie za gardło i przycisnął do ściany.

– Kim jesteś?! – warknął. Miał niski, wibrujący głos. Czułam go w całym ciele. I jeszcze ten jego akcent... bardzo osobliwy.

– Nikim – wykrztusiłam z trudem. – Jestem nikim. Tylko hostessą.

– Ostatnia szansa. – Wzmocnił nacisk na moją krtań. – Kim jesteś?

Patrzyłam w jego oczy, bezdenne i ciemne, świadoma, że to prawdopodobnie ostatnie, co zobaczę przed śmiercią. Ale nie byłabym sobą, gdybym nie próbowała walczyć. Nie wychowano mnie na tchórza.

– Nikim – powtórzyłam. – Nie usłyszałeś za pierwszym razem?

Zamarkowałam cios, a potem spróbowałam wyrwać się z chwytu mężczyzny. Na próżno. Obracał mną jak szmacianą lalką.

– Miło było cię... – Urwał. Teraz wpatrywał się w wisiołek, który wysunął się spod sukienki. W jego twarzy zaszła jakaś osobliwa zmiana. –

Skąd to masz?!

– To... Och, to...

– Skąd to masz? Nie zapytam po raz trzeci.

– To prezent. Od matki.

Pchnął mnie na ścianę z taką siłą, że powietrze uleciało mi z płuc.

– Od matki? – Spojrzał na coś w swojej dłoni, a ja dopiero teraz dostrzegłam, że zerwał mi łańcuszek z szyi. – Interesujące.

Zrobiło mi się dziwnie słabo, zaledwie na krótką chwilę, ale jednak.

Zupełnie jak wtedy, gdy się zbyt szybko wstaje. Mam wrażenie, że to było coś w rodzaju szoku – odkąd matka dała mi ten naszyjnik, gdy miałam sześć lat, nie zdjęłam go ani razu. Patrzenie na to, jak trzyma go inna osoba, uznałam niemal za świętokradztwo. A potem słabość, tak nagle, jak się pojawiła, tak też szybko zniknęła. Zastąpiło ją poczucie mocy i miałam wrażenie, że nawet zaczerpnięcie oddechu przychodzi mi łatwiej.

– Oddaj mi to! – zażądałam.

Thorne rzucił mi pobłażliwe spojrzenie.

– Leah to piękne imię. To matka je dla ciebie wybrała?

Aż się zachłysnęłam. Jak ten facet...? Skąd...?

– Tak. Z powodu tej piosenki Roya Orbisona – powiedziałam, choć miałam wrażenie, że moje usta należały do kogoś innego.

– Dobry gust. – Thorne skinął głową. – Wiesz, kto to jest? – zapytał, unosząc przewieszony przez palce naszyjnik.

Przewieszka była srebrna jak cały łańcuszek. Przedstawiała nagą skrzydlatą kobietę trzymającą przed sobą miecz. Kobieta miała pochyloną głowę, przez co prawie nie było widać twarzy, ale zawsze uważałam, że musi być piękna. Stanowiła mój amulet, pamiątkę. Tę biżuterię matka dała mi na krótko przed śmiercią. Nie interesowała mnie tożsamość skrzydlatej postaci, ponieważ tak długo, jak tego nie sprawdzałam, mogłam wierzyć we własne historie, umacniać legendę ukochanego rodzica. To mógł być zwykły staroć z pchlego targu, ale ja nie musiałam tego wiedzieć.

– To? Jakaś... – wzruszyłam ramionami – mityczna postać.

Nathaniel odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać. W tym dźwięku było coś przyjemnego i jednocześnie upiornego.

– Lepiej bym tego nie ujął.

Zerknęłam na drzwi, próbując ocenić, czy uda mi się do nich dobiec przed Thorne'em, ale on się domyślił, co zamierzam zrobić. Był nie tylko szybki, lecz także wyższy i cięższy ode mnie. No i na bank chował broń.

Większych szans raczej z nim nie miałam.

– Wychodzisz? Tak prędko? – Zacmokał z dezaprobatą. – Nie radzę. To nie byłoby rozsądne.

Nierozsądne to było przychodzenie tutaj.

– Wolałabym najpierw odzyskać moją własność. – Wyciągnęłam przed siebie rękę, ale Thorne miał moje żądania głęboko w dupie.

– Ta... mityczna postać, jak to określiłaś, to ktoś bardzo ważny.

Chryste, ten jego akcent. Skąd facet właściwie pochodził?

– Matka nic ci o niej nie mówiła? – dodał.

Może jednak to był błąd, że nigdy nie zainteresowałam się pochodzeniem naszyjnika.

– Nie.

– Wielka szkoda. A ojciec?

– On...

– No tak, przecież go nie poznałaś.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Dobry Boże, ile ten facet o mnie wiedział?

– Skąd... – Pokręciłam głową. – Nieważne. Oddaj mi ten łańcuszek i już sobie idę.

– Po co ten pośpiech? Przecież i tak zamierzałaś tu zostać do rana.

– Owszem, ale niekoniecznie w tym pokoju.

Thorne jak zahipnotyzowany zerkał to na mnie, to na wizerunek skrzydlatej kobiety.

– To twój ojciec dał go matce, prawda?

Milczałam. Nie byłam pewna, dokąd ta rozmowa zmierza, ale najwyraźniej nie tam, gdzie pragnęłam się udać.

Mężczyzna zatrzymał wahadłowy ruch wisiorka i spojrzał mi prosto w oczy.

– Zdaje się, że źle zaczęliśmy – stwierdził. – Musisz mi wybaczyć, ale wziąłem cię za kogoś innego.

Nie mogłam rozgryźć, w co właściwie grał. Wiedział, kim jestem, więc sytuacja wyglądała kiepsko. Ale jeszcze nie beznadziejnie.

– Aha. Fajnie, ale...

– Rozgość się. – Wskazał fotel pod oknem. – Może masz ochotę się czegoś napić?

– Właściwie wołałabym wyjść.

– Nalegam. – Nie podniósł głosu, mówił z tą samą spokojną manierą co wcześniej, ale to było w jakimś sensie gorsze niż krzyk.

– Wody – bąknęłam. – Gazowanej, jeśli jest.

– Jest. – Obnażył zęby w przelotnym uśmiechu. Wyglądały na trochę zbyt ostre. – Mam tutaj wszystko.

Obserwowałam, jak napinając wszystkie mięśnie, otwiera jedną z szafek, która okazała się minibarkiem. Jakaś część mnie spodziewała się, że zamiast szklanki wody dostanę pocisk kalibru dziewięć milimetrów, ale jednak nie.

– Nie proponuję ci alkoholu. Przecież go nie pijesz.

Kurwa. Kurwa mać.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Znasz barmana z Maskarady? – zapytałam i zaraz do mnie dotarło. To tam widziałam Thorne'a. Był tylko jeden problem. To się działo we śnie.

– Śnimy tylko o twarzach, które już kiedyś widzieliśmy. – Puścił do mnie oko. – Mózg człowieka nie potrafi inaczej.

Zdębiałam. Po prostu mnie zamurowało.

Jasne, z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że facet bełkotał, gadał od rzeczy i akurat trafił w to, o czym myślałam. Innego logicznego wyjaśnienia nie widziałam. Niestety im dłużej tu przebywałam, tym bardziej zakrzywiała się logika. Jeszcze trochę i Thorne nie będzie mnie nawet musiał zabijać. Wyląduję w zakładzie dla obłąkanych i będę ślinić się przez resztę życia.

– Mhm. – Uśmiechnęłam się z ustami pełnymi wody, której uparcie nie przełykałam.

Mężczyzna przeciął pokój i przysiadł na marmurowym parapecie.

Przyglądał mi się, jak gdybym była szalenie ciekawym eksponatem w muzeum. Miał szlachetne, wręcz królewskie rysy. Zaczesaane do tyłu ciemne włosy tylko to podkreślały. Gość był naprawdę przystojny i aż szkoda, że taki z niego psychopata.

– Jesteś niesamowicie spięta jak na kogoś, kto przyszedł tu z zamiarem wsadzenia mnie do więzienia. – Pochylił się i musnął moją dłoń, a ja poczułam dreszcz. Przyjemny i zarazem nie.

Zmusiłam się, by wreszcie przełknąć tę cholerną wodę. Mimochodem się zastanowiłam, czy nie jest może zatruta.

– To chyba jakaś pomyłka – odparłam, odstawiając szklanę na stolik. –  
Przyszłam tu do pracy.

– Tylko zapomniałaś powiedzieć, że w rzeczywistości nazywasz się Leah Winters i  
jesteś detektywem z wydziału zabójstw. Naturalnie to częsty błąd.

To tyle, jeśli chodzi o wciskanie mu jakiejś bajeczki. Gość znał mój życiorys na  
pamięć, nie było mowy o blefie. A gdybym uparcie obstawała przy swojej kulawej  
historijce „Ja Tylko Szukam Pracy”, w końcu straciłby cierpliwość i rozwalił mi łeb. Tu  
trzeba było finezji.

– Okej, zdaje się, że obydwójce źle zaczęliśmy – przyznałam. – Wiesz, gdzie pracuję,  
więc daruję sobie przydługie wstępy. Jednak nie chodzi mi o ciebie, tylko o twojego  
szefa. – Drobnie kłamstwo, ale mógł mi naskoczyć.

Przecież nie czytał w myślach.

– I po prostu pomyliłaś gabinety?

Zignorowałam pytanie.

– Jeśli mnie sprzątniesz, przyjdą następni.

– Wciąż jacyś przychodzą.

– Nie, dopóki ja tu jestem. – Właśnie znalazłam niezłą bajeczkę i zamierzałam się tej  
wersji trzymać. – Dlaczego z tego nie skorzystasz i ze mną nie porozmawiasz?

Milczał dłuższą chwilę, nie odrywając ode mnie tego przenikliwego wzroku, który  
przyprawiał o ciarki.

– Jesteś bardzo odważna. Zdeterminowana. Przyszłaś tu sama, w pełni rozumiejąc,  
że być może idziesz na śmierć.

– Przeciwnie. – Teraz to ja wychyliłam się w jego stronę, prężąc piersi upchane w  
służbowym uniformie. – Przyszłam złożyć ci propozycję.

– Doprawdy? – Thorne uniósł ciemną brew.

– Nie chodzi mi o forszę, chociaż, tak między nami, mogliby mi płacić więcej. Chodzi  
o to, że chcę się wykazać. Słyszałeś o zatrzymaniu Reynoldsa? Pewnie tak.

Przyglądał mi się, nie mówiąc przy tym ani słowa, więc uznałam za stosowne  
kontynuować: – Słynę z dość... niekonwencjonalnych metod pracy, powiedzmy... Co nie  
każdy potrafi docenić. Ale gdybym miała

Millera... – To idealna historyjka, ponieważ była niemalże prawdziwa. –

Pomóż mi, Nate. Mogę do ciebie mówić Nate?

Kąciki jego warg się uniosły.

– Owszem. Ty możesz.

– Zanim zbyt pochopnie zdecydujesz, pamiętaj, że pozbycie się mnie byłoby jak  
strzał w stopę. Znasz moje nazwisko, więc chyba potrafisz skojarzyć je z burmistrzem.  
Jest takie samo nie przez przypadek.

– Chcesz zatem powiedzieć, że jeśli jakimś nieszczęśliwym zrzędzeniem losu nie  
opuścisz już murów Czerwonego Barona, będę miał

poważne kłopoty? – Ta wizja wydawała się go raczej bawić.

– O tak. Ale możemy też nawiązać współpracę. – Uśmiechnęłam się zachęcająco. –  
Mógłbyś coś mi dać, cokolwiek, co obciąży Millera. W  
zamian ja zadbam o to, żebyś ty nie poniósł żadnych konsekwencji.

Wpatrywał się we mnie, a jego oczy nie były już takie ciemne. To musiała być gra  
świateł.

– Dlaczego miałbym to zrobić?  
– Dobrze wiesz, że jesteś podejrzany o wiele rzeczy. To tylko kwestia czasu, zanim runiesz ze swojego tronu. To będzie zajebiste bolesny upadek. Ja mogę temu zapobiec.

Thorne złapał mnie za rękę i pociągnął, zmuszając, bym wstała.

– A może zamiast tego to ja złożę ci propozycję. Zostaniesz w Czerwonym Baronie przez jakiś czas. Będziesz... – przesunął palcami po moim policzku – maskotką tego miejsca, tak jak planowałeś. W zamian za to pomogę ci znaleźć ludzi odpowiedzialnych za śmierć twojej matki.

Szeroko otworzyłam usta, wpatrując się w niego z bezmyślnym zdumieniem. Miałam wrażenie, że krew odpłynęła mi z ciała i przesiąkła kilkanaście piętér niżej.

– Zginęła... – Odchrząknęłam. – To było lata temu. Sprawców nie znaleziono. I nie wygląda na to, aby miało się to zmienić.

– Jednak ty wciąż ich szukasz.

Tak, ale on nie powinien o tym wiedzieć. Tego rodzaju wiedza to zbyt wielka przewaga. Nie chciałam mu jej dawać.

– To była przypadkowa zbrodnia na tle rabunkowym. – Tak brzmiała oficjalna wersja w raporcie, który przeczytałam jakieś dwieście razy.

Kompletnie w nią nie wierzyłam. – Popołniona najprawdopodobniej przez gówniarzy, którzy nigdy wcześniej nie byli notowani.

– Niespecjalnie dajesz temu wiarę. I nie sądzisz, żebym ja coś o tym wiedział, a zarazem masz nadzieję, że to jednak prawda. Przekonaj się.

Przyjmij moją propozycję.

Niech cię szlag, człowieku.

Skłamałabym, mówiąc, że w całej tej sprawie przyskrzynienia Thorne'a nie przeszło mi przez myśl, że mógł mieć informacje na temat zabójstwa matki, ale szanse na to wydawały się w najlepszym razie minimalne. Nie było go w mieście, kiedy to się stało, sprowadził się długo potem, to raz.

Dwa, nie mogłam całkiem wykluczyć, że wersja z raportu jednak jest prawdziwa, a ja uparcie w nią nie wierzę, bo nie mogę się pogodzić z tym, że śmierć mamy mogła być tak bezsensowna.

– Mam zostać twoją maskotką w zamian za lipne informacje? Raczej nie.

Chwycił moją dłoń i położył na niej wisiorek.

– Przekonaj się – powtórzył, zamykając moje palce na łańcuszku. – Nie pożałujesz.

– Co ty będziesz z tego miał?

– Towarzystwo interesującej osoby. – Przybliżył się jak ktoś, kto nosi się z zamiarem pocałunku. – Nie sądziłem, że można tu kogoś takiego spotkać.

– Zastrzelisz mnie, jeśli teraz wyjdę, co?

Błysnął uśmiechem.

– Gorzej.

Był świrem, to nie ulegało wątpliwości. Nie można mu było jednak odmówić uroku. A ja zdążyłam się już w to wplątać zbyt głęboko.

Wiedziałam, że odrzucając tę ofertę, stracę wszystko, łącznie z życiem. A jeśli udam, że się na nią zgadzam, może zdołam go przyskrzynić, a przy okazji dowiedzieć czegoś więcej o śmierci matki.

– Zgoda – powiedziałam.

Jego odpowiedzią było lekkie skinienie głowy. No tak, nie brał pod uwagę odmowy, bo takim jak on się nie odmawia.

Odezwał się, dopiero gdy znalazłam się przy drzwiach.

– Leah? – Moje imię wymówione z tym egzotycznym akcentem zabrzmiało dość osobliwie.

– Słucham?

– Twoje buty.

– A tak. – Westchnęłam. Musiałam zrobić wymowną minę, bo Thorne aż się uśmiechnął.

Chwyciłam szpilki i przeszłam obok niego uważnie, żeby przypadkiem go nie dotknąć. Nie chodziło o to, że nie chciałam. Przeciwnie, złapałam się na tym, że bardzo chcę to zrobić.

– Do zobaczenia wkrótce – pożegnał mnie. Uśmiech nie zniknął z jego twarzy, oczy mu błyszczały.

Pierdolony psychopata.



Nathaniel stał pogrążony w mroku. Opierał dłoń o chłodną szybę, spoglądając na rozciągający się kilka pięter niżej parking. Leah szła niespiesznie, trzymając w ręku swoje buty. Nie uznała za stosowne ich włożyć. Nagle przystanęła i spojrzała wprost na niego. Nie mogła go zobaczyć, to znaczy nie powinna. Chociaż teraz, kiedy nie miała na sobie naszyjnika...

To będzie doprawdy wspaniała zabawa, pomyślał, uśmiechając się nieznacznie.

Zagrożenie, za jakie początkowo ją uznał, szybko zmieniło się w nowe możliwości. Pomijając osobistą przyjemność, z pomocą tej dziewczyny mógł zrobić wiele. Nie spodziewał się, że spotka tu kogoś takiego jak ona.

Nie spodziewał się, że kogoś w ogóle spotka. Co więcej, sama Leah nie zdawała sobie sprawy z tego, kim jest. To czyniło zabawę jeszcze bardziej interesującą. Był ciekaw, jak zareaguje na sensacje, które z jego drobną pomocą odkryje. Ale wszystko w swoim czasie. Najpierw chciał zobaczyć, na co ją stać. Miał zamiar przekonać się, ile wytrzyma. A potem...

Stuknął paznokciem wskazującego palca w szybę i w tym samym momencie idący w stronę Czerwonego Barona mężczyzna runął na ziemię, ciągnąc ze sobą towarzyszącą mu blondynkę.

– Leah – szepnął, kiedy policjantka była już przy swoim samochodzie.

Znieruchomiała, następnie rozejrzała się wokół. Nie dostrzegła nikogo z wyjątkiem podnoszących się z asfaltu mężczyzny i kobiety. Tyle że głos, który usłyszała, nie należał do żadnego z nich. Wiedziała to. Rzuciła

ostatnie spojrzenie budynkowi, w którym znajdował się Nathaniel, i wreszcie wskoczyła za kierownicę.

– Do zobaczenia wkrótce – dodał, gdy jej wóz wyjeżdżał z parkingu.

Usłyszał kroki na długo przed tym, zanim drzwi jego gabinetu się otworzyły. A potem wyczuł zapach *Grzechu*, tak chyba nazywały się te perfumy. Adekwatna nazwa dla kobiety, która ich używała. Przyszła asystentka Millera. Niezbyt wyszukana nazwa dla sekretarki, którą regularnie posuwał. Wkroczyła do środka, ciemność biorąc za pewny znak, że nikogo tu nie ma. Zapaliła światła i sekundę później wydała z siebie stłumione „ooch!”.

– Panie Thorne? Przepraszam, że przeszkadzam. Sądziłam, że...

Odwrócił się od okna.

– Daruj sobie.

Kobieta raptownie umilkła.

– Jak pan sobie życzy.

– Przychodzisz, ponieważ... – Zachęcił ją gestem, by mówiła.

– Mam wiadomość od pana Millera – wyjaśniła, wyciągając przed siebie kopertę.



Nathaniel przewrócił oczami. Miller przejawiał tak chorobliwą awersję do przychodzenia tu osobiście, że było to wręcz zabawne.

– Tak?

– Nie znam jej treści. Mam ją tylko przekazać.

Skinął ręką, dając znak, by się zbliżyła. Zrobiła to, jednak niechętnie.

Widocznie fiksacja Millera udzieliła się również i jej. Słusznie.

– Trudno zauważyć, co ktoś pisze, kiedy się klęczy – rzucił od niechcenia.

Brittany pobladła. Potarła szyję w zdradzającym zdenerwowanie geście.

– Co takiego?

– Taki żart. – Wyjął kopertę z jej dłoni i odłożył na biurko. Kobieta drgnęła, gdy ich palce się zetknęły. – Zabawny w miejscu, z którego pochodzę.

– Och... och, rozumiem. – Niczego nie rozumiała.

Wbił w nią wzrok, dodatkowo pogłębiając tym jej konsternację. Stała przed nim w swojej eleganckiej sukience balansującej na krawędzi dobrego

smaku. Ale takie najbardziej podobały się Millerowi. Do tego burza kasztanowych loków i poprawione usta. Tak, to mogło robić wrażenie.

– Brittany? – Nathaniel skinął na kobietę palcem, dając znak, by jeszcze podeszła.

Zrobiła krok do przodu. Potem, z ociąganiem, kolejny.

– Bliżej – zachęcił. – Chyba się mnie nie boisz?

Spełniła polecenie. Teraz znajdowała się w tak niewielkiej odległości, że jej okazałe piersi muskały przód jego koszuli. Z rozbawieniem zauważył, że sutki Brittany stają się twarde.

– Lubisz swoją pracę? – zapytał.

Potaknęła.

– Tak, panie Thorne. Naturalnie.

– Czy jesteś jej oddana?

– Tak, panie... – wciągnęła powietrze, gdy przesunął dłonią po jej talii –

Thorne...

– Co byś zrobiła, żeby ją zatrzymać? – Dłoń Nathaniela podjechała wyżej, niemal dotykając piersi Brittany. – Gdyby stało się coś, co zagroziłoby twojej pozycji?

– Na przykład co?

– Nieistotne. Pytałem, co byś zrobiła.

Przygryzła wargę. Żyłka na jej szyi pulsowała, zdradzając, jak szybko bije teraz jej serce.

– Dużo.

Thorne rozchylił wargi.

– Dużo to za mało. Czy zrobiłabyś... wszystko?

Przymknęła oczy. Trwała w niepewnym oczekiwaniu na to, co zrobi Nathaniel.

– Tak – zgodziła się. – Zrobiłabym wszystko, panie Thorne.

– Bardzo dobra odpowiedź. Jest tylko jedna rzecz.

– Jaka?

Pochylił się nad nią, muskając policzkiem jej twarz.

– Następnym razem, kiedy tu przyjdiesz, zmyj z siebie smród pieprzenia się z tym tchórzem – szepnęła jej do ucha.

Otworzyła usta, które uformowały idealnie okrągłe „O”.

– Ja...

– Wynoś się – warknął.

Nie musiał powtarzać drugi raz.

Czmychnęła do wyjścia, starając się unikać jego wzroku. Kiedy drzwi gabinetu się zamknęły, Nathaniel sięgnął po kopertę. Rozdarł ją i wyjął wyrwaną z notesu kartkę.

*Cześć, współniku!*

*Za parę tygodni Czerwonego Barona odwiedzą faceci z zachodniego wybrzeża. To duża sprawa, jeśli wiesz, co mam na myśli. Zadbaj o to, żeby wizyta przebiegła gładko? Ci faceci są nerwowi, nie chcemy, żeby coś poszło nie tak. Liczę na ciebie. Wiesz, że potrafię się odwdziżyć.*

*L.*

Uśmiechnął się szeroko. Wyglądało na to, że zabawa będzie jeszcze lepsza, niż myślał. Zgniół papier w dłoni i przytknął do niego płomień.

Świstek błyskawicznie zajął się ogniem. I tylko jedna rzecz się nie zgadzała.

Thorne nie trzymał w ręku zapalniczki.



Sądziłam, że Thorne zniszczył łańcuszek, zrywając mi go z szyi, ale okazało się, że nie. No tak, pewnie zanim zaczął się bratać z mafią, nabierał

doświadczenia jako dwunastoletni kieszonkowiec i coś takiego jak rozpięcie naszyjnika nie było dla niego problemem.

Włożyłam wisiołek na szyję i kiedy podobizna skrzydlatej kobiety spoczęła pomiędzy moimi piersiami, poczułam się... Hm, chyba najtrafniej odda to stwierdzenie: „jakby grawitacja stała się silniejsza”.

Skutek nieprzespanej nocy, uznałam i powlokłam się do wanny. Albo to, albo udzielało mi się szaleństwo Thorne’a. Podobno coś takiego potrafiło być zaraźliwe, całkiem jak grypa.

Po wyjściu z łazienki niemal odruchowo chciałam sprawdzić, czy na pewno zaczynam popołudniową zmianę, i zaraz dotarło do mnie, że przez najbliższe dwa miesiące nie będę zaczynać żadnej. Teraz byłam hostessą w cholernym Czerwonym Baronie i miałam świadomość, że jeśli nie uda mi się niczego wycisnąć z mojego nowego kumpla, po powrocie do pracy zajmę się wypisywaniem mandatów za złe parkowanie.

Wróciłam do sypialni, ponieważ nagle dysponowałam nieprzebranymi pokładami czasu. Opadłam na łóżko, sięgnęłam po komórkę i wybrałam numer Petera.

– Cześć – przywitałam się. – Masz wolne popołudnie?

– Zależy od dalszej części twojej wypowiedzi.

– Chciałam cię zaprosić na obiecane piwo. – Położyłam się i przymknęłam powieki.

Przed oczami stanął mi Thorne. Kiepski znak.

– Jako ty czy jako Michelle?

– Jako ja. Chociaż, jeśli chcesz wiedzieć, Michelle dostała robotę.

– Kławo. Mam jej pogratulować?

– Nie musisz. Ale bądź w Maskaradzie o szóstej.

– Tak wcześniej?

– Michelle dostała pracę – powtórzyłam cierpliwie. – I tak się składa, że dziś wieczorem ma zmianę.

– Aż się, kurwa, boję.

– Do zobaczenia na miejscu. – Przerwałam połączenie i odrzuciłam komórkę na materac.

Było raptem południe. Wiele godzin do szóstej. Zabiłam czas, ćwicząc, potem poszłam na spacer, a na koniec wstąpiłam do knajpy na rogu i zamówiłam pizzę. Tak się niewątpliwie zaczyna paranoja, bo miałam nieprzyjemne wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Po powrocie do mieszkania sprawdziłam, czy ten pawian Reynolds nie prysnął z aresztu, ale nie. Media milczały na ten temat. Kanały policyjne zresztą też.

Tak więc nieco bardziej zrelaksowana stawiałam się w Maskaradzie o umówionej godzinie. Pete już czekał.

– O, nowa fryzura! – przywitał mnie. W kolorowej koszulce i czapce odwróconej daszkiem do tyłu rzeczywiście wyglądał jak dzieciak. – Pasuje ci ten kolor. Teraz prawie można się nabrać, że miła z ciebie laska.

– Lepiej uważaj – powiedziałam, siadając naprzeciwko niego. – Ta miła laska może skopać ci dupę.

Westchnął teatralnie.

– No i czar prysł.

Odnalazłam barmana wzrokiem, ale kiedy chciałam ruszyć w jego kierunku, Pete mnie powstrzymał.

– Ja się wszystkim zająłem. – Wzniósł oczy do sufitu. – Wiesz, Leah, nie dziwię się, że tak lubisz to miejsce. Tu jest jak w grobowcu, tylko mają neony.

– Muzyka. Tu chodzi o muzykę.

– A mnie się wydawało, że jeździsz do lasu, żeby jej słuchać.

Wychyliłam się w jego stronę.

– Do lasu jeżdżę po to, żeby być w lesie.

– A tu przychodzisz po to, żeby pić bezalkoholowe piwo, chwytam.

Swoją drogą – zmierzył mnie ostrożnym spojrzeniem – jesteś po odwyku czy coś? Zawsze chciałem spytać.

A gdzie tam, po prostu od alkoholu ścirowałam jeszcze bardziej. Sny to przy tym pikus. Po paru piwach nie tylko miałam odlotowe koszmary senne, w których mordowałam samą siebie – a zdarzały się nawet gorsze scenariusze – ale i doświadczałam czegoś, co każdy psychiatra nazwałby urojeniami. Wystarczyło kilka zakrapianych imprez, żebym się przekonała, że najlepiej zrobię, wybierając sok. I nie, nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Jak inaczej zostałabym gliną? Wariatów nie przyjmują.

Zazwyczaj.

– Nie, mam marskość wątroby – palnęłam.

Twarz Petera się wydłużyła.

– Co takiego?

Było warto. Dla tej miny.

– Świruję. Po prostu nie lubię. – Widząc, że po żarcie o wątrobie do Pete'a reszta jakoś nie trafia, dodałam: – No dobra, czasem nawet lubię. Ale nie chciałabym leżeć zalana, kiedy dostanę informację, że znaleźli zabójcę mojej matki.

To go ruszyło. Śmierć matki była mocną kartą, o ile nie grałam nią zbyt często.

– Pewnie, pełne zrozumienie. – Wskazał sunącego w naszą stronę barmana. – Dlatego wzięłam ci bezalkoholowe. Owocowe jakieś, podobno smaczne. No i mówiłaś, że idziesz dziś do pracy.

Mężczyzna postawił piwo na stoliku i oddalił się bez słowa.

– Mhm. – Upiłam łyk. Faktycznie było smaczne.

Peter przyglądał mi się z wyczekującą miną.

– A coś więcej? Chcę wiedzieć, z jakiego powodu tak na hura robiłem te papiery.

– Bo mnie lubisz?

– Kocham jak siostrę, ale pieprzenie na bok. Co ty kombinujesz, Leah?

Nie było sensu wciskać mu jakiejś wyrzyganej historyjki. Poza tym gdyby coś jednak mi się stało, ktoś musiał choćby otrzeć się o sedno sprawy. Postanowiłam, że powiem mu sporo. Jednak nie wszystko.

– Jak bardzo potrafisz być dyskretny, Pete?

Przewrócił oczami.

– Co to za pytanie? Gdyby nie dyskrecja, już dawno bym siedział. A ty razem ze mną. Dłuższą chwilę milczałam, bębniąc palcami o krawędź stołu.

– Tym razem to coś grubego.

– Mów, zanim mnie coś trafi.

W lokalu oprócz nas były trzy inne osoby, nie licząc barmana.

Wprawdzie ludzie siedzieli na drugim końcu sali, ale i tak postanowiłam rozegrać to filmowo. Wspominałam już, że pewne klisze powieli się z przyjemnością?

Pokazałam Peterowi, żeby się przysunął. Kiedy to zrobił, ściszone głosem powiedziałam: – Chcę rozgryźć ludzi od Czerwonego Barona.

– Cooo?! Czerwo...

Kopnęłam go w kostkę. Mocno.

– Przymknij się – syknęłam.

Rzucił mi dzikie spojrzenie.

– Tobie odbiło? Ktoś ci w ogóle w tym pomaga?

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Tak, ty.

– Serio teraz mówisz? Przecież to szaleństwo.

– Inaczej lecę z roboty. – No, może nie całkiem, ale odrobina dramatyzmu jeszcze nikomu nie zaszkodziła.

– Jak to? – zapytał.

A ja przedstawiłam mu odpowiednio zmodyfikowaną wersję wydarzeń.

Peter przetrwał wszystko dłuższy czas, przeskakując wzrokiem z jednego miejsca w drugie.

– I co ty na to? – zagadnęłam. – Chyba nie muszę mówić, że bez twojej pomocy mi się nie uda. – Należało raczej powiedzieć: „Bez twojej pomocy prawdopodobnie zginę”, ale nie chciałam go dodatkowo stresować.

– No dobra. – Dopił piwo i z trzaskiem odstawił kufel. – Jestem w tym z tobą. Nie pochwalam, ale jestem.

Zerknęłam w stronę baru, a kiedy się przekonałam, że nikt za nim nie stoi, zarzuciłam nogi na stół.

– To nie takie straszne, jak się wydaje. Nie panikuj tak.

– Michelle dostała robotę – powiedział, parodiując mój głos. – Załatw mi papiery, Pete, nie denerwuj się, Pete.

– Nie brzmię tak – zaprotestowałam.

– Czasem brzmisz. Widziałas taki film o... Zresztą nieważne.

Pomyślałaś, co ci zrobią, jeśli się dowiedzą, że jesteś gliną?

– Nie dowiedzą się. – Nawet mi powieka nie drgnęła na to kłamstwo. –

Poważnie, nie świruj tak.

– Wbrew temu, co słyszałaś o informatykach, mamy bujną wyobraźnię.

I jesteśmy wrażliwi.

– Mhm, nie wątpię.

– Jak ty to sobie wyobrażasz? – brnął. – Załóżmy, że będziesz coś na nich miała, coś na tyle mocnego, żeby ich wsadzić. Sama ich aresztujesz?

– Nie, słoneczko. Wtedy poproszę o wsparcie – wyjaśniłam cierpliwie.

– O wsparcie? Blondi, jesteś na przymusowym urlopie.

– A ty aż się prosisz o lanie. – Opuściłam nogi na podłogę. – Wiem, co robię, Pete. Słowo. Nie jestem nowicjuską i naprawdę działam świadomie.

– Ty na pewno w to wierzysz. Tymczasem wybac. – Wstał. – Zaraz wracam. Czekałam cierpliwie, aż obskoczy łazienkę, a potem uspokoi swą wrażliwość Kolejnym browarem. Kiedy wrócił na miejsce, zaprezentowałam mu jeden ze swoich najbardziej rozbijających uśmiechów.

– Wyciszyłeś się już?

– Jestem jak kwiat lotosu.

– Świetnie. Chciałabym cię prosić o jeszcze jedną przysługę – powiedziałam.

Zrobił minę, jakby nagle rozboleł go brzuch. Napił się, a potem kiwnął na mnie głową.

– Co tym razem? Wyrobić ci nową tożsamość na wypadek, gdyby w Czerwonym Baronie połapali się, kim jesteś? Zgodzić się być wykonawcą twojej ostatniej woli?

– Coś mniejszego. – Uniosłam rękę. Kciuk i palec wskazujący niemal się stykały. – Coś takiego ty ci.

Zmrużył oczy. Jego spojrzenie w najlepszym razie wyrażało niechęć.

– Wal – westchnął.

– Chcę, żebyś sprawdził Nathaniela Thorne’a – wyjaśniłam. – Millera też, ale bardziej zależy mi na tym pierwszym.

– Dlaczego?

– Ponieważ za dużo rzeczy się nie zgadza. Z twoimi zdolnościami może dowiemy się czegoś więcej. Widziałeś w ogóle kartotekę tego gościa? To jeden wielki znak zapytania.

– No, Leah, teraz to mnie bierzesz na ambicję.

– To sprawdzisz mi go?

– Sprawdzę – zgodził się. – Jeśli gdzieś tam jest jakaś informacja o tym typie, ja ją znajdę.

– Dzięki. – Przykryłam dłonią jego dłoń. – Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

– Nie daj się do tego czasu ubić. Głupio będzie, jak dowiem się czegoś ciekawego, a ty będziesz pływać w betonowych butach.

Zmarszczyłam nos.

– Oni już tego nie robią.

– Nie? To jak teraz kasują ludzi?

– Wolę nie mówić. Jeszcze zacząłbyś się moczyć.

Odsunął się i skrzyżował ręce na szczupłej piersi.

– Czemu my się właściwie kumplujemy?

– Bo znam twoje brudne sekreciki. – Puściłam do niego oko. – I pilnuję, żeby nie poznał ich nikt inny.

– Pijesz to piwo? – Wskazał moją szklanekę. Wciąż była w połowie pełna. – Może jednak wezmę ci coś normalnego?

– Nie trzeba. To jest w sam raz. – Dla potwierdzenia tych słów wyzerowałam zawartość swojego szkła. – Jeszcze po jednym i w drogę?

Pete skwapliwie przytaknął. Kiedy na stół trafiła następna kolejka, wzniosł swój kufel, mówiąc: – Za powodzenie misji.

– Amen.



Nathaniel otworzył drzwi pokoju oznaczonego numerem 606 dokładnie w chwili, gdy stojąca na progu blondynka miała zamiar zapukać. Stała z uniesioną pięścią i zaskoczeniem malującym się na ładnej twarzy.

Rozchyłony płaszcz ukazywał wieczorową suknię, jednak kobieta nie przysła tu po to, żeby zagrać w blackjacka. W każdym razie nie tylko.

– Dobry wieczór – odezwała się niepewnie. – Pan Thorne, jak mniemam?

Skinął głową.

– Byliśmy umówieni... jednakże moje plany uległy zmianie – powiedział.

Na jej czole pojawiła się niewielka zmarszczka.

– Jak to? Nie rozumiem.

Zmierzył ją chłodnym spojrzeniem.

– Loraine, jestem pewien, że komuś takiemu jak ty nie trzeba wyjaśniać podstawowych rzeczy. Zawiódłbym się na tobie, gdyby było inaczej. A gdybym się zawiódł... nie traciłbym na kogoś takiego czasu.

– Skąd zna pan...?

– Imię? – Rozchylił wargi w drapieźnym grymasie. – Wiem znacznie więcej. Na przykład to, że potwornie się przeliczyłaś i popełniłaś błąd, który będzie cię bardzo wiele kosztował. Wszyscy inni zawiedli, skoro przysłałaś właśnie do mnie. Rozczarowujące, że tego rodzaju kwestie chcesz teraz poruszać. Przecież doskonale zdajesz sobie sprawę, do kogo zwróciłaś się o pomoc.

Zbladła pod swoim nienagannym makijażem. Bała się, lecz pragnienie zdobycia tego, po co przybyła, popychało ją do przodu mimo strachu. Ją i całą resztę jej podobnych – tych wszystkich, którzy przybyli tu prosić go o niemożliwe.

– Proszę. – Wyciągnęła ramię, chcąc złapać Nathaniela za rękę, ale w ostatniej chwili zmieniła zamiar. – Zależy mi na czasie, panie Thorne.

– Wrócimy do naszej rozmowy... – zerknął na wymaginowany zegarek na swoim nadgarstku – kiedy wrócę.

– Nie. Zróbmy to teraz. Przebyłam bardzo daleką drogę i nie zamierzam czekać.

Uśmiechnął się, ale w taki sposób, że kobieta aż się cofnęła.

– Chcesz wiedzieć, skąd ja przybyłem?

Powoli pokręciła głową.

– Nie. Raczej nie.

– Słusznie. – Wskazał pokój za swoimi plecami. – Rozgość się. I zastanów, co jesteś w stanie poświęcić.

– Ja...

Przytknął palec do swoich ust i kobieta posłusznie zamilkła.



– Wybierz mądrze. A tymczasem podziwiał widoki.

Ruszył w kierunku wind, nie oglądając się. Blondynka nie próbowała go już zatrzymać. Wiedział, że będzie na niego czekać. Bez względu na to, ile to potrwa.

Wyszedł z Czerwonego Barona tylnymi drzwiami i przeciął parking oznaczony jako WYŁĄCZNIE DLA PERSONELU. Zatrzymał się przy czarnym jaguarze, a chwilę później odjechał prosto w nadciągającą noc.

Szybko zostawił za sobą światła miasta. Prowadziła go nie tylko ciekawość, lecz także swego rodzaju potrzeba. Ludzkie życie miało to do siebie, że było rozpaczliwie kruche, a on nie zamierzał pozwolić, by to jedno, które tak go zafascynowało, skończyło się wskutek błahego zbiegu okoliczności. Będzie więc aniołem stróżem, jeżeli wobec kogoś takiego jak on można w ogóle użyć podobnego określenia.

Bez trudu ją znalazł. Pruła przed siebie z pozorną nonszalancją.

Królestwo za jej myśli, jednak nie tym razem. Lubił ją obserwować, przyglądać się jej zachowaniu, sprawdzać, jakim zajęciom się oddawała.

Czyny mówiły więcej niż słowa.

Leah, Leah, Leah.

Lyth.

Wyłączył światła na długo przed tym, zanim zbliżył się do starego forda. Kiedy droga się zwęziła, docisnął gaz i z rykiem wyminął samochód dziewczyny. Niewiele brakowało, a straciłaby panowanie nad kierownicą, z czego doskonale zdawała sobie sprawę. Jednak się nie bała. Nie ona.

Na wargach Nathaniela gościł szeroki uśmiech.

## 9



Zanim wróciłam do siebie, zrobiłam rundę dookoła miasta. Nie przepadałam za tym mieszkaniem i miałam wrażenie, że zajmuję je właśnie dlatego. Nie chodziło o swego rodzaju masochizm, po prostu miejsce, którego się nie lubi, opuszcza się chętniej.

I zdecydowanie mniej ochoczo do niego wraca.

Minęłam zjazd, który prowadził na moje osiedle, i pojechałam dalej.

Wkrótce miasto zmieniło się w odległą feerię świetlnych punktów. Dzień chylił się ku upadkowi, a tutaj, pośród gęstych drzew, było jeszcze ciemniej, prawie jakby noc już zapadła. Podgłośniłam muzykę i zwiększyłam prędkość. Najlepiej mi się myślało, kiedy szłam bądź

jechałam, nieważne, gdzie, liczył się sam moment ruchu. A obecnie miałam o czym myśleć. I mimo że sama wpakowałam się w tę sytuację, nie żałowałam. Bezpieczne życie rzadko było ciekawe. W dodatku mnie interesowała prawda.

– A ty bardzo wiele ukrywasz, Thorne – mruknęłam i...

...jego twarz mignęła mi w przedniej szybie.

Złudzenie trwało nie dłużej niż ułamek sekundy, ale było upiorne. To musiało być przemęczenie. Albo kolejny objaw szwankującej głowy.

Nagle z nicości wyprysnął jakiś skończony debil i przejechał tuż obok, niemal zmiatając mnie z jezdni. Nie zauważyłam go wcześniej, nie miałam na to szans, ponieważ kutas nie włączył świateł. Kurczowo przytrzymałam

kierownicę i skontrowałam, inaczej mój ford owinąłby się wokół najbliższego drzewa.

– Chory skurwysynu! – wyrwało mi się.

W pierwszym odruchu chciałam ruszyć za nim w pogoń i zanim w ogóle zadałam sobie pytanie, czy to dobry pomysł, moja stopa już wciskała pedał gazu do oporu. Może i bym to ciągnęła, ale samochód zniknął tak nagle, jak się pojawił. Nie to, żebym tym swoim gruchotem miała szansę ze sportową furą, ale nie powinnam odpaść już w przedbiegach. Szlag. Gdyby należało złożyć raport, nie wiedziałabym nawet, jaką markę auta wpisać.

Jaguar? Porsche? Może. Tak na sześćdziesiąt procent. Albo i mniej.

Zajechałam na swoje osiedle, gdy indygo zmierzchu zaczynało przechodzić w głęboką czerń. Zaparkowałam w podziemnym garażu apartamentowca – śliczna nazwa jak na ten betonowy kloc – i zamiast brać windę, wspięłam się po schodach na czwarte piętro. Musiałam jakoś odreagować. Wsunęłam klucz w zamek, tyle że drzwi były otwarte. Fajnie, tylko że pamiętałam, jak je zamykałam. Wszystkie wskaźniki w moim umyśle błyskawicznie przeskoczyły na czerwone pola, a ja zastanowiłam się, dlaczego, do kurwy nędzy, nie zabrałam ze sobą broni.

Weszłam do mieszkania, ale nie zapalałam światła. Podstawowa przewaga, jaką mamy nad włamywaczami, jest taka, że w przeciwieństwie do nas nie znają rozkładu pomieszczeń i lokalizacji przedmiotów. Szłam powoli, starając się zobaczyć cokolwiek w ciemności. Wydawało mi się, że coś słyszałam. Dźwięk dochodził z salonu.

Już nie żyjesz, skurwielu.

Złapałam pierwszą lepszą rzecz, jaka napatoczyła mi się pod rękę. Pech chciał, że była to parasolka, ale dobre i to. Na końcu miała metalowy szpikulec, więc w ostateczności mogłam zrobić z intruza szaszłyk.

Minęłam kuchnię i szłam dalej, starając się poruszać jak najciszej.

Dźwięk dochodzący z salonu się powtórzył. A więc wcale mi się nie wydawało. No i zapach. Teraz wyraźnie wyczuwałam woń pustyni.

Zrobiłam jeszcze parę kroków i ustawiłam się tak, żeby widzieć pomieszczenie i zarazem pozostać niewidoczna. Wyteżyłam wzrok i dostrzegłam coś, co albo było rzuconą w beładzie bluzą, albo fragmentem czyjejś głowy.

– Dobry wieczór, Leah – dobiegł mnie znajomy głos.

Mocniej zacisnęłam palce na drewnianej rączce. Nie, nie bałam się.

Byłam wściekła.

– Ty? Tutaj? – Trzasnęłam końcem parasolki we włącznik i salon zalało światło. – Życie ci niemiłe?

Siedział w fotelu, zwieszając ręce z podłokietników, i przyglądał mi się z rozbawieniem.

– Zabiłabyś mnie? Naprawdę?

Szczerze? Bardzo chętnie.

Zdmuchnęłam łaskoczące mnie w czoło pasmo włosów i zapytałam: –

Słyszałeś o czymś takim jak wtargnięcie na teren prywatny? Nie wiem, jak to wygląda w twoim kraju, ale teraz jesteś w Stanach. Jesteśmy tu dość mocno przywiązani do własności prywatnej. W dodatku włamałeś się do mieszkania policjantki.

– A jednak, jeśli wezwiesz funkcjonariuszy, nie znajdą śladów włamania. – Thorne uśmiechnął się, prezentując zbyt ostre zęby. – Wygląda na to, że dałaś mi klucz.

– Oszczędź sobie tej świrogadki. Po co tu przyszedłeś?

– Nie mogłem się doczekać, aż znów się zobaczymy.

– Trzeba było zadzwonić – warknęłam.

– Chciałem zobaczyć, jak mieszkasz. – Zatoczył ręką łuk w powietrzu.

– W ten sposób wiele można się dowiedzieć o człowieku.

Najchętniej po prostu bym go stąd wykopała albo jeszcze lepiej – rzeczywiście wezwała gliny. Tylko że nie byłoby to specjalnie strategiczne rozwiązanie, o czym Thorne dobrze wiedział. Przyszedł tu z pełną premedytacją, żeby mnie wkurwić, a ja, jeżeli chciałam coś ugrać na tym szalonym układzie, musiałam podnieść rzuconą mi rękawicę.

– I jak? Zadowolony?

– Nie tego można by się spodziewać po siostrzenicy burmistrza. Lecz w zasadzie nie jestem zaskoczony.

Tych drzwi nie zamierzałam otwierać.

– Oprowadzę cię, chcesz? Pod warunkiem, że potem ty zrobisz to samo.

– Mieszkam dość... daleko stąd.

– Nie mówię o twoim kraju, tylko o miejscu, w którym się zatrzymałeś.

Swoją drogą, co to właściwie za kraj?

– Kraj? – powtórzył, po zwierzęcemu przekrzywiając głowę.

To będą zajebicie długie dwa miesiące, pomyślałam.

– Twój akcent. Jest dość egzotyczny.

Nie odpowiedział. Tylko na mnie patrzył tym swoim świdrującym wzrokiem. Wielu różnych dziwnych typów się na mnie gapiło w sali przesłuchań, ale ten bił ich wszystkich na głowę. Aż włosy się jeżyły.

– Daj mi coś, poważnie. W przeciwnym razie uznam, że ten układ nie jest rokujący, i go zerwę.

– Dam cały świat, jeżeli tylko wyrazisz takie życzenie.

No i wróciliśmy do świrowania, pięknie.

– Napijesz się czegoś? – spytałam z rezygnacją.

Thorne podniósł się z fotela i podszedł do mnie. Jego ruchy cechowała lekkość oraz zwinność. Coś podobnego widziałam przy dwóch okazjach – u tancerza i gościa, który okazał się płatnym zabójcą.

– Cały czas go nosisz. – Wskazał łańcuszek na mojej szyi.

– Masz z tym jakiś problem?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– To czyni naszą rozmowę... ciekawszą.

Świr.

– To chcesz coś do picia czy nie? – ponowiłam pytanie. – Bo i tak idę do kuchni.

Ruszył za mną, chociaż go nie prosiłam. Pieprzony turysta.

– Nie masz tu zbyt wielu rzeczy osobistych – zauważył.

– Niedawno się wprowadziłam – skłamałam.

– Skoro tak twierdzisz.

No tak, facet pewnie miał w małym palcu cały mój życiorys i mógł cytować fragmenty na wrywki.

Zorientowałam się, że wciąż ściskam w dłoni parasol. Przesunęłam za jego pomocą stertę pudeł po pizzy pod ścianę, po czym oparłam go o szafkę: wciąż mógł się przydać jako prowizoryczna broń. Otworzyłam lodówkę i wyjęłam dwie butelki wody. Jedną postawiłam na kontuarze, drugą odkręciłam i od razu wypiłam niemal połowę zawartości. Zdaje się, że zapasy mojej energii pochłaniała walka z pragnieniem, by nie dać Thorne'owi w mordę. Albo go...

Nie. Stop, stop, stop.

Mężczyzna przyglądał mi się uważnie.

– Coś nie w porządku? – zainteresował się.

Przy tobie? Wszystko.

– Powiedz, czemu pozwalasz takiemu troglodycie jak Miller dowodzić?

– zapytałam.

– W przeciwnym razie polowałabyś teraz na mnie. – Oparł dłoń o ścianę, parę centymetrów od mojej głowy. Znów znalazł się o wiele bliżej, niż powinien. A ja... Ujmijmy to tak: niekoniecznie poczułam to, co powinnam. – Czyż nie?

– Pytam poważnie. Chronisz go, ale dlaczego?

– Bo takie było jego życzenie.

– Z całym szacunkiem, ale nie wyglądasz mi na dobrą wróżkę, Nate. On coś na ciebie ma?

Zaśmiał się.

– Wręcz przeciwnie, moja droga.

– Wiesz, że nikt nie jest nietykalny w nieskończoność, prawda? Nie zrozum mnie źle, ale jeśli przegapisz swoją szansę, może być za późno.

Wtedy nawet kumpela policjantka ci nie pomoże.

Jego twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od mojej. Niech mnie szlag, ale oczy Thorne'a były niebieskie. To musiały być soczewki.

Musiały. Ale wobec tego dlaczego jeszcze w salonie tęczówki wyglądały na ciemniejsze?

– Czas jest zaledwie cieniem w umyśle, jak trafnie ujął to pewien pisarz

– stwierdził refleksyjnie.

I w tym momencie trafił mnie szlag.

– Och, skończ pieprzyć, Thorne! W co ty grasz? Przychodzisz tu, serwujesz mi teksty jak z kiepskiego pamfletu. Po co?

– Chciałem sprawdzić, jaka namiętność ma nad tobą władzę. I już wiem.

– Tak? No to moje gratulacje. – Obeszłam go tak ostrożnie, jak obchodzi się dzikie zwierzę. Czy to zapach, którym emanował, czy ten egzotyczny akcent, nie wiem, ale zaczynało mi się kręcić od tego w głowie.

Thorne wodził za mną tymi niesamowitymi oczami.

– To gniew.

– Gniew to wszystko, co mam. – Nie chciałam tego powiedzieć. To po prostu wydostało się z moich ust.

– Mogę ci pomóc go uwolnić.

Zerknęłam na niego z ukosa.

– Jesteś szalony, wiesz?

– Jednak to ty zamknęłaś samą siebie w klatce.

Skrzywiłam się.

– O czym ty teraz bredzisz?

– To miejsce – rozłożył ręce i wznosił oczy do sufitu – to tylko zbudowana z betonu klatka. Nie lubisz jej. Gardzisz nią. A jednak w niej trwasz.

Jezu, ile czasu on tu siedział, zanim wróciłam? Wyglądało na to, że zwiedził każdy kąt i wyciągnął wnioski na podstawie tego, co zobaczył.

Irytujące było to, że okazały się prawdziwe. On jednak nie musiał o tym wiedzieć.

– Nie, czemu? Bardzo sobie chwale.

– I dlatego nie ma tu choćby drobiazgu sugerującego, że mieszka tu żywa osoba? – Wycelował palec w kierunku salonu. – Nawet książki wciąż trzymasz w kartonie.

– Mam to. – Kciukiem wskazałam pudła po pizzy. – Nie wystarczy?

Przyglądał mi się z czymś w rodzaju politowania, przez co drażnił mnie jeszcze bardziej. Był bandytą, do kurwy nędzy, i właśnie powinnam go zakuwać w kajdanki, a zamiast tego toczyliśmy tę chorą grę.

– Wiesz, dlaczego tu mieszkasz? – zapytał. – Dlaczego mieszkasz tu naprawdę?

Przewróciłam oczami.

– Pewnie zaraz mi powiesz.

– Boisz się polubić jakieś miejsce, lękasz się polubić cokolwiek na tym świecie. Kiedy nienawiść jest jedynym, co posiadasz, wszystko jest prostsze. Dlatego ją w sobie pielęgnujesz. Nienawiść oślepia, ale i znieczula. A ty nie chcesz czuć, Leah.

Kuchnia nagle stała się za ciasna, a światło za ostre. Zorientowałam się, że zaschło mi w ustach. Skąd on brał te rzeczy? Wyciągał je wprost z mojej głowy?

– To już wszystko? – warknęłam. – Czy zaraz rozłożysz przede mną test Rorschacha[4]?

Nie wydawał się zrażony, przeciwnie. Przyglądał mi się ze skupieniem, niemal z fascynacją. A jego oczy... znów stały się ciemne. Nie wiem, co było nie tak – z nim czy ze mną – ale naprawdę były ciemne.

– Mordowanie piękną jest zbrodnią. I twoja nienawiść jest piękna. –

Dłonią dotknął piersi okrytej elegancką koszulą. – Nie dopuściłbym się zbrodni na czymś pięknym. Nie, nigdy tego nie robię.

Zabawne, że właśnie on mówił o zbrodni.

– Wybacz, Nate, ale trochę się spieszę. Może twój szef będzie bardziej rozmowny, skoro ty nie jesteś.

Chwycił mnie za rękę.

– Wyszłabyś bez pożegnania? Doprawdy?

I znów znaleźliśmy się o wiele za blisko. A mnie już naprawdę kręciło się w głowie.

– Puść... mnie... – wycedziłam.

– Mam lepszy pomysł.

Bałam się tych jego lepszych pomysłów.

– Proszę. – Wsunął mi w dłoń złoty prostokąt. – To dla ciebie.

Opuściłam wzrok.

– Karta kredytowa? Dzięki, zawsze chciałam taką mieć.

– Przypatrz się uważnie.

Zrobiłam to. Karta nie miała nadrukowanego emblematu żadnego znanego banku. W ogóle niczego nie miała. Gładki kawałek złota. Druga strona była jednak wyposażona w pasek magnetyczny.

– To coś otwiera? – zaryzykowałam.

Lekko skinął głową.

– Panel sterujący w windzie ma wejście na tę kartę. Włóż ją tam.

Sprawdź, co się stanie.

– No nie wiem, trafię prosto do piekła? – Obracałam złoty plastik w palcach, przyglądając mu się nieufnie. Próbowałam odtworzyć w pamięci panel z windy w Czerwonym Baronie. Być może miał wejście na kartę, tego pewna nie byłam.

Kojarzyłam natomiast coś innego. Liczbę pięter, która się nie zgadzała. Ta karta musiała dawać dostęp do tego, co było wyżej.

Nathaniel spojrział na mnie, a potem zaczął się śmiać.

– A chciałybyś?

– Zazwyczaj wysyłam tam innych.

– To zupełnie tak jak ja. – Nie śmiał się już, ale w jego oczach błyszczały jakieś zadziorne iskierki.

Do diabła z jego świrogadką. Ten mężczyzna zaczynał mnie coraz bardziej fascynować i to powoli wykraczało poza zadanie, które sama sobie powierzyłam.

Chciałam poznać genezę jego szaleństwa, dowiedzieć się, kim właściwie jest. Jeśli będę miała szczęście, Pete dogrzebie się do informacji. Bo w to, że cokolwiek wyciągnę od Thorne'a, zaczynałam wątpić. Chyba że to będzie jakiś średniowieczny wiersz.

– Każdy nowy pracownik to dostaje? – Uniosłam złotą kartę.

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Wszyscy lubią myśleć, że są wyjątkowi. Ty naprawdę taka jesteś, Leah. Niedługo się o tym przekonasz.

Brzmiało to trochę jak wstęp do sekty, ale to nie był pierwszy nienormalny, z którym miałam do czynienia. Taka praca. Właściwie zdążyłam przywyknąć.

– Uznam to za komplement. – Wsunęłam kartę do tylnej kieszeni dżinsów. – A teraz naprawdę chciałabym już iść.

– Nie, nie chciałybyś.

Teraz jeszcze tak. Istniała jednak obawa, że jeśli będę przebywać z tym facetem w mojej małej kuchni, w końcu wpadnę na jakiś durny pomysł. Im dłużej tu był, tym mniej sobie ufałam. Nie wiem, w którym momencie popełniłam błąd, ale od chęci mordy płynnie przeszłam do innego rodzaju pragnień cielesnych. Żaden szanujący się pisarz nie wymyśliłby takiej szmiry, a jednak proszę, życie biło książki na głowę.

– Możesz zostać, jeśli masz ochotę – zaproponowałam. – I tak nie ma tu nic, co warto ukraść.

Chciałam go wyminąć, ale złapał mnie za rękę. Poczułam, jak przechodzi mnie dreszcz. Facet chyba był naładowany elektrycznością.

– Poszukujesz prawdy – powiedział. – A ja mogę ci ją dać.

– Tak, już to... Hej, człowieku, to mój łańcuszek! – Nie wiem, jak to zrobił, ale wisiołek znajdował się teraz w jego dłoni. – Oddawaj!

Wyciągnął przed siebie rękę. Niebywałe, ale się uśmiechał. I ten uśmiech wydawał mi się coraz bardziej rozbajający.

– Wybacz. Stare nawyki.

A więc był kieszonkowcem. No jasne.

Porwałam naszyjnik zdecydowanym ruchem, nie spuszczać z Nathaniela wzroku. Nie wiedziałam nawet, w którym momencie zdjął mi go z szyi. Niewiarygodne.

– Jak ty to właściwie robisz? – mruknęłam.

– To taki rodzaj magii – powiedział i puścił do mnie oko.



Nathaniel pchnął niedomknięte drzwi pokoju 606 i wszedł do środka.

Światła nie były zapalone, ale on lubił ciemność. I doskonale się w niej poruszał. Kobieta, której kazał czekać, stała na tle okna. Nie zdjęła płaszcza, mimo że panująca tu temperatura do tego zachęcała. Paliła papierosa, dym unosił się krętą wstęgą.

– Wrócił pan – odezwała się.

Niespiesznie przeciął pomieszczenie i zatrzymał, się dopiero kiedy zbliżył się do niej na odległość kilku kroków.

– A ty umilasz sobie czekanie – zauważył.

Zerknęła na trzymanego w dłoni papierosa.

– Nie wolno tu palić? Moje niedopatrzenie.

– Jedno z wielu.

– Proszę?

Posłał jej drapieżny uśmiech.

– Dym ma przyjemnie słodki zapach. I doskonale maskuje woń strachu.

Widział, jak wielką miała ochotę się cofnąć, zmusiła się jednak, by pozostać na miejscu. Zapewne znała przysłowie, że Bóg nie lubi tchórzy, nie wiedziała tylko o jednym. Bóg nie lubi nikogo.

– Pali pan? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Nie. Lubię dym, to wszystko.

Zaciągnęła się jeszcze raz, po czym z udawaną bezradnością rozejrzała się wokół. Niedopałek żarzył się pomiędzy jej palcami.

– Możesz go zgasić tam, gdzie poprzednie – podsunął Nathaniel.

Zarumieniła się.

– Ja...

– Znudziłaś się podziwianiem widoków.

Bez słowa zdusiła papierosa o parapet i rzuciła na kupkę tych, które wypaliła wcześniej. Każdy filtr nosił na sobie odcisk jej ust, czerwony tak samo jak pomadka.

– Na blacie leżą dokumenty. – Nathaniel ręką wskazał proste dębowe biurko, jedyny obok dwóch krzeseł mebel w tym pomieszczeniu. –

Przyjrzałaś się im?

– Nie – odparła. Tak, mówił ton jej głosu.

– W takim razie zrób to teraz.

Z wahaniem ruszyła w stronę biurka, lecz zamarła po kilku krokach.

Spojrzała pod nogi na krwistoczerwone linie, które gasły i rozpały się na nowo, bładły i zyskiwały na intensywności w rytmie przywodzącym na myśl oddech. Kiedy uniosła wzrok i popatrzyła mu w oczy, Thorne zobaczył w jej spojrzeniu strach.



- Ta podłoga...
- Oświetlenie sterowane naciskiem – wyjaśnił.
- Kto je włączył?
- Ja.

Jeszcze przez chwilę przyglądała się szkarłatnym symbolom wymalowanym dookoła jej eleganckich szpilek, następnie pokonała dzielącą ją od biurka odległość. Dopiero tam wydała z siebie cichy okrzyk.

- Lampka również jest sterowana. – Nathaniel zajął miejsce naprzeciwko kobiety.

Lęk dodał jej twarzy lat. Blondynka zerknęła nieufnie to na lampkę, to na krzesło, to na samego Thorne'a. Na jej pobladłym obliczu odbijały się wszystkie pytania, których jednak nie zamierzała zadać. Wreszcie usiadła.

Oboje popatrzyli na schludnie ułożony stos papierów. Pierwsza kartka była odwrócona do góry nogami. Blondynka przekręciła ją w ten sposób i teraz musiała zdać sobie sprawę z własnej pomyłki.

- Wśród dokumentów, których oczywiście nie przejrzałaś, najbardziej zainteresował cię punkt siódmy, paragraf dziewiąty. – Nathaniel nie pytał, stwierdzał prosty fakt.

Przygryzła dolną wargę. Niechętnie, jednak przyznała mu rację.

- Tak. – Jej szept był tak cichy, że niemal niesłyszalny.

Pozwolił jej ponownie przekartkować plik i obserwował, jak oczy kobiety przebiegają tekst od lewej do prawej, strona po stronie. Umowa, jakich podpisała w swoim życiu wiele. Ta jednak była szczególna.

- Zdecydowałaś już, co poświęcisz?

– Ja...

– Loraine – zeszywniała, gdy nakrył jej dłoń swoją ręką – przecież dobrze wiesz, że musisz zapłacić. Marzenia kosztują.

- Mogę wypisać czek.

– Nie chodzi o pieniądze, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę. –

Ścisnął jej palce odrobinę mocniej. Na twarzy blondynki odbił się ból, nie próbowała jednak cofnąć dłoni. – Zastanów się dobrze, zanim odpowiesz.

Trzeciej próby nie będzie.

Milczała bardzo długo, patrząc wszędzie, tylko nie na twarz siedzącego przed nią mężczyzny.

- Natalie Pritchett – powiedziała w końcu. – Poświęcę Natalie.

Wargi Thorne'a rozciągnął szeroki uśmiech.

- To córka twojego męża, prawda? Jego jedyna córka.

Dziwiła się, skąd to wie, tak jak wcześniej zdziwiła się, jak to się stało, że zna jej imię. Zaraz jednak wytłumaczyła sobie, że ktoś taki jak on wie wszystko. Istotnie, tak właśnie było.

- Tak. – Przełknęła ślinę. – Co jej się stanie?

– Naprawdę chcesz to wiedzieć?

Bez słowa pokręciła głową. Oczywiście, że nie chciała. Ale i tak się dowie.

- Mam... to podpisać?

Nathaniel potwierdził.

- W środkowej szufladzie biurka znajdziesz długopis. Wyjmij go.

Odchyliła się na krzesło i objęła mebel wzrokiem. Nie znalazła uchwytu, więc pociągnęła szufladę od spodu. Kiedy zaś wsunęła do niej rękę, jej twarz ponownie wykrzywił bolesny grymas. Syknęła cicho i włożyła sobie kciuk do ust.

– Musiałaś się skaleczyć. – Nathaniel spoglądał na kilka maleńkich szkarłatnych kropel, które skapnęły na leżące przed kobietą kartki. – Co za pech.

Ona jednak nie zwróciła na to uwagi. Patrzyła na długopis, który trzymała między palcami. Jej dłoń drżała lekko.

– Nie musisz tego robić – odezwał się Thorne. – Możesz wstać i odejść.

Propozycja niczym wybór Hobsona. W rzeczywistości blondynka nie miała alternatywy, jednakże ten pozór decyzji wystarczył, dawał tak potrzebne jej złudne wrażenie, że to ona rozdaje karty w tej rozgrywce.

– Nie. – Złożyła zamaszysty podpis na dole strony, niemal nie patrząc na sam dokument.

Nathaniel przyglądał się jej, opierając podbródek na splecionych palcach obu dłoni. Wszyscy dawali się uwieść ofercie, jaką im przedstawiał. Łatwy sukces, natychmiastowe rozwiązanie problemów, droga na skróty kusily każdego. Nie widział tego pragnienia tylko w jednej osobie. I to właśnie ona intrygowała go ponad wszelką miarę.

– To... To już wszystko? – zapytała Loraine.

– Istotnie. Teraz pozostało ci tylko stąd wyjść i cieszyć się swoim nowym, lepszym życiem.

Nie musiał jej do tego specjalnie zachęcać. Blondynka wstała i ruszyła do drzwi. Nie oglądała się, patrzyła prosto przed siebie. Podłoga pulsowała w rytm jej kroków i przy kolejnym zapłonęła cała.

– Żegnaj, Loraine. – Thorne uśmiechał się, ukazując za dużo zbyt ostrych zębów. – Jestem pewien, że będziesz zadowolona.

Przekroczyła próg i nagle się zatrzymała. Odwróciła głowę i popatrzyła prosto na mężczyznę.

– Ona umrze, prawda? Natalie umrze.

Nathaniel nieznacznie poruszył dwoma palcami prawej dłoni. Drzwi do pokoju 606 zatrzęsnęły się, pozostawiając kobietę bez odpowiedzi.



Niecały tydzień, tyle czasu minęło, zanim skorzystałam ze złotej karty.

Nie chciałam zbyt szybko dawać Thorne'owi satysfakcji, jednak ciekawość wreszcie wzięła górę. Nie miałam zielonego pojęcia, czego mogę się spodziewać, ale raczej niczego dobrego. Dlatego postanowiłam zabrać ze sobą broń. Jak się okazało, wniesienie jej do hotelu nie było takie znowu trudne, jeśli poznało się w życiu parę sztuczek.

Wyczekałam mniej więcej do północy, kiedy ruch w kasynie był największy, i wyślizgnęłam się na korytarz dla zaopatrzenia. Całkiem nieźle rozeznałam się już w rytmie życia Czerwonego Barona, szkoda tylko, że moje śledztwo tkwiło w martwym punkcie. Jak dotąd najciekawszym odkryciem było to, że jedna z hostess jest w ciąży. Nie o coś takiego mi chodziło.

Podkrađłam się do windy i wcisnęłam przycisk przywoływania. Kiedy drzwi się rozsunęły, moim oczom ukazała się pusta kabina. Jak na razie dobrze. Wsiadłam i już miałam przeciągnąć kartą po slocie, ale zobaczyłam, że pali się przycisk drugiego piętra. A więc czekało mnie towarzystwo. I żeby go uniknąć, powinnam pryskać...

...już.

Drzwi rozsunęły się po raz drugi i wsiadła wyzywająco ubrana brunetka o obfitych piersiach. Widziałam ją tu już kilkakrotnie, była jedną z tych ważniejszych osób. Lekko skinęłam jej głową, gdy weszła do kabiny.

Zachowywałam się tak, jakbym miała pełne prawo tu być, jakbym doskonale wiedziała, co robię. Cycata nie powinna nabrać podejrzeń, że coś jest nie w porządku. Ale oczywiście nabrała.

– Na górę? – Jej wzrok nie zachęcał.

– Mhm.

– Niby po co?

– Zostałam wezwana.

– W jakim celu?

– Obsługa gościa hotelowego. – To kłamstwo pasowało mi najlepiej spośród pięciu innych.

– Masz mnie za idiotkę?

Oho, jednak będą turbulencje.

– Raczej za kogoś, z kim jednak nie muszę rozmawiać – odparłam, a ona poczerwieniała.

Osoba o jej pozycji nie nawykła do tego, że pracownicy niższego szczebla pyskują. Miałam też szczerą nadzieję, że nie będzie potrafiła mnie rozpoznać w tłumie innych fioletowych peruk, kiedy znów się zobaczymy.

Chociaż nie, cofam to. Cycata skanowała mnie z góry na dół i pewnie wypalała sobie teraz na siatkówce każdy szczegół mojej twarzy. Nie wiem, czy była zakochana w Thorne czy w Millerze, ale traktowała mnie jak intruza na swoim terytorium.

– Skąd to masz? – Jej oczy znieruchomiały na wysokości mojej dłoni.

– To? – Lekceważąco wzruszyłam ramionami. – Dostałam.

Wykonała ruch, jakby chciała zabrać mi kartę, ale cofnęłam rękę.

– Od kogo? – naciskała.

– Od Thorne’a. – Nie widziałam sensu zatajania tej informacji. Byłam ciekawa, jaką reakcję wywoła.

– Och, od niego. – Kobieta wyraźnie się rozluźniła. Ale na jej twarzy pojawiło się coś jeszcze. Niesmak. – W takim razie mogę ci jedynie współczuć.

– Dlaczego? – spytałam niewinnie.

Oparła się barkiem o ścianę kabiny, krzyżując ręce na piersiach.

– Wiesz, czym Thorne się tu zajmuje?

– Nadzorem. – To brzmiało lepiej niż: „Tak, dokładnie tego mam zamiar się dowiedzieć”.

– Jeśli tak chcesz to ująć. – Zerknęła na panel, a potem wcisnęła przyciski wszystkich pięter po kolei, chcąc możliwie najbardziej spowolnić

windę. Co ciekawe, wybrała to rozwiązanie, nie guzik awaryjny, który zatrzymałby ją zupełnie. – On nie jest tym, kim się wydaje.

Czyli świrem? No, nie domyśliłabym się.

– To znaczy?

– Robi tu... – zakreśliła palcem młynka w powietrzu – dziwne rzeczy.

Pomyśl o czymś najgorszym, co przychodzi ci do głowy, a to i tak będzie za mało.

Słyszałam już podobne opowieści, ja i chyba każdy w tym mieście, włączając dzieci. Jeśli kobieta chciała zasiać we mnie niepokój, musiała postarać się bardziej.

– O czym konkretnie mówimy? –

Ściszyłam głos do konfidencjonalnego szeptu. – O morderstwach?

– Wysil się bardziej, nie potrafisz?

Już FBI się wysilało, a i tak wyszło z niczym. Na tym polegał cały problem.

– Chwilowo nic nie przychodzi mi do głowy.

Rzuciła mi spojrzenie typu: „I właśnie dlatego jesteś tylko hostessą”.

– Morderstwo wcale nie jest najgorszym, co może człowieka spotkać – powiedziała.

– To zależy, z czyjej perspektywy się patrzy.

Przyglądała mi się przez chwilę. Winda tymczasem przystawała na kolejnych piętrach. Drzwi kabiny rozsuwały się, ukazując identyczne kuszące luksusem korytarze.

– Jak długo tu pracujesz?

– Kilka tygodni.

Powiedzmy.

– Zatem o wielu rzeczach nie wiesz. Czerwony Baron to coś więcej niż hotel czy kasyno. Istnieją pokoje, specjalne pokoje, do których trafiają niektórzy z klientów. Wszyscy z nich wychodzą, ale nie każdy wychodzi...

taki sam.

– Chyba nie chwytam.

– Ludzie przychodzą tu nie tylko po to, żeby przepuścić cały swój majątek. Przychodzą tu także, żeby spełniać życzenia. Cena wydaje się niewygórowana i każdy się na to łąpie, każdy bez wyjątku. Wszystko się zmienia, kiedy muszą zapłacić.

Gdybym była teraz na podsłuchu, nagrałabym już gigabajty bezużytecznych danych.

– A trochę jaśniej? – zachęciłam.

Zaśmiała się.

– Dalej nie rozumiesz? Thorne to wcielone zło. Zresztą sama zobaczysz. – Kącki jej ust uniosły się w koszmarnym grymasie. – Przecież właśnie jedziesz się z nim spotkać.

Potałam skroń w miejscu, gdzie łaskotała mnie ta przeklęta peruka.

Zaczynałam odnosić nieprzyjemne wrażenie, że każdy w Czerwonym Baronie jest nawiedzony.

– Zakładam, że nie ja pierwsza. – Pytanie furka, ale cycata nią nie przeszła.

– Zakładaj, co chcesz.

To sobie pogadałyśmy. Zastanawiacie się pewnie, jak ktoś tak marny w przesłuchaniach dostał się do policji? Ja w tamtej chwili zadałam sobie podobne pytanie.

– A ty? – Podjęłam kolejną próbę wyciśnięcia z niej czegokolwiek. – Za co ty mu płacisz?

– Ja nigdy nie weszłam do jednego z tych pokoi.

– Żałujesz?

Na jej twarzy odbił się strach.

– Nie.

– To dlaczego pracujesz u kogoś, kogo tak się boisz?

Winda zatrzymała się na kolejnym piętrze. Drzwi rozsunęły się z cichym „bim”.

– Tu wysiadam – oznajmiła. – Chcesz mojej rady?

– Czemu nie?

– Naciesz się tą nocą. Może być twoją ostatnią.

Patrzyłam, jak kobieta wychodzi, a potem, kiedy zostałam w kabinie sama, wetknęłam złotą kartę w slot i ruszyłam prosto na szczyt.

Nie, nie zawahałam się. Ani przez moment.

## 12



Czego konkretnie się spodziewałam? Nie wiem, nie miałam jasno sprecyzowanej wizji, ale egzekucja nie znajdowała się wcale na dole listy.

Mogłam tylko żywić nadzieję, że zdążę wyciągnąć rewolwer na czas.

Winda zajechała na najwyższy możliwy poziom i gdy drzwi się rozsunęły, wstrzymałam oddech. Nie było tu jednak żywej duszy, nawet luksus Czerwonego Barona został gdzieś w dole. Wyszłam na najzwyczajniejszy korytarz. Marmur ustąpił miejsca gołemu betonowi i byle jak pomalowanym ścianom. Gdyby jeszcze awaryjne światła zaczęły migać, wyglądałoby tu całkiem jak w horrorze.

Jedynym możliwym kierunkiem, o ile rzecz jasna nie chciałam zawracać, było wyjście ewakuacyjne. Rozejrzałam się za czymś, czym mogłabym zablokować drzwi – puste wiadro nadawało się doskonale – po czym pchnęłam dźwignię paniczną i wyszłam prosto na dach. Owionął

mnie lekki wietrzyk, niosący ze sobą chłód nocy. Na przedramiona błyskawicznie wystąpiła mi gęsia skóra. Potarłam je, rozglądając się dookoła. Noc była bezksiężycowa, a dach rozmiarami dorównywał

tankowcowi. Pełno tu było ruchomych cieni, pośród których...

– Przyszłaś – powitał mnie Nathaniel.

Aż się wzdrygnęłam. Wyglądało to tak, jak gdyby zmaterializował się w środku ciemności.

– Tak, nie mogłam sobie odmówić... – Powiodłam wzrokiem ponad jego barkiem. Czy ten stolik stał tam już wcześniej? Tak, zdaje się, że tak.

Po prostu go nie zauważyłam. – Pizzy.

– Zauważyłem, że ją lubisz.

– I po to mnie tu ściągnąłeś? Żeby jeść pizzę?

– To zależy tylko od ciebie. – Jego włosy poruszały się na lekkim wietrze, a oblana światłem gwiazd twarz wydawała się blada. Thorne wyglądał jak księżę z odległego świata i już sam fakt, że na myśl przychodziły mi właśnie takie skojarzenia, kiepsko wróżył.

– Mówiłeś, że... Właściwie to nie mówiłeś nic konkretnego.

Na jego wargach błąkał się uśmiech.

– Ładnie ci w tym kostiumie. Zupełnie jakbyś udawała inną osobę.

Udałam, że nie wychwyciłam aluzji.

– W fioletowym porażam, wiem. Dlatego tak marzyłam o tej robocie. A ty... – Zlustrowałam go od stóp do głów. W jednym ze swoich szytych na miarę garniturów prezentował się niezwykle wytwornie. – Do twarzy ci w czarnym.

– To kolor duszy. Mojej i twojej.

Jezu, co za typ.

Zrobiłam parę kroków w przypadkowym kierunku. Nie chciałam się znaleźć za daleko Thorne'a – małe rewolwery mają to do siebie, że szybko tracą celność, a niestety nic większego nie zmieściło się pod tą przeklętą kiecką – ale nie chciałam również być za blisko. W tym facecie wyczuwałam coś, coś dziwnego. A mnie to przyciągało.

– Często tu przychodzisz? – Zerknęłam na odległe światła miasta. Z tej wysokości widok był zachwycający.

– Czasami.

– A Miller?

– Niespecjalnie.

– Lęk wysokości?

– Miller ma wiele różnych lęków.

Odwróciłam się i przekonałam, że Thorne stoi tuż za mną. Jak on to robił? Poruszał się bezszelestnie. Jak cholerny kot.

– A ja mam szampana. – Ręką wskazał stolik. – Napijesz się?

– Nie, dzięki.

– No tak, mój błąd. Przecież nie pijasz alkoholu.

Nie, to nie był jego błąd. Taki facet jak on o niczym nie zapominał. To kolejny element jego gry, w którą nieudolnie próbowałam pogrywać. On był obłąkany, nie myślał jak przeciętna osoba i tak się nie zachowywał.

Jeśli chciałam mieć z nim jakiegokolwiek szanse, powinnam zachowywać się podobnie. Odrzucić schematy. A przede wszystkim zaakceptować fakt, że mogę stracić wszystko.

– Powiedz mi coś, Nate, zgoda?

Zachęcił mnie gestem, bym kontynuowała.

– Dlaczego odgrywamy ten teatrzyk?

Zrobił głęboki wdech, wyraźnie delektując się powietrzem. Spojrzał w górę, a ja bezwiednie powtórzyłam jego gest. I... zrobiło się dziwnie.

Gdziekolwiek znajdowała się Wielka Niedźwiedzica, ja jej nie znalazłam.

– Zawarliśmy umowę – przypomniał. – Zobowiązałaś się tu przychodzić, w zamian za co ja wskażę ci winnych śmierci matki. Pytanie, czy bardziej cię interesuje, kto wykonał wyrok, czy też na czyje zlecenie.

Nagle zrobiło mi się zimno. Stałam kompletnie zdębiała. Jeśli to był blef, to bardzo udany. No a jeśli nie, to facet miał mnie w garści.

– Co powiedziałaś?

Zaśmiał się.

– Och, nie, nie. Nie dotarłem jeszcze do wszystkich informacji.

Kłamał. Widziałam to.

– Ale coś już wiesz – naciskałam.

– Całkiem sporo – przyznał. – Nie jesteś jednak gotowa, by to usłyszeć.

Jeszcze nie.

Zaczynałam się wściekać. Nie, gdzie tam, już byłam wściekła.

– Och, daruj sobie. Jestem dużą dziewczynką, a ty nie jesteś moim tatusiem, Thorne.

Mów!

Nieprzyjemny grymas zeszpecił jego przystojną twarz.

– Ubolewam, że nie poznało go żadne z nas.

– Powiedz mi, co wiesz – wycodziłam. – Ślicznie proszę.

W dole zatrąbił klakson, ale na tej wysokości brzmiało to jak dźwięk dziecięcej zabawki. Tu byliśmy tylko my i noc, nasze zasady i nasza prawda. Nathaniel przyglądał mi się, przekrzywiając głowę. W kącikach jego ust igrało coś, co mogło być uśmiechem.

– Zastanawiasz się, czy nie zmusić mnie do mówienia siłą?

– A żebyś, kurwa, wiedział – odparłam i wyszarpnęłam broń.

Uniósł ręce, gdy wymierzyłam w jego pierś, ale zrobił to jakoś od niechcenia. Same dłonie również układał w dziwny sposób. Nie bał się i nie starał się tego ukryć.

Wyglądał raczej, jakby świetnie się bawił.

I co teraz? Pociągniesz za spust?

– Wolalabym tego nie robić. Chyba że dalej będziesz taki oporny.

– Jak strzelisz bez tego? – Otworzył dłoń. Wysypały się z niej naboje i z brzdękiem potoczyły po dachu.

Patrzyłam na nie z niedowierzaniem. Moje oczy rozszerzył szok.

– No dalej – zachęcił Thorne. – Sprawdź bębenek.

Zrobiłam to. Po nieznośnie długiej chwili. Był pusty.

– Jak... – Odchrząknęłam i spróbowałam znowu. – Jak to zrobiłeś?

Wzruszył ramionami.

– To taki rodzaj magii.

*Dalej nie rozumiesz? On nie jest tym, kim się wydaje. Thorne to wcielone zło. Zresztą sama zobaczysz.*

Cisnęłam bezużyteczny rewolwer na ziemię. Wbrew temu, co mówiło przysłowie, nienabita broń nie strzela. A jeśli chciałam poznać odpowiedź

na pytanie, jak to się stało, że do tej pory nikomu nie udało się choćby zbliżyć do ujęcia Nathaniela Thorne'a, to właśnie zyskiwałam na ten temat pewne pojęcie.

– Kim ty jesteś, Nate?

– Przecież dobrze wiesz. Jesteś bystrą policjantką.

*Istnieją pokoje... Specjalne pokoje. Ludzie nie wychodzą z nich tacy sami...*

Pokręciłam głową. Wnioski, do których dochodziłam, wydawały się zbyt nieprawdopodobne, by mogły być prawdziwe.

– Kim jesteś... naprawdę?

– Czystym chaosem. – W mroku nocy jego oczy były czarne jak obsydian, a my staliśmy na szczycie świata. Nad nami rozlewało się obce niebo, obce konstelacje.

Miałam osobliwe wrażenie, że kosmos wywraca się na lewą stronę, a ostatnia kotwica, która jeszcze trzyma mnie przy zdrowych zmysłach, zaczyna puszczać.

– Wiesz co? – westchnęłam. – Chyba jednak napiję się tego szampana.

– Dobra decyzja.

Ujął mnie pod rękę i poprowadził do stolika. Wiatr chłostał coraz śmieiej, bawił się klapami jego marynarki, a ja, ubrana w odważny uniform, niemal nie czułam już ciała. Ale tak było dobrze. Jeżeli coś mogło przypominać mi o tym, że wszystko to rzeczywiście się dzieje, to właśnie chłód nocy.

Nathaniel otworzył butelkę. Korek szampana wystrzelił z efektownym „puf”.

– Wciąż zadajesz sobie pytanie, dlaczego cię nie zabiłem, nie mam racji? – zapytał, podając mi kieliszek.



– Technicznie rzecz ujmując, cały czas masz szansę – odparłam. – Jesteśmy bardzo wysoko, a ja nie potrafię latać. Mógłbyś, na przykład, zepchnąć mnie, a potem wcisnąć glinom, że to był wypadek, ale nie radzę.

Uśmiechnął się.

– Nie?

– Po pierwsze, nie uwierzą ci. A po drugie... – kiwnęłam na niego palcem w niemej prośbie, by się zbliżył – pociągnęłabym cię ze sobą.

– Śmiała i niezłomna. Wyjątkowa. – Wzniósł swój kieliszek. – Niech to będzie mój toast.

– Niech będzie – zgodziłam się.

Odchyliłam głowę i wypiąłam szampan jednym haustem. Do diabła z tym pieprzeniem o zgubnym wpływie alkoholu, każdy na moim miejscu by się napił. A ja świrowałam tak czy inaczej. Bo o ile numer z nabojami może jeszcze jakoś dałoby się wytłumaczyć, to tego, co widziałam nad nami, już nie. Patrzyłam na inne gwiazdy. O pomyłce nie było mowy. To naprawdę było obce niebo, obce konstelacje. Nie wiem, jak to możliwe, ale tak właśnie się działo.

– Jeszcze jeden? – zapytał Thorne. – Chyba ci smakuje.

Pokręciłam głową.

– Nie, dzięki. – Oddałam mu kieliszek. – Ten wystarczy.

Odstawił oba na stolik, a potem zbliżył się do mnie. I znów czułam to wszystko, czego nie powinnam. Nie lęk czy wściekłość, lecz fascynację.

Thorne chwycił mnie za rękę i uniósł ją. Teraz mój palec wskazywał atramentowy bezkres nad nami.

– To, co widzisz, moja droga, widzisz naprawdę.

– Nie. Niemożliwe.

– Dla nas wszystko jest możliwe. Jesteśmy... niemal jednym i tym samym.

Zerknęłam na niego z ukosa.

– Wiesz, z tym bym akurat nie przesadzała. Ja nie morduję ludzi z zimną krwią. – Śmiała zagrywka, ale miałam już serdecznie dość tego tańca godowego. Jeszcze chwila i stanę się równie szalona jak Thorne. – W przeciwieństwie do ciebie.

– Nie? – Rzucił mi pobłażliwe spojrzenie. – A człowiek w Union? To nie jego omal nie zabiłaś? Wprawdzie okoliczności ci nie pozwoliły, ale zamiar uczynił z ciebie mordercę.

Otworzyłam usta i zaraz je zamknęłam. Reynolds. Mówił o Reynoldsie.

Skąd on o tym... No tak, Martinez. Sukinsyn miał zajebiście długi język. I lubił forszę.

– Myślisz, że co jeszcze wiesz? Starasz się przypiąć mi te gówniane łatki, ale nie masz pojęcia, kim naprawdę jestem, więc sobie daruj.

– O nie, Leah. To ty nie masz pojęcia, kim jesteś.

Nie miałam pojęcia, jak to robił albo co było w tym szampanie, ale kiedy wymówił moje imię, brzmiało ono bardziej jak...

Lyth.

Nie dbałam o to. Coraz bardziej kipiałam furia oraz – w co sama z trudem mogłam uwierzyć – pożądaniem. Przez skrzące się mrokiem oczy tego kryminalisty, przez to, jak na mnie patrzył, i sposób, w jaki wymawiał

moje imię. Może cycata z windy miała rację, może to była moja ostatnia noc, ale nie zamierzałam tanio sprzedać skóry. Idź na całość albo idź do domu, pamiętacie?

– Dobrze wiem. Jestem kimś, kto zaraz cię aresztuje – powiedziałam i rzuciłam się na niego.

Był większy i silniejszy, ale element zaskoczenia zadziałał na moją korzyść. Powaliłam Nathaniela na ziemię i poczęstowałam prawym sierpowym. Kolejnego ciosu nie zdążyłam zadać – zablokował mi rękę.

– Skoro bawimy się w ten sposób... – Uśmiechnął się, ukazując zabarwione na różowo zęby.

A więc miałam rację. Krwawił. Jak każdy z nas.

Złapał mnie za drugi nadgarstek i szarpnął. Poleciałam do przodu jak kukła. Kurwa, nie przemyślałam tego do końca. Był zajebiście silny. W

ostatniej chwili zdążyłam wyciągnąć przed siebie ręce, inaczej przeorałabym twarzą po betonie.

Spróbowałam się odwinąć, ale przy jego refleksie nie miałam większych szans. Thorne chwycił mnie w pasie i podniósł. Młóciłam wściekle rękoma, ale bez efektu. O przepraszam, spadła mi peruka.

Mogłam tylko bezradnie patrzeć, jak niesie mnie na gzyms. Pierdolony świr. A ja go sprowokowałam.

Zatrzymaliśmy się na skraju dachu. On stał za mną, a moje stopy w połowie zwisały nad nicością. W tych szpilkach to była pewna śmierć.

– Myliłaś się w jednym – powiedział, ściskając mój kark. – Oboje potrafimy latać.

Oplotłam go nogą. Tylko tyle mogłam zrobić ze swojej pozycji.

– Mam nadzieję, że się nie boisz. Bo nie kłamałam, mówiąc, że pociągnę cię za sobą.

– Ty również nie czujesz strachu. – Przechylił mnie niżej. I, Jezu Chryste, nie wiem, jakim cudem wciąż utrzymywałam równowagę. –

Jedynie gniew.

To koniec. Naprawdę. Byłam tego już dokumentnie pewna, bo Nathaniel wypchnął mnie jeszcze bardziej poza gzyms. Nie powinniśmy dać rady utrzymać się na krawędzi, żadne z nas, nie w takim przechyle. A jednak wciąż staliśmy.

– Spójrz na nich. – Wskazał parking w dole. Z tej perspektywy znajdujący się tam ludzie jawili się jako maleńkie ołowiane figurki. – Nie jesteś taka sama.

– Tak, bo zaraz będę nieżywa. A ty razem ze mną, Thorne.

Wydawał się nieporuszony tą wizją, zupełnie jakby dla niego śmierć nie istniała.

– Nie jesteś jak oni – upierał się. – Nie kierują tobą te same pragnienia ani wartości. Nie chcesz nic sprzedać czy kupić, nie przyszłaś, żeby się ze mną targować. Wbrew temu, co sama myślisz, nie chcesz niczego ode mnie, lecz mnie we własnej osobie. Pożądasz prawdy.

*Ludzie przychodzą tu nie tylko po to, żeby przepuścić cały swój majątek.*

*Przychodzą tu także, żeby spełniać życzenia.*

Trzymał mnie tak, że nie byłam w stanie spojrzeć mu w twarz. Nagle jednak nabrałam pewności, że gdybym to zrobiła, przekonałabym się, że jego oczy są czerwone. Ta myśl wydawała się zupełnie szalona, wiem, ale nie stała się przez to ani trochę mniej prawdziwa.

– Obiecałeś mi ją dać. Sądziłam, że zawieram umowę z człowiekiem honoru.

- I dam. Całą prawdę i tylko prawdę, bez względu na to, czy ją udźwigniesz, czy nie.
- To może zaczniesz już teraz? – Zsuwałam się coraz bardziej.

Podeszwy moich butów ślizgały się na gzymsie. Na tyle znałam się na fizyce, żeby wiedzieć, że nasz ciężar już dawno osiągnął punkt krytyczny. I choć Thorne wciąż trzymał nas w pionie, nie sądziłam, że będzie w stanie robić to w nieskończoność. – Bo chyba nie zostało zbyt wiele czasu.

On najwyraźniej miał to gdzieś.

– Zwróć tylko uwagę na pewną rzecz – kontynuował tym samym wyważonym tonem. – Potrzebujesz prawdy do jednego celu. Ten i tylko ten ma dla ciebie znaczenie. Zemsta. Niczego nie pragniesz bardziej.

– Podobno najlepiej smakuje na zimno. Nie wiedziałeś?

– Przy wszystkich możliwościach, jakie mógłbym ci zaoferować... –

przysunął policzek do mojej twarzy i poczułam, że się uśmiecha – ty chcesz tylko poznać tożsamość tych, którzy odebrali ci coś cennego. Napędza cię gniew. Jest motorem wszelkiego działania. Nie dostrzegasz nawet, że nie pragniesz czegoś, co może ci przynieść korzyści. Ty dążysz do czegoś, co przyniesie ci zgnębienie. Snujesz wiele fantazji, lecz żadna nie obejmuje cofnięcia szkód, odzyskania tego, co stracone. To, co się wydarzyło, dla ciebie stało się definitywnie. Nie oglądasz się, nie spekulujesz.

– Może w twoim świecie można się cofać w czasie, ale nie w moim.

– Ludzie wierzą, że to, co ich otacza, to rzeczywistość. Przyjmują to bez sprzeciwu. Jednak się mylą. Dokładnie tak jak ty teraz, spoglądając w dół ludzkimi oczami.

Wiatr chłostał mnie po twarzy, szarpał moimi włosami i tą idiotyczną przepaską uniformu. Od patrzenia na to, co pod nami, zaczynało mi się kręcić w głowie. Od jego chorej gadki jeszcze bardziej. A jeśli runę ja, runiemy oboje.

– Jesteś gotów za to zginąć? – zapytałam.

– Jestem gotów na wszystko – powiedział i pchnął mnie.

Poleciałam z wyciągniętymi przed siebie rękoma, a przez to, że cały czas oplatałam nogę Nathaniela swoją, on poleciał razem ze mną.

Krzyczałam, pamiętam to bardzo wyraźnie. W uszach słyszałam pęd powietrza, ziemia zbliżała się coraz szybciej i szybciej, w miarę jak nabierałam coraz większej prędkości. I raptem... wszystko się zatrzymało.

Coś przeskoczyło mi w głowie. To były ułamki sekund. Świat zawirował.

Już nie spadałam, lecz dryfowałam pośród aksamitnej ciemności. Było niemal tak, jakbym tańczyła.

Parking w dole zniknął, a razem z nim wyłączył się mój umysł.

Przebywałam... w jakimś miejscu, wszędzie i nigdzie. Istniała tylko bezdenna toń, w której się zanurzałam. Nie bałam się, już nie umierałam ze strachu. Myśli odzyskały klarowność, choć tak naprawdę nie było żadnych myśli. Pozostawałam sobą, a jednocześnie nie. Kątem oka zdążyłam jeszcze zarejestrować łopot czegoś ogromnego. I tyle.

Potem nastąpiła wyłącznie czerń.

Nagle poczułam szarpnięcie i znów stałam na twardym gruncie.

Zamrugłam, nie bardzo rozumiejąc, co się właśnie, do kurwy nędzy, wydarzyło, lecz zaraz pojęłam. Prochy. W szampanie musiały znaleźć się prochy. Chociaż nie,

teoria kulała. Thorne również pił, a nie wyglądał na kogoś, kto właśnie przeżywa odlot.

– Coś nie w porządku? – zapytał, przyglądając mi się z uwagą.

– Nie, w po... – Rozejrzałam się i doznałam kolejnego szoku. Wcale nie staliśmy na gzymsie, od krawędzi dachu dzieliło nas kilka ładnych metrów. – Nie, skądże. Wszystko jest świetnie.

– Jesteś dość blada jak na osobę, która utrzymuje, że jest świetnie.

Przewróciłam oczami.

– Daruj sobie.

– Spadać to niemal jakby tańczyć, czyż nie? – zapytał od niechcienia.

Rozdziawiłam usta i gapiłam się na niego z miną osoby ociążonej umysłowo. Jak?

Jakim cudem?

*On nie jest tym, kim się wydaje.*

– Co powiedziałaś? – odezwałam się schrypniętym głosem.

– Że do twarzy ci w tych włosach.

– Nate...

– Proszę. – Wyciągnął dłoń, na której spoczywał mój wisiołek. –

Zgubiłaś coś.

Dotknęłam szyi. Oczywiście niczego tam nie znalazłam.

– Poważnie, jak ty to robisz? – zapytałam, wyrrywając mu naszyjnik z ręki.

Kąciki jego ust uniosły się odrobinę.

– Nie wszystko, co cię otacza, to rzeczywistość, moja droga.

Po kręgosłupie przebiegły mi ciarki. A zaraz potem pojawiło się znajome uczucie. Gniew. Uczepiłam się go, bo tylko on pozwalał mi nie oszaleć. Złość była czymś znajomym, czymś prawdziwym, a gdybym zaczęła zagłębiać się w to, co się tu działo, ześwirowałabym. Dostałabym zajoba. Kompletna szajba, bum.

– Skończ z tymi prorocत्वami dla obłąkanych – warknęłam. – Zabrałeś mi amunicję? W porządku. Tylko pamiętaj, że mogę cię zabić gołymi rękoma. I zrobię to, jeśli będziesz mnie dalej kiwał. Zawarliśmy układ, jak byłeś łaskaw wspomnieć. Jeśli ja utonę, ty pójdziesz na dno razem ze mną.

Zaczął mnie okrążyć, jak gdybyśmy odtwarzali jakiś rodzaj tańca.

Powtarzałam jego ruchy, nie chciałam stanąć do niego plecami. Nie ufałam mu. Nie ufałam sobie. Nie, kiedy znajdowaliśmy się tak blisko.

– Najlepsi stajemy się wtedy, kiedy możemy być tym, kim jesteśmy naprawdę. A ty, Leah, jesteś najlepsza wtedy, kiedy jesteś zła – powiedział i zamknął mi usta pocałunkiem.

*Lyth. Lyth. Lyth.*

Trzymał mnie w pasie i gdyby nie to, nogi prawdopodobnie ugięłyby się pode mną. Jego dotyk, jego usta, to, jak całował, wszystkie te doznania...

Jeżeli tak smakował grzech, mogłam iść prosto do piekła.

Jeśli wcześniej miałam jakąkolwiek samokontrolę, to teraz zniknęła.

Zaplotłam Nathanielowi ręce na karku i przywarłam do niego. Pragnęłam go, chciałam go chłonąć całą sobą. Było tak, jakbym w sekundę dostała wysokiej gorączki. Czułam smak jego krwi oraz szczególnej mocy, zapach jego skóry i zapach pustyni. Mężczyzna, który trzymał mnie w ramionach, był odpowiedzią na wszystkie moje

pragnienia, te błahie i te latami skrywane głęboko. W tej jednej chwili stał się wszystkim, czego pożałowałam. Wszystkim. Tutaj. Dla mnie.

*Lyth, Lyth... Jesteś Lyth.*

Zdawało mi się, że gdzieś w oddali gra muzyka, ale w rzeczywistości to szumiął wiatr, słyszałam jego tęskne nawoływanie. Chciałam trwać w objęciach Nathaniela całą tę noc i wszystkie kolejne, ale wiedziałam, że jeśli pozostanę w nich choćby sekundę dłużej, będę zgubiona. Nie, nieprawda. Już byłam. Spierdoliłam tę akcję na własne życzenie. Zrobiłam coś, czego absolutnie nie powinnam. Poczułam coś, co było zakazane.

Elementarny błąd, który komuś takiemu jak ja się nie zdarza. I oto proszę.

To wydawało się absolutnie niedorzeczne, kompletnie bzdurne. Jak mogło w ogóle być prawdziwe? Wybuchło w jednej chwili. Tyle że tak naprawdę istniało we mnie cały ten czas. Odkąd tylko go zobaczyłam. Źle, źle, źle, jak tragicznie źle!

*Lyth...*

Kiedy wreszcie się odsunęłam, musiała minąć zaledwie chwila. Musiała minąć cała wieczność. Staliśmy naprzeciwko siebie, on z ogniem w oczach, ja z łomoczącym gdzieś w gardle sercem. Żadne z nas się nie odzywało, ale to, co najważniejsze, zostało powiedziane bez słów.

I nagle – ponieważ musiałam znaleźć jakieś wyjście, zracjonalizować to, co szalone – zobaczyłam w tym szansę. Facet jest przystojny, wielkie rzeczy. Spodobał mi się, ponieważ najwyraźniej byłam wykolejona bardziej, niż sądziłam, ale trudno, zdarza się. Nie byłam małą, umiałam nad tym zapanować. Niech to się stanie kolejną zagrywką, niczym więcej.

Nawet się z nim prześpię, jeśli będzie trzeba. Zalatywało burdelem, ale nieważne. Niech Thorne myśli, że straciłam dla niego głowę. Może dzięki temu on straci własną. Wystarczy, że wykona jeden fałszywy ruch, z czymś się odsłoni. Wtedy będę go miała w garści.

Odeszłam parę kroków w jakimś przypadkowym kierunku – że niby jego bliskość nagle zaczęła mnie krępować. Zaryzykowałam i uniosłam głowę. I teraz, po raz pierwszy, odkąd wyszłam na dach, zobaczyłam Wielką Niedźwiedzicę. Prawdopodobnie była tam cały czas, tylko w moim mózgu coś nie stykało.

– Wciąż chcesz mnie aresztować? – zapytał Thorne.

– Niekoniecznie. – Zerknęłam na niego z ukosa. – Wpadłam po uszy w gówna, co?

– Powiedziałbym raczej... że znalazłaś kogoś, kto wskaże ci drogę do domu.

Na tę uwagę nic nie odpowiedziałam. Trudno rozmawia się z kimś, kto wstawia ci tego rodzaju gadki.

Rozejrzałam się, a potem podeszłam do stolika. Peruka zaczepiła się o jego nogę, tylko dlatego nie zwał jej wiatr. Podniosłam ją i otrzepałam.

– Terry nie byłby zadowolony, gdybym ją zgubiła – powiedziałam i wsunęłam perukę na głowę.

Thorne skwitował to pobłażliwym uśmiechem.

– Tak ci się wydaje?

Och, więc byłam kimś w rodzaju wybrańca i każdy pracownik Czerwonego Barona o tym wiedział. Jeśli to prawda, dawało mi to spore pole do popisu. Ale mogła to też być zwykła podpucha, a wtedy bardzo szybko ukręciłabym na siebie bicz.

– Sprawiał takie wrażenie – wyjaśniłam.

W następnej chwili – i to znów zalatywało krainą świrów – naprawdę usłyszałam muzykę. Nie taką, jaką puszczała w Czerwonym Baronie, bardziej w klimacie Maskarady. Uznałabym, że to dochodzące z dołu dźwięki, gdyby nie fakt, że ich źródło znajdowało się na wysokości, na której staliśmy. Nie ogłuchłam, nie było mowy o pomyłce. I tym razem to nie zawodził wiatr.

– Zatańczysz? – Thorne wyciągnął do mnie rękę.

Dlaczego, kurwa, nie? Staliśmy na dachu, gdzie grała muzyka, chociaż źródło dźwięku nie istniało. Dlaczego miałabym czegokolwiek odmawiać?

– Jasne.

Znów znalazłam się w ramionach Nathaniela i powróciły wszystkie te niedorzeczne uczucia. Tyle się naczytałam o załamaniu nerwowym i wyglądało na to, że wreszcie dopadło ono i mnie. Może komendant miał

rację z całym tym relaksem i urlopem? Szkoda, że go nie posłuchałam. Na Florydzie pewnie aż tak bym się nie odkleiła. Pewnie wcale.

*Poddaj się temu.*

*Dlaczego się nie poddasz?*

Oparłam policzek o ramię Thorne'a i kołysałam się w rytm melodii, której nie powinnam słyszeć. Na dachu górującego nad miastem budynku obracałam się w objęciach mężczyzny, o którym wiedziałam na pewno tylko to, że jest szalony.

I jeśli teraz, z perspektywy czasu, miałabym wskazać noc, do której często wracam pamięcią, byłaby to właśnie ta.

Nathaniel chwycił mnie za udo i zarzucił sobie moją nogę na biodro.

Odchylił się, ciągnąc mnie za sobą, i wykonaliśmy figurę jak w tangu.

Dostrzegłam w tym coś szalonego, coś zachwycającego. Chciałabym skłamać i powiedzieć, że było inaczej.

– Gdybyś mogła poprosić mnie o całe dobro tego świata... – szepnął.

– Nie poprosiłabym o nic.

Skinął głową, jakby tej właśnie odpowiedzi się spodziewał.

– Nic poza zemstą – stwierdził, przesuwając palcami po moim udzie.

Musiałam przygryźć wargę, żeby stłumić jęk. Jego dłoń sunęła coraz wyżej. Kciukiem zahaczył o kaburę, pobawił się nią chwilę, a potem przejechał jeszcze kilka centymetrów w górę i zatrzymał się na krawędzi majtek. Nie chciałam, żeby się to kończyło. I właśnie dlatego powinno.

– Ale tę wezmę sobie sama – odparłam.

Muzyka urwała się tak niespodziewanie, jak zaczęła grać. Uznałam to za sygnał, żeby się odsunąć, ale Nathaniel mi nie pozwolił.

– Czego się boisz? – zapytał.

Tego, że nie będę chciała odejść, pomyślałam. Powiedziałam jednak coś innego.

– Chciałbyś usłyszeć, że ciebie?

– Nie, wtedy byłbym zawiedziony. – Rozluźnił rękę, w której trzymał moją dłoń.

Wykorzystałam to i zaczęłam się cofać. Przez myśl przemknęło mi, że trudno będzie udowodnić winę facetowi tak stukniętemu jak on, w dodatku jeśli oskarżająca go policjantka również okaże się trzepnięta... I tu rozważania się urwały. Nathaniel zaczął

nucić, a ja przystanąłam tak gwałtownie, że prawie przygryzłam sobie koniuszek języka. Bardzo

chciałabym powiedzieć, że nie rozpoznałam melodii, ale to byłoby kolejnym kłamstwem.

– Masz to... pod skórą.

Zastanawialiście się kiedyś, jak czuje się osoba na chwilę przed zawałem? Nie? Nic straconego. Ja to przeżyłam właśnie w tamtym momencie. Nie polecam.

– Możesz powtórzyć?

Nie miał takiego zamiaru. I w gruncie rzeczy nie musiał.

– Tak między nami... powinnaś zainteresować się pochodzeniem tego naszyjnika.

Opuściłam wzrok. Cały czas ścisnęłam wisiorek w dłoni. Zabawne, że zwróciłam na to uwagę, dopiero kiedy o tym wspomniał. Nie miałam go na szyi i znów powróciło to dziwne uczucie. Było inaczej, jakby grawitacja mniej ciążyła. Teraz nie mogłam już tłumaczyć tego niewyspaniem, został

więc tylko ciężki pierdolec. Aż przykre, że w tak młodym wieku.

– Biorę to za pozwolenie na zerwanie się z pracy.

Skinął głową, choć wyszłam i bez jego błogosławieństwa. Każdy ma swoje granice, ja zbliżałam się do własnych.

– Do zobaczenia, Nate.

– Szybciej, niż myślisz, moja droga.

Po drodze przystanąłam, żeby podnieść rewolwer. Zanim wsunęłam go do kabury, sprawdziłam bębenek. Naładowany. Odwróciłam się, popatrując na Thorne'a z niewypowiedzianym pytaniem na wargach.

– Szybciej, niż myślisz – powtórzył.



Wróciłam do mieszkania swoim leciwym fordem, który był mniej więcej w podobnym stanie co służbowy chevrolet, chociaż nim akurat nigdy nie skakałam z wysokości. Ale może powinnam spróbować?

Najwyraźniej nie zostało mi zbyt wiele czasu na tego rodzaju numery, skoro łąpałam coraz większe odloty. A w wariatkowie raczej nie dają ci kluczyków do auta.

– Obce konstelacje, co za pieprzenie – mruknęłam, zatraskując za sobą drzwi.

Rzuciłam klucze na szafkę w holu i ruszyłam prosto do sypialni, rozbierając się po drodze. Wyjęłam z szafy przydużą koszulkę z logo INXS

i wciągnęłam ją na siebie. Usiadłam na łóżku, położyłam się i zaraz znowu usiadłam. Nie wiedziałam, czy zasnę, szczerze w to wątpiłam. Byłam przebodźcowana, w głowie miałam mętlik. I wciąż czułam smak ust Nathaniela.

*Tak między nami... powinnaś zainteresować się pochodzeniem tego naszyjnika.*

Zacisnęłam palce na wizerunku skrzydlatej kobiety dzierżącej miecz.

Zastanawiałam się. Nie spodziewałam się, żeby to był dobry trop, ale przy sprawie Thorne'a nie cierpiałam na ich nadmiar. Więc dlaczego nie?

Od myśli do czynu przystąpiłam szybko. Zagrzebałam się w pościeli z laptopem na kolanach. Na nocną szafkę trafił zwietrzały energetyk. Nie smakował rewelacyjnie, ale wciąż kopał.

– No dobra, jedziemy – powiedziałam.

I dłuższą chwilę gapiłam się na stronę startową przeglądarki.

Nie bardzo wiedziałam, czego właściwie szukam, więc próbowałam przypadkowych fraz. Po kolejnych dwóch godzinach byłam prawie pewna, że niczego nie znajdę. Przerobiłam temat alfabetycznie, z podziałem na wierzenia, epoki, kraje, sklepy, kształty, materiał, rozmiary... Wszystko, co tylko przyszło mi do głowy. Wspomagałam się nawet wyszukiwaniem po obrazach, ale to również nie przyniosło rezultatu. Według internetowej wyszukiwarki naszyjnik, który dała mi matka, nie istniał. Nie znalazłam niczego, co by go chociaż przypominało.

Wlałam w siebie resztkę energetyka i przespacerowałam się do kuchni.

Przetrzepałam pudełka z pizzą w poszukiwaniu kawałka, który wciąż byłby zjadliwy, a potem wróciłam do laptopa. Nie zamierzałam poddać się tak łatwo. Ostatecznie mogłam poprosić o pomoc Petera.

– Jeszcze raz, Leah. Od początku.

Zamarłam z palcami nad klawiaturą i przekrzywiłam głowę. Głos. Jakiś głos. W moim mieszkaniu. Jeżeli to jakimś cudem znowu był Thorne, zdecydowałam, że teraz naprawdę go postrzelę. Odstawiłam laptopa na materac i możliwie najciszej wstałam. Wyjęłam broń z szuflady – nie żaden tam maciupci rewolwer, tylko policyjnego glocka – sprawdziłam magazynek i wyszłam z sypialni.



Dźwięk dochodził z łazienki. Brzmiał jak plusk wody, chociaż mogłabym dać sobie uciąć rękę, że wcześniej słyszałam czyjś głos.

Pchnęłam drzwi lufą pistoletu i wkroczyłam do środka. W pomieszczeniu było stanowczo za jasno, musiałam na moment zmrużyć oczy. Pachniało tu płynem do kąpieli o orientalnym zapachu – ja takiego nie używałam. Z

wanny buchały kłęby pary, cała łazienka była od niej aż siwa. Zaparowane było również szklane skrzydło, ale i tak widziałam, że w wannie siedzi jakaś postać.

– Ręce do góry! – powiedziałam. – Dobrze ci, kurwa, radzę.

Przez chwilę nic się nie działo. Wreszcie intruz się odezwał. Nie, poprawka, to była kobieta.

– *Mam cię pod skórą* – zanuciła. – *Mam cię głęboko w sercu. Tak głęboko w sercu, że tak naprawdę jesteś częścią mnie.*

Zrobiło mi się zimno mimo panującej w pomieszczeniu duchoty.

Wszędzie rozpoznalabym tę cholerną piosenkę.

– *Próbowałam się nie poddawać* – nie przestawała nucić. – *Ale dlaczego miałbym próbować się opierać, kiedy, kochanie, wiem tak dobrze, że jesteś częścią mnie.*

Para stopniowo opadała i widziałam postać coraz dokładniej. Nie było mowy o pomyłce, nie z tej odległości. Patrzyłam na samą siebie. Te same włosy, niedawno ufarbowane, te same ciemne oczy. To się nie działo, nie mogło. A jednak nie mijało.

– Wstawaj! – Mój głos brzmiał chrypliwie, brakowało mu mocy.

– *Mam cię... pod skórą.* – Kobieta uśmiechnęła się do mnie, obnażając za dużo zbyt ostrych zębów. Ta druga ja uśmiechnęła się do samej siebie. –

*Tak głęboko, że tak naprawdę jesteś częścią mnie.*

Ostatkiem sił powstrzymałam się, żeby nie poderwać rąk i nie zasłonić uszu. Bałam się, że zwariuję, że już zwariowałam.

– Zamknij się i wstań!

Ale ona zrobiła coś zupełnie innego. Nabrała powietrza i zanurkowała pod wodę. Kiedy się wynurzyła, patrzyła na mnie oczami w kolorze lodu. I jeszcze coś. Teraz miała na sobie suknię ślubną. Warstwy tiulu unosiły się na wodzie.

– Mam cię... pod skórą, Leah.

*Lyth.*

– Przestań! – Celowałam do niej, ale nie mogłam się zmusić, żeby pociągnąć za spust.

– Nie opieraj się. I tak w końcu to zrobisz – powiedziała, unosząc rzeźnicki nóż.

Przyglądałam się temu z narastającą grozą. Chciałam strzelić jej w rękę, pozbawić broni, ale mogłam tylko stać. Byłam jak skamieniała.

– Odłóż to. – Dobrze, że przynajmniej mogłam mówić.

Uśmiechnęła się drapieżnie. I z tym uśmiechem bardzo przypominała Nathaniela. Zebrane do tyłu mokre włosy wyostrzały jej rysy.

– To, co tu masz, jest odpowiedzią. – Postukała się między piersiami, w miejscu, gdzie miałam swój naszyjnik. Ona nie miała tam nic.

– Odłóż nóż – powtórzyłam.

– Tego chcesz? Naprawdę? Lat niedoli przeplatanych zaledwie dniami, w których nie tyle nie jesteś nieszczęśliwa, ile nie czujesz smutku?

Nawet bredziła tak samo jak Thorne.

– Chcę, żebyś rzuciła żelastwo na podłogę i wyszła z tej pierdolonej wanny.  
– Chcesz wolności – powiedziała i przejechała ostrzem po swoim gardle. Krew momentalnie buchnęła z otwartej rany i zbrukała biel sukni ślubnej szkarłatem.

Spojrzałam na pistolet w swojej dłoni... i otworzyłam usta jak do krzyku. Glock zniknął. Teraz ściszałam w ręku ten sam rzeźnicki nóż.

Kobieta w wannie – ja sama – osunęła się po krawędzi. Jej niebieskie oczy wpatrywały się w nicość. Woda, w której na wpół leżała, zmieniła się w krew.

*Masz to... pod skórą.*

*Jesteś częścią mnie.*

Patrzyłam, jak moja ręka unosi się do gardła. Nie mogłam tego zatrzymać, to działało się bez udziału woli. Centymetr po centymetrze stał zbliżała się do mojej szyi. I wreszcie...

– Leah? Leah! – Ktoś szarpał mnie za ramię. Głos dobiegał z oddali. –

Obudź się.

Niechętnie uniosłam powieki. Głowa ciążyła mi jak kamień.

– Nie śpię – wymamrotałam.

Ten, kto tarosił moją ręką, nie ustępował. Wreszcie musiałam na niego spojrzeć.

– Ty?!

– Ja – odparł Nathaniel.

Oprzytomniałam w jednej chwili. Rozejrzałam się za glockiem, ale wyglądało na to, że cały czas spoczywał w nocnej szafce. Bo i czemu miałabym go wyjmować, skoro ten nawiedzony scenariusz rozegrał się tylko w moim umyśle?

Nie miałam pojęcia, ile czasu spałam, ale raczej niedługo. Za oknem wciąż panowała ciemność. Niewykluczone, że Thorne wyruszył z Czerwonego Barona wkrótce po mnie, jechał za mną przez całą drogę tutaj i... czekał. Tak, ponieważ w tym nieszczęsnym szampanie jednak były prochy. To idealnie tłumaczyło ten cyrk na dachu. Koszmar pomijam, takie już miałam ustawienia systemowe. A sam Thorne? Jeśli regularnie coś ćpał

– a biorąc pod uwagę jego zwyczajową gadkę, nie można było tego wykluczyć – tolerancja tak mu się rozwinęła, że tego, co mnie ugotowało mózg, on nawet nie poczuł.

– Aż się prosisz o wsadzenie do pierdła – powiedziałam. – Kolejny raz nachodzisz mnie w mieszkaniu. Czy pojęcie „prywatność” cokolwiek ci mówi?

Przysiadł na skraju materaca wytworny jak pierdolony książę. Nie wiem, ile właściwie miał tych szytych na miarę garniturów, ale nigdy nie widziałam go w niczym innym. To się zmieni, kiedy wsadzę go do paki.

Ciekawe, czy w pomarańczowym też ci będzie tak do twarzy, świrze, pomyślałam zjadliwie.

– Gdybym nie przyszedł, wciąż śniłby ci się koszmar – zauważył.

Moja ręka odruchowo powędrowała do naszyjnika. Był na swoim miejscu.

– Jeśli to wszystko, możesz już iść.

– Kiedy, widzisz... Nie mam ochoty.

Podciągnęłam się do siadu i odrzuciłam kołdrę. Dzięki Bogu zasnęłam w koszulce.

– Mam cię zmusić?

Pochylił się nade mną.

– Spróbuj.

Zanim zdążyłam zrobić cokolwiek, przyciągnął mnie i pocałował.

Powiedziałabym, że próbowałam stawiać opór, ale wcale tak nie było.

Chciałam znów poczuć smak jego ust, przypomnieć sobie ten dotyk. Wiem, że to chore, ale tej nocy nie chciałam być zdrowa.

– Tylko popatrz... – Przesunął kciukiem po mojej dolnej wardze. – To zmuszanie nie wychodzi ci najlepiej.

– Chcę ci dać fory. Z czystej uprzejmości. Jeszcze możesz stąd wyjść.

– A potem?

– Potem doprowadzę cię do szaleństwa.

Chwycił mnie za gardło. Jego oczy lśniły, płonęła w nich gorączka, która trawiła również i mnie.

– Sądysz, że się przestraszę? – zapytał.

– Nie. – Chwyciłam go za koszulę. – Ale powinienes.

Naparł na mnie i zmusił, bym opadła na materac. Oboje byliśmy śmiali, nieustępliwi. Graliśmy w grę, w której nie wyłaniało się zwycięzców, każdy miał się okazać tak samo potępiony. Jego dłonie błądziły po mojej skórze, bawiły się włosami, a ja czułam narastające podniecenie. Wsunęłam dłoń pod koszulę Nathaniela i przejechałam po umięśnionym torsie. Palce drugiej ręki zacisnęłam na twardej męskości. Wiedziałam, jak to się potoczy. I pragnęłam tego jak jasna cholera.

A on wyczytał to pragnienie z moich oczu.

Ściągnął ze mnie T-shirt, następnie ja pozbawiłam go ubrania. Moje ruchy były niecierpliwe, oddech stawał się coraz płytszy. Kiedy zobaczyłam go nagiego... Był po prostu idealny. Pchnął mnie na prześcieradło i nakrył

własnym ciałem. Patrzenie na niego z tak bliska sprawiało, że czułam się jak zahipnotyzowana, znajdowanie się przy nim odbierało zmysły.

– Najpiękniejsza... jesteś właśnie teraz – szepnął.

Dotknęłam jego policzka. Chciałam coś odpowiedzieć, ale nie bardzo wiedziałam co. Pragnęłam upewnić się, że ten mężczyzna jest prawdziwy.

On, moja ciemnowłosa zguba. Czasem warto umierać za grzechy. Za takie jak on z pewnością.

Rozchylił mi uda zdecydowanym ruchem i przesunął opuszkami po ich wewnętrznej stronie. Zbliżył się do strategicznego miejsca, lecz zatrzymał, zanim go dotknął. Przez chwilę nie robił nic, jedynie sycił się widokiem.

Wreszcie pochylił głowę i zaczął pieścić mnie językiem. Wsunęłam palce w jego włosy. Nie tłumiłam jęku, nie hamowałam się z niczym. Wypychałam

biodra do przodu, chcąc jeszcze zwiększyć doznania. Nathaniel podtrzymywał mnie jedną ręką, palce drugiej zanurzył we mnie. A ja do reszty się zatraciłam.

Orgazm przyszedł szybko, okazał się intensywny jak żaden dotąd.

Krzyczałam, wierzgając pod Thorne'em, ale on nie przestawał mnie pieścić. Zrobił to, dopiero kiedy całkiem znieruchomiałam. Uniósł głowę i posłał mi rozognione spojrzenie, a potem wspiał się na mnie. Całował mój brzuch, piersi, przygryzał sutki, sunął językiem po szyi. Nagle złapał moje ręce i uniósł je za głowę. To, że w tej chwili byłam od niego zupełnie zależna, dodatkowo mnie nakręciło.

– Najpiękniejsza – powtórzył i wszedł we mnie.

Wydałam z siebie chrapliwy okrzyk. Przy tym, co poczułam, „ekstaza”

to słowo mocno nietrafione. Otworzyły się przede mną wrota wszelkiej rozkoszy – czegoś takiego nigdy jeszcze nie doświadczyłam. Nate pochylił

się i przez moment tylko na mnie patrzył. Objęłam go nogami, krzyżując je w kostkach na jego pośladkach, a on, jakby zachęcony, wpił się w moje wargi. Wciąż przytrzymywał mi nadgarstki, nie pozwalając na jakikolwiek ruch. To był układ mistrza i sługi. A mnie bardzo on odpowiadał.

Moje jęki zmieniły się w krzyk, kiedy Nathaniel podkręcił tempo.

Czułam go tak wyraźnie – idealnego, doskonalszego nawet niż fantazja.

Nagle poczułam, że zbliża się drugi orgazm, ale wtedy Thorne przestał.

Puścił moje ręce i zakręcił palcem młynka w powietrzu, dając znak, bym się odwróciła. Zrobiłam to bez sprzeciwu.

Położył ręce na moich biodrach. Z początku dotyk był pieszczotliwy, zaraz jednak stał się stanowczy. Thorne potarł penisem moje pośladki, rozcierając wilgoć, a potem wsunął się w cipkę. Odrzuciłam głowę, wydając z siebie nieartykułowany wrzask. W tej pozycji czułam go jeszcze mocniej i to przypominało niemal torturę. Zacisnęłam palce na prześcieradle i poddałam się rytmowi, jaki ten mężczyzna wyznaczał.

– Tak... – wyrwało mi się. – Tak...

Nagle przeszył mnie spazm. Potem następny. Nie potrafiłam nad tym zapanować, doznania porwały mnie bez reszty. Utonęłam w nich. Nie do końca wiedziałam, gdzie byłam i kim byłam – nie miało to żadnego znaczenia. Zaczęłam krzyczeć, jednocześnie wypychając pośladki tak, by czuć wszystko możliwie najintensywniej. Wreszcie moje plecy wygięły się w łuk. Zaczęłam szczytować. Nathaniel mocniej zacisnął palce na moich biodrach. Wbił się we mnie jeszcze raz, potem kolejny. I znieruchomiał.

Jego oddech stał się płytki i szybki. Wreszcie usłyszałam gardłowy pomruk.

Razem opadliśmy na pościel. Thorne przygarnął mnie do siebie i pocałował w skroń. Wciągnęłam w nozdrza woń jego skóry. Pachniał

pustynią i pradawną tajemnicą, właśnie tak. Zabawne, bo choć nigdy nie potrzebowałam poczucia bezpieczeństwa wynikającego z obecności drugiej osoby – nauczyłam się żyć sama dla siebie – to przy tym mężczyźnie mogłabym się do tego przyzwyczaić, zapragnąć tego. Przy nim... było inaczej. Zdawałam sobie sprawę, jak infantylnie to brzmiało, ale nie zmieniało to niczego, co w tamtej chwili czułam.

– To, co stało się tej nocy, jest wstępem do czegoś wielkiego –

powiedział, przesuwając palcami po mojej łydce. Następnie chwycił kostkę i zarzucił sobie moją nogę na ramię. Kreślił wzory na skórze, a dotyk ten pozostawiał po sobie przyjemne mrowienie. – Nikt cię nie skrzywdzi. Masz na to moje słowo.

Syciłam się pieszczotą, przyglądając mu się spod półprzymkniętych powiek.

– Nigdy nie obiecuj czegoś, czego nie zamierzasz dotrzymać, kobiecie, która wie, jak posługiwać się bronią.

Uśmiechnął się.

– Ja mogę wszystko. A razem jesteśmy niepowstrzymani.

Mogliśmy wojować na słowa w nieskończoność. A z tego mógł wynikać tylko kolejny dobry seks. I dokładnie to się stało. Potem zmęczona przytuliłam się do Nathaniela. Leżeliśmy tak długo i w którymś momencie musiałam znów zasnąć, bo następnym, co pamiętam, była muzyka. *Back Door*, numer, który często puszczała w Maskaradzie.

– Mogę cię prosić? – Thorne wyciągnął ku mnie rękę. Nie leżał już obok, lecz stał przede mną. I znów miał na sobie swój elegancki garnitur.

– Raz już tańczyliśmy – powiedziałam, choć moje usta należały do kogoś innego. Kiwnął głową.

– Owszem. Ale ja chciałbym to robić z tobą całą wieczność.

– Wieczność to bardzo długi czas.

– Nie dla nas.

Wstałam jak we śnie. Opuściłam wzrok i krzyk uwiązł mi w gardle.

Suknia ślubna. Byłam ubrana w suknię ślubną. Wiedziałam, do kogo należała. Jej cały przód pokryty był krwią.

*Chcesz wolności.*

Powinnam się bać. To powinno mnie przerazić. Ale tak się nie stało.

Strach o to, co się działo, lęk o zdrowe zmysły znalazły się gdzieś daleko.

Ujęłam dłoń Nathaniela i dałam się poprowadzić w tańcu. Ruszaliśmy się niespiesznie, ja w zakrwawionej sukni ślubnej, on w eleganckim garniturze.

I w tamtej chwili nie było nic piękniejszego. To przypominało wyznanie szaleńca. Ale może po prostu zaakceptowałam fakt, że jestem szalona?

– Masz to... pod skórą – zanucił Thorne.

Spojrzałam mu w oczy.

I wtedy świat rozdarł się na dwoje.



Obudził mnie natarczywy dźwięk komórki. Rozejrzałam się nieprzytomnie, na ślepo macając ręką dookoła. Straciłam coś z nocnej szafki. Puskę po energetyku. I nagle do mnie dotarło. To był sen, kolejny koszmar zaklęty w innym koszmarze. Niedaleko mnie w skotłowanej pościeli leżał laptop. Zasnęłam, bezowocnie szukając wzmianki o naszymniku. To wszystko, co się wydarzyło.

Wychyliłam się poza krawędź łóżka i pochwyciłam telefon, który również zdążył zlecieć na podłogę.

– Halo? – odezwałam się.

– Cześć, Śpiąca Królowo. – To był Pete. – Chyba ci tam nieźle na tym przymusowym, co?

– O czym ty mówisz?

– Jest pierwsza po południu. A ty, jak słyszę, jeszcze chwilę temu spałaś.

Wyprostowałam się momentalnie. I skrzywiłam, gdy tylko spojrzałam w kierunku okna – słońce świeciło, że hej. Jakim cudem pierwsza po...

Jezu, naprawdę spałam aż tak długo?

– Nocne zmiany – wykrztusiłam. – No wiesz, w Czerwonym Baronie.

– Może wypij kawę czy coś? Odezwę się później.

– Nie! – Wyciągnęłam przed siebie rozczapierzoną dłoń, choć przecież nie mogłam tego zobaczyć. – Masz coś dla mnie, Pete, inaczej byś nie dzwonił.

Na linii rozległo się parsknięcie.

– Mogłam na przykład chcieć sprawdzić, czy jeszcze żyjesz.

– Wiedziałbyś szybciej niż ja. Pracujesz w policji.

– Tak właściwie... Dobra, coś mam. Chociaż chyba powinienem powiedzieć: zgadnij, czego nie mam?

– Prawdziwej tożsamości Thorne'a?

– Bingo. Facet jest duchem. Nie ma go, kurwa, w żadnym rejestrze.

Nawet okruszków nie zostawił.

Przejechałam ręką po twarzy. To nie było coś, co pragnęłam usłyszeć od najlepszego specja od komputerów, jakiego znałam.

– Ale coś znalazłeś? Błagam, powiedz, że tak.

– Wspominałem ci, że my, jajogłowi, jesteśmy ogromnie wrażliwi i mamy wyobraźnię?

Przewróciłam oczami.

– Do rzeczy.

– Przepuściłem zdjęcie faceta przez taki specjalny program. Oszczędzę ci szczegółów. Nie żebym pierwszy na coś takiego wpadł, ale w przeciwieństwie do tych

leniwych skurwieli nie ograniczałem się do standardowych zapytań. I nie zgadniesz, co znalazłem.

– Nawet nie będę próbować.

– Twój nowy kumpel pojawia się już nie pierwszy raz. Dokładnie ta sama osoba, ta sama twarz. Tylko, widzisz, to nie za bardzo jest możliwe, bo pojawia się w tak wielkich odstępach czasowych... Ludzie nie żyją tak długo, Leah. Nikt nie żyje po prawie dwieście lat. A już na pewno nie wygląda dokładnie tak samo.

*On nie jest tym, kim się wydaje.*

Spróbowałam przełknąć ślinę, ale okazało się, że gardło mam wyschnięte na wiór.

– O czym ty mówisz?

Peter milczał dłuższą chwilę.

– Mogłabyś przyjechać pod 7-Eleven, ten niedaleko mnie?

– Daj mi dwadzieścia minut – powiedziałam i przerwałam połączenie.

Dojechałam tam w piętnaście, łamiąc po drodze ze dwieście przepisów drogowych. Zaparkowałam niedaleko wejścia, między furgonetką a priusem. Pete był w środku, czapkę miał wciśniętą głęboko na czoło. Tym

razem nie odwrócił jej daszkiem do tyłu. Zauważył mój wóz i ledwie zauważalnie skinął głową. Chwilę później wyszedł z dwoma batonami proteinowymi i kawami w kartonowej podstawce.

– Szybka jesteś – przywitał mnie.

Na moją twarz wypłynął grymas, który w zamyśle miał być uśmiechem.

– Mów, co masz. Przerwałeś w najlepszym momencie.

Rzucił nerwowe spojrzenie przez ramię.

– Może sobie pojeździmy?

– Chryste, Pete, kiedy zrobił się z ciebie paranoik?

– Sądziłem, że jazda cię uspokaja.

– Już mnie uspokoiła. – Wyjęłam kubek z podstawki. – Boisz się, że nieśmiertelny facet ze zdjęć zabierze ci duszę?

– Nie o to chodzi. Zresztą nieważne. – Podsunął mi baton. – Zakładam, że nie jadłaś śniadania. Smacznego.

Pokręciłam głową.

– Za chwilę. Najpierw chcę usłyszeć ciąg dalszy.

Peter sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjął złożony plik papierów.

– Jakość nie powala, ale jest wystarczająca.

Odstawiłam kawę i wzięłam kartki. Rozprostowałam je, po czym zaczęłam przeglądać. Z każdą kolejną fotografią moja ręka poruszała się wolniej, żołądek zaś stopniowo zmieniał się w ołów.

– To ma być żart? – zapytałam.

Rzucił mi ponure spojrzenie spod daszka czapki.

– A wygląda?

– To. – Uniosłam trzecią z kolei fotografię. – Z którego to jest roku?

– Około tysiąc dziewięćset piętego.

Patrzyłam na Nathaniela w stroju z tamtej epoki. To był on, nie miałam co do tego wątpliwości mimo nie najlepszej jakości zdjęcia. Stał nieco w tyle, na tle zapomnianego

budynku, który prawdopodobnie dawno już nie istniał. Na pierwszym planie znajdowało się dwóch mężczyzn w średnim wieku.

– A to? – Wyciągnęłam inne zdjęcie.

– Dagerotyp. Datowany jeszcze wcześniej. Źródła nie były zgodne, ale powiedziałbym, że to połowa dziewiętnastego wieku.

– Kurwa. Jak?

– System znalazł twarz Thorne'a i zidentyfikował ją jako Thorne'a. To bez wątpienia ten sam człowiek. Tyle że fotografie, o których mówimy... –

Stuknął palcem w kartkę na moich kolanach. – Nie potrafię tego wyjaśnić. I nie, nie są sfabrykowane.

– Jesteś pewien?

– Sto procent.

Odchyliłam się na oparcie fotela. Obserwowałam idących chodnikiem przechodniów i miałam wrażenie, że oglądam film.

– Przecież nie pójdę z czymś takim do prokuratora. Do nikogo nie pójdę.

Peter dobrał się do batona proteinowego. Godne podziwu. Ja bym się chyba porzygała.

– Ja też nie jadłem śniadania – wyjaśnił. – Ej, dobry. Spróbuj.

Nie miałam ochoty. Mój żołądek zawiązał się w supeł.

– To może chociaż kawę dopij? – nie dawał za wygraną. – Jakoś niewyraźnie wyglądasz.

– A dziwisz mi się?

– W zasadzie nie – powiedział z pełnymi ustami. – Jak pierwszy raz zobaczyłem te zdjęcia, też mną szarpnęło. Ale człowiek stosunkowo szybko się przyzwyczaja do upiorności. Psychologia ma dla tego mechanizmu odpowiednią nazwę.

Nie wątpiałam w to.

– To wszystko? – Uniosłam kartki. – Masz tylko te fotografie?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Udało mi się ustalić jeszcze jedną rzecz.

– Jaką? Nie mów, że znalazłeś Thorne'a na hieroglifach?

Uśmiechnął się, prezentując usmarowane czekoladą zęby. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął kolejny papier. Ten został zapisany jego pismem, a że straszliwie bazgrał, nie byłam w stanie wiele odczytać.

– Co to jest? – zapytałam. – Przepis na muffiny?

– Tożsamość zawsze jest lipna, chociaż im bardziej się cofałem, tym trudniej było to zweryfikować. Ale jedno nie zmienia się nigdy.

– Mianowicie?

– Twój facet zawsze ma te same inicjały. N.T. Może coś znaczą?

Zastanowiłam się nad tym.

– Nie wiem, może. – I nagle coś przyszło mi do głowy. – Hej, czy jest możliwe, że ktoś celowo umieścił te zdjęcia w sieci?

Peter spojrzał na mnie z widoczną urazą.

– I sądzisz, że ja bym się nie zorientował?

No tak, racja.

– To po prostu... Przecież to jakieś szaleństwo!



– Mnie to mówisz?

Ze sklepu wyszedł korpulentny mężczyzna w koszuli w kratę. Obrzucił mój wóz obojętnym spojrzeniem, wtoczył się do stojącej obok furgonetki i odjechał, strzelając gaźnikiem. Chwilę później na jego miejscu zaparkował granatowy SUV. Pete przyglądał się temu, osuwając się coraz niżej w fotelu.

– Spokojnie – odezwałam się. – Oni nie mogą cię dopaść.

– Strasznie śmieszne.

Raz jeszcze przejrzałam zdjęcia, starając się znaleźć coś, cokolwiek, co dowodziłoby, że to zwykle oszustwo. Bo jeśli nie, to oznaczało, że oboje zwariowaliśmy, ja i Pete. Bo jak można coś takiego wyjaśnić? Nie dało się.

– Powiedziałeś o tym komuś? – zapytałam.

– Zwariowałaś?!

– Słusznie. I lepiej nie mów.

Zgniółł papierek po batonie, ale kiedy chciał rzucić go na podłogę, napotkał moje ostrzegawcze spojrzenie.

– Opowiemy razem. Na sesji u psychiatry.

Tego się, kurwa, obawiałam.

– Jestem pewna, że to się da wyjaśnić. – Poklepałam Petera po nodze. –

Zobaczysz.

Posłał mi spojrzenie z cyklu „Masz mnie za idiotę?”.

– Daj znać, jak wpadniesz na jakiś pomysł. Bo mnie przychodzi do głowy jeden.

Facet jest nieśmiertelny. Widziałaś ten film z Lambertem?

Jeśli nie, powinnaś. Historia całkiem jak o nim. – Ponownie stuknęłam w podobiznę Thorne’a na moich kolanach.

– Może to jego biografia?

– Nie, tamten facet był dobry.

Fakt, o Thornie trudno powiedzieć to samo. Pewnie dlatego fantazjowałam o tym, że się z nim pieprzę.

– Pete, zrobisz dla mnie coś jeszcze?

Zawahał się.

– Zależy co...

– Sprawdź mi to. – Wyjęłam naszyjnik spod koszulki i podsunęłam w jego stronę. – Możesz?

Przyjrzał mu się, mrużąc oczy.

– Ładny. Nie mów, że dostałaś od...

– Nie. To prezent od matki.

– I chowasz go tam pod bluzką tak cały czas?

– Calusi.

– Wartościowa pamiątka? O to chodzi?

– Nie wiem. Ale chcę się dowiedzieć.

Na twarzy Petera odbiła się jakaś straszliwa myśl.

– Leah... Wpadłaś w długi w kasynie i chcesz to spieniężyć?

– Nie. Oglądasz za dużo filmów.

– No i co z tego? – westchnął ciężko. – W jednym nawet żyjemy.

Zignorowałam ten komentarz. To musiało się dać jakoś racjonalnie wytłumaczyć. I chociaż mój umysł podsuwał pewną hipotezę...

*Thorne to wcielone zło.*

Zawzięcie ją od siebie odpychałam. Nie miałam jeszcze w ręku wszystkich elementów układanki, to tyle. Dlatego ta sprawa wydawała się paranormalna, choć wcale nie była. Ludzie nie żyli po dwieście lat, chyba że w biblijnych przypowieściach.

– To sprawdzisz mi go? – Poklepałam się po koszulce, pod którą spoczywała skrzydlata kobieta.

– Skoro to dla ciebie ważne. – Zerknął na zegarek na desce rozdzielczej.

– Kurwa.

Uniosłam brwi w niemym pytaniu.

– Umówiłem się – wyjaśnił. – Z jedną laską.

– Trochę wcześniej.

– Mam napięty grafik. Wiesz, jak jest. – Wyciągnął komórkę z kieszeni dżinsów. – Pokaż jeszcze raz ten swój wisiołek. – Kiedy to zrobiłam, pstryknął mu zdjęcie. – Tak mi się będzie sprawniej szukało.

W to niestety powątpiewałam. Sama użyłam podobnego sposobu poprzedniej nocy. Z zerowym rezultatem. No ale Pete to jednak inna liga.

Może mu się poszczęści.

– Daj znać, jeśli coś znajdziesz.

– Się wie.

– I powodzenia na randce – powiedziałam. – Tylko bądź grzeczny, mamusia jest na przymusowym i nie będzie mogła posprzątać, kiedy narozrabiasz.

– A właśnie. – Wycelował we mnie palec. – Jak już wrócisz, powiedz temu kutasowi, żeby wsadził sobie ten mandat.

Uśmiechnęłam się.

– Lipmanowi? Znów zaparkowałaś w niedozwolonym miejscu?

– Niech go sobie wsadzi. Dokładnie tak mu powiedz.

– Jasne, powtórzę – mruknęłam. I nagle pod wpływem impulsu dodałam: – Peter, co to jest Lyth?

Pete, który był już jedną nogą na zewnątrz, odwrócił głowę i popatrzył na mnie zaskoczony.

– Nie mam, kurwa, pojęcia.





Gabinet skąpany był w mroku, lecz Nathanielowi to nie przeszkadzało.

Strącił przycisk do papieru z krawędzi biurka i obserwował, jak toczy się po podłodze, a potem nieruchomieje na dywanie. Miller miał potworny gust, ten dywan należałoby spalić razem z tym, kto go wybrał. Kusząca myśl, ale wszystko w swoim czasie. Tylko głupcy się spieszą.

Sięgnął po kartkę ze sterty papierów i odwrócił ją niezadrukowaną stroną w górę. Następnie z jednej z szuflad wyłowił długopis i zaczął

rysować. Jego ręka poruszała się pewnie, szybko. A on niemal nie śledził jej ruchów. Wreszcie odsunął długopis i przyjrzał się temu, co stworzył.

Symbol, który Leah nosiła na szyi, odwzorowany w każdym najdrobniejszym szczególe, wydawał się nieskazitelny. Thorne przesunął po nim opuszkami palców. Niemał wyczuwał jego kształt.

– Kiedy tylko będziesz gotowa – mruknął i odsunął od siebie kartkę.

Ostatnimi czasy Leah gościła w jego myślach coraz częściej. Nie chodziło tylko o jej proveniencję, o możliwości, jakie sobą reprezentowała.

W jakimś pokrętnym sensie ta kobieta była mu niemal równa. To kłamstwo utrzymywać, że nie ma w tym niczego osobistego – i choć Nathaniel specjalizował się w kłamstwie, to wobec siebie wolał być szczery. Inaczej stałby się jak ci, którymi tak pogardzał.

Co zaś do samej dziewczyny... Była tak odporna na prawdę, że wydawało się to wręcz zabawne. A on rozmyślnie to wykorzystywał i coraz bardziej podbijał stawkę. Weźmy choćby tę niewinną sztuczkę ze zdjęciami. Leah z chwalebą zawziętością odrzucała każde jedno urągające

logice wyjaśnienie. I wyglądało na to, że niespecjalnie się bała jego, Nathaniela, we własnej osobie, jak i w ogóle wszystkiego innego. Była zbyt wściekła, żeby czuć strach. Podobało mu się to. Może nawet odrobinę za bardzo. Jednak lubił ryzyko. Smak jej ust zresztą też.

– Leah – powiedział, tyle że w jego ustach zabrzmiało to jak „Lyth”.

Szczerze żałował – jeśli ktoś jemu podobny mógł w ogóle czuć coś takiego jak żal – że najprawdopodobniej nigdy się nie dowie, czyją jest córką. Wprawdzie szczerze nie znosił słowa „nigdy”, lecz w tym wypadku zdawało się nieuniknione. Mógł oczywiście spróbować zaspokoić ciekawość mimo to – co pewnie i tak uczyni – ale sądził, że napotka jedynie domysły. Poza tym jej ojciec z całą pewnością i tak nie żył. Inaczej by jej nie zostawił.

Nathaniel natomiast z chęcią wypełni obietnicę i wskaże jej mordercę matki. To dopiero będzie ubaw. A od tego, co Leah z tą wiedzą zrobi, zależeć będzie wiele. On zaś dopilnuje, by drobiazgowo przemyślała swoją decyzję.

– Wolna wola – oznajmił pustemu pokojowi. Jego wąskie wargi rozciągnęły się w nieprzyjemnym uśmiechu.

Zarzucił nogi na biurko i odchylił się na oparciu fotela. Zmrużonymi oczami wpatrywał się w drzwi. Te niedługo później się otworzyły. Gabinet zalało jasne światło, przeganiając cienie.

– Panie... Thorne – odezwała się Brittany. Próbowała ukryć to, co naprawdę poczuła na jego widok, ale mikroekspresja to zdradliwa rzecz. To niemal jak czytanie komuś w myślach. – Co pan tu robi?

– Podziwiam widoki – wyjaśnił.

Zerknęła na przesłonięte roletą okno.

– To nie... – Odchrząknęła. – To nie pański gabinet. A Miller nie przepada za...

Posłał jej surowe spojrzenie. Kobieta mimowolnie się cofnęła.

– Tu wszystko jest moje.

– Przepraszam. Ja tylko... chciałam...

Dobrze wiedział, czego chciała.

– Podejdź tu. Po coś przecież przyszłaś.

Przyglądała jedną z tych swoich wyzywających sukienek zdradzających nie najlepszy gust i się zbliżyła. Powoli. Nie uszło uwadze

Nathaniela, że zostawiła otwarte drzwi. Wołała nie zostawać z nim sam na sam w zamkniętym gabinecie. Sądziła, że tak jest bezpieczniej.

– Miller kazał ci uporządkować dokumenty. – To nie było pytanie.

Zrobiła zaskoczoną minę.

– Tak. Skąd pan wie?

– Przeczytałem to w twojej głowie. – Uśmiechnął się. – Kolejny żart ze stron, z których pochodzę.

Przyglądała mu się nieufnie.

– Z panem również miałam porozmawiać. Chodzi o... pewne spotkanie.

– Czy Miller nie może powiedzieć mi tego osobiście?

Brittany zerknęła na zegarek na swoim nadgarstku.

– Zważywszy na godzinę...

– Jest bardzo wczesna albo bardzo późna, wiem. Zależy, jak się na to patrzy. A Miller... – zabębnił palcami w biurko, udając, że się zastanawia –  
siedzi teraz w SPA, prawda?

Pokiwała głową. Kasztanowe pasmo wysunęło się z niestarannego upięcia.

– Zgadza się.

– Skąd zresztą sama wracasz. – Podniósł się z fotela. – Niedokładnie wysuszyłaś włosy.

Odwróciła wzrok. Jej ręka odruchowo podjechała do mokrych kosmyków, jakby koniecznie musiała dotknąć dowodu swej winy.

– Te dokumenty to dość istotna sprawa – powiedziała.

Thorne obszedł Brittany dookoła, a ona z całych sił walczyła, żeby się nie odsunąć, kiedy przystanął kilka centymetrów od niej. Aromat jej perfum mieszał się z wonią strachu.

– Proszę. – Wskazał ręką biurko. – Siadaj. Pracuj.

Wyminęła go, bardzo przy tym uważając, żeby przypadkiem ich ciała się nie zetknęły. Usiadła w fotelu Millera i podniosła kartkę z wizerunkiem skrzydlatej kobiety. Odwróciła ją na drugą stronę i zmarszczyła brwi.

– To jest...

– Ważny dokument? – Nathaniel obnażył zęby. – Nie miałem pojęcia.

Brittany zacisnęła wargi, przyglądając się widniejącemu u dołu strony podpisowi. Pech, że człowiek, który go złożył, znajdował się obecnie w Europie. Naturalnie można było poprosić go o skan, ale prawo jasno mówiło, że wymagane są oryginały.

– Oczywiście, że pan nie miał – powiedziała po dłuższej chwili. – Będę musiała jeszcze raz... To nic.

Thorne oparł się plecami o ścianę i skrzyżował ramiona na piersi.

Obserwował, jak kobieta przegląda szuflady biurka szefa, który regularnie ją posuwa. Następnie próbowała włączyć jego komputer, ale po dwóch błędnie wpisanych hasłach zrezygnowała. Nie podał jej aktualnego, cóż za niedopatrzenie.

– Spróbuj Montgomery905Lynn – podsunął.

Po krótkim wahaniu zrobiła to. Na ekranie pojawił się komunikat PRYZNANO DOSTĘP.

– Skąd pan...? – Wbiła w Nathaniela zaskoczone spojrzenie.

– Montgomery to nazwisko jego pierwszej żony – wyjaśnił. – Zgodzisz się, że nie jest to szczególnie bezpieczne hasło?

– To nie należy do moich...

– Więc dlaczego jesteś teraz taka zawiedziona? Sądziś, że to twoje nazwisko powinien tu umieścić?

Nie odpowiedziała, za to zaczęła wściekle stukać w klawiaturę. Robiła wszystko, żeby tylko na niego nie patrzeć. Gdyby jej palce poruszały się jeszcze szybciej, zaczęłyby się spod nich unosić dym.

W tym momencie Nathaniel mógłby wyjść, jednak zbyt dobrze się bawił. No i pozostawał jeszcze jeden szczegół.

– To spotkanie, o którym wspomniałam – odezwała się ze wzrokiem wciąż utkwionym w ekranie – odbędzie się tydzień przed planowanym terminem. To właśnie miałam panu przekazać. I zapytać, czy to będzie jakiś problem.

Przyglądał się kobiecie ze swojego miejsca.

– Nie, żaden.

– Cieszę się. Przekażę.

– Brittany? Taka mała rzecz.

Niechętnie obróciła głowę w jego stronę.

– Słucham, panie Thorne?

Pochylił się nad nią i położył rękę na jej ramieniu. Wzdrygnęła się.

– To niekulturalne rozmawiać z kimś i nie patrzeć mu w twarz. – Wbił palce w jej bark. – Zapamiętasz?

Odsunęła się od biurka i okręciła na fotelu. Była przejmująco blada.

– Tak. Zapamiętam... panie Thorne.

Kiedy ją puścił, odetchnęła z wyraźną ulgą. Pozbierała dokumenty, których nie użył w charakterze bloku rysunkowego, i wsunęła je do znalezionej w jednej z szuflad teczki.

Raz jeszcze obrzuciła wzrokiem kartkę ze szkicem, po czym zgmiotła ją i cisnęła do kosza.

Nathaniel zacmokał z dezaprobatą.

– Jesteś szalenie nieostrożna – powiedział.

Popatrzyła na niego, nie rozumiejąc, co ma na myśli.

– Spójrz. – Wskazał kosz.

Brittany powiodła spojrzeniem w tamto miejsce i wydała z siebie cichy okrzyk.

Papiery w środku płonęły.

– Lepiej zduś ogień, zanim się rozprzestrzeni – poradził.

W panice rozejrzała się po pomieszczeniu. Nie znalazła nic, czym mogłaby ugasić mały pożar, lub może bała się ruszać cokolwiek z wyposażenia Millera. Zerknęła na Thorne'a, próżno szukając wsparcia. Nie zamierzał jej pomagać.

– Na zewnątrz jest...

– Nie – uciął. – Nie masz czasu.

Widząc, że ogień strzela coraz wyżej, najpierw wykonała niezdarny unik, a potem zdecydowanym ruchem chwyciła kosz i przewróciła go do góry dnem. Zaczęła deptać po płonących kartkach, a następnie okładać je kubłem. Wreszcie udało jej się zdławić żar.

Nathaniel powoli zaklaskał w dłonie. Klap, klap, klap.

– Brawo – powiedział.

Posłała mu mściwe spojrzenie.

– To pan! Podpalił pan kosz!

– Jak mógłbym to zrobić? Przecież cały czas stałem tutaj.

– Robi pan... dużo rzeczy, panie Thorne.

– Jakich?

– Różnych – powtórzyła, a potem dodała znacznie ciszej: – Nieludzkich.

Zbliżył się, odcinając jej drogę ucieczki.

– Lepiej uważaj z oskarżeniami.

– To nie są oskarżenia. – Zaczęła się wycofywać, aż wreszcie jej plecy uderzyły w ścianę. Dalej cofnąć się już nie mogła. – Ja tylko...

– Nie zachęcaj mnie, żebym cię zabił. – Uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Przecież wiesz, że kiedy mi zależy, nigdy nie znajduję ciała.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Nie, nie... Nie miałam zamiaru...

– Wiem. – Wskazał głową leżącą na biurku teczkę. – To już wszystko?

Popatrzyła w to samo miejsce. Wyglądała, jakby chciała się rozpłakać, jednak na razie dzielnie się trzymała.

– Tak. Wszystko.

– W takim razie sądzę, że możesz już iść.

Tę prośbę zawsze spełniała nad wyraz chętnie. Chwyciła dokumentację i wyminęła Thorne'a tak jak poprzednio, za wszelką cenę starając się go nie dotknąć. Kiedy była już przy drzwiach, odezwał się: – Brittany?

– Tak, panie Thorne?

– Powiedz Millerowi, że ta nowa jest policjantką. Wierzę, że ta informacja ogromnie go ucieszy.





Osobliwa rzecz dzieje się z ludzkim umysłem, kiedy postanowimy zamienić dzień z nocą. Poddaje się on skomplikowanemu procesowi, w którym zapamiętana rzeczywistość ulega defragmentacji – jedne fakty umykają, na ich miejscu pojawiają się inne, często zafałszowane. Zupełnie jakby taka osoba nigdy do końca nie zasypiała bądź nie budziła się naprawdę. I odbija się to także na zewnątrz. To by nawet tłumaczyło ciężki makijaż nakładany przez hostessy Czerwonego Barona. Nie wiem, jak reszta, ale ja, kiedy już go zmyłam, zaczynałam niebezpiecznie przypominać zombie. Chociaż z drugiej strony chyba tylko ja jedna ściągałam duchy. Nieśmiertelny Nathaniel Thorne, niech go szlag!

Usiadłam po turecku na niezaścielonym łóżku i przyglądałam się wspinającemu się coraz wyżej słońcu. W uszach wciąż dźwięczała mi muzyka i śmiech ludzi z kasyna. Z kolei moje myśli uparcie krążyły wokół

Thorne'a, tylko że nie do końca w taki sposób, w jaki bym sobie tego życzyła. Podobno każdy glina natrafia w swojej karierze na sprawę, która przekracza jego pojmowanie i na nowo rewiduje jego poglądy. Wyglądało na to, że właśnie napotkałam swoją.

– Lyth – powiedziałam na głos.

I nic. Tylko słowo pozbawione znaczenia. Kolejny pusty trop.

Zerknęłam na ułożone na podłodze fotografie i poczułam coś na kształt pełnej znużenia frustracji. Wyglądały dokładnie tak samo jak przy każdym z pięciuset razów, kiedy na nie patrzyłam, odkąd dał mi je Pete. Żadnego pomysłu. Żadnej nowej wskazówki.

Naszyjnik, jak się okazało, również nie niósł za sobą żadnej konkretnej historii, choć to jakoś szczególnie mnie nie zaskoczyło. Sprawdzałam go sama, potem zajął się tym Pete. W obu przypadkach rezultat był taki sam.

– Wiesz, sądzę, że to coś w stylu rękodzieła – powiedział, kiedy zadzwonił do mnie któregoś razu.

Byłam skłonna przyznać mu rację.

– Prawdopodobnie.

– Jest bardzo... Widać, że to kawał solidnej roboty, ale jeśli mam być szczery, nie dziwię się, że niczego nie znalazłem. Matka dała ci go, jak byłeś jeszcze dzieciakiem, nie?

Opuściłam wzrok i zerknęłam na wisiołek. Zacisnęłam palce na chłodnej skrzydlatej kobiecie dzierżącej miecz – tak jak robiłam to wielokrotnie. Ten symbol był tym i tylko tym, czym wiedziałam, że jest od początku – ostatnim prezentem, jaki dostałam od matki. To Thorne z premedytacją podsunął mi ten od początku ślepy trop, ponieważ

chciał, żebym traciła czas, uganiając się za wspomnieniami. A wiedział, że każdy dobry glina sprawdza każdy ślad, choćby i najbardziej szalony.

– Zgadza się.

– No właśnie. Kiedyś świat pozostawał wolny, teraz stał się cyfrowy.

Uśmiechnęłam się gorzko, słysząc te słowa.

– Poeta z ciebie, Pete.

– Nie kpij sobie. Mówiłem ci coś o mojej wrażliwości.

– Och, nie śmiałabym. Ale wracając do tematu, miło wiedzieć, że jedyna pamiątka, jaką mam, to nie jakaś tandeta.

W tle wybrzmiał stukot klawiatury i odgadłam, że Peter także patrzył w tej chwili na mój naszyjnik. Ścisłej, na zdjęcie, które mu zrobił.

– To nawet nie stało obok tandety.

– Dzięki, że go dla mnie sprawdziłeś.

– Żaden problem. – Zawahał się na moment. – Leah, na pewno nie przegrałaś tam żadnej forsy?

Przełożyłam telefon do drugiej ręki.

– A sądzisz, że trzymaliby w Czerwonym Baronie hostessę hazardzistkę?

– Znaczą, wiesz...

– No właśnie, wiem. Lepiej opowiedz, jak twoja randka. Skoro tak już sobie gadamy, może się otworzysz?

Westchnął przeciągle.

– Wciąż szukam tej jedynej. Gdybym nie kochał cię tak, jak kocha się siostrę, powiedziałbym, że masz spore szanse.

– Dzięki, Pete.

– Poważnie mówię. Fajna z ciebie laska. Chociaż kiedyś myślałem, że jesteś lesbijką.

Przyjęłam to na chłodno. Dodając do tego jeszcze uroczą uwagę Reynolds'a... Nie żebym w byciu lesbijką widziała cokolwiek złego, ale to interesujące, że według facetów wysyłałam tego rodzaju sygnały.

– Dlaczego?

– Jeden gość rozpuszczał takie plotki. Potem się okazało, że to dlatego, że dałaś mu kosza. Chociaż on utrzymywał, że dostał kosza, bo jesteś...

– Który gość?

– Zapomniałem nazwiska.

– Peter!

Na linii zapadła kilkusekundowa cisza. Po tak zmyślnie zbudowanym napięciu Pete powiedział: – Hayas.

– Ma szczęście, że go przenieśli – mruknęłam.

– Jeśli chcesz mu udowodnić, że się mylił, i jednak pójść z nim na randkę, mogę ci sprawdzić jego aktualny adres.

Kusząca propozycja. Ale ja zdążyłam już nawiązać senny romans z facetem, którego chciałam posłać za kratki.

– Poproszę o niego, jeśli poczuję się samotna. Chociaż nie, wtedy wejść po prostu na jedną z twoich ulubionych stron.

Chrząknął wymownie.

– Pokaż mi faceta, który tego nie robi.

Nie wiem dlaczego, ale pomyślałam o Thornie. Z jego możliwościami nie musiał odpalać pornostron, bo pornostrony same przychodziły do niego.

Nieletnie i wbrew własnej woli. W każdym razie o Czerwonym Baronie krążyły tego rodzaju plotki. Na ten moment nie udało mi się ich jednak zweryfikować. Kadra pracownicza w postaci Terry'ego bardzo dbała o to, by hostessy prezentowały się nienagannie – i na pierwszy rzut oka wszystko rzeczywiście było bez zarzutu. Natomiast specjalne pokoje, o których napomknęła moja kumpela z windy... Tu powinnam uderzyć w następnej kolejności, jeśli chciałam się wreszcie czegoś dowiedzieć.

– ...śpisz? – dobiegł mnie głos Petera.

– Proszę?

– Pytałem, czy ty w ogóle śpisz – powtórzył. – Rozmawiamy o... dla ciebie to jest teraz chyba wieczór, nie?

Odsunęłam telefon od ucha i sprawdziłam godzinę. Dochodziło południe.

– Właśnie się kładłam – powiedziałam.

– Powinienem dodać, że się o ciebie martwię?

– Nie, Pete. Już to słyszałam.

– Bo z uporem brniesz w tę dziwną sprawę.

– Co dziwnego może być w facecie, który zdaje się żyć od prawie dwustu lat?

Na to nie znalazł stosownej odpowiedzi. Przynajmniej nie tak od razu.

– Moja babka powiedziałaaby, że są sprawy, których nie rozumiemy.

Doceniam, szanuję, ale nie kupuję. Wolę myśleć, że są fałszerstwa, których jeszcze nie zdołałem wykryć.

Amen, pomyślałam.

– Nie martw się, masz mnie. Ja wytropię każde gównno.

– Ale będziesz przy tym ostrożna?

Tego obiecać nie mogłam.

– Do usłyszenia, Pete – pożegnałam się.

– Mam taką nadzieję – odparł i przerwał połączenie.

Rzuciłam telefon na łóżko i jeszcze jakiś czas siedziałam, gapiąc się w okno. Sen uparcie nie chciał przyjść, więc w którymś momencie wstałam i obeszłam mieszkanie. Dopiero kiedy przekonałam się, że jest puste, położyłam się i wreszcie zasnęłam.

Tak, w moich fantazjach znów pojawił się przeklęty Nathaniel Thorne.

# CZĘŚĆ DRUGA

## OPADAJĄ MIAŚKI. KŁAMSTWA UJAWNIONE

*Stałeś się wtenczas dla mnie  
i niebem, i światłem.  
Żądałeś, abym ślubną paliła pochodnię;  
Rzekłam ci Abelardzie: miłość nie jest zbrodnią.*

ALEXANDER POPE, LISTY HELOIZY DO ABELARDA

# 1



Kolejne dni przechodziły w tygodnie, a te jeden po drugim toczyły się tym samym monotonnym rytmem. A ja nie posuwałam się naprzód ani trochę. Jeśli już, to zaliczałam godne żółtodzioba wpadki. Widmo zdegradowania do zwykłego krawężnika zaczynało się robić coraz bardziej realne, no chyba że planowałam wsadzić Thorne'a za pojawianie się na fotografiach z przełomu wieków. Jezu, co za syf.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że interesy, za które FBI i nie tylko FBI próbowało go zgarnąć, nie rozgrywają się na oczach ludzi, nie spodziewałam się jednak, że po spędzeniu tu ponad miesiąca nie będę miała zupełnie nic. A przyciśnięcie Thorne'a było jak próba wybicia szyby wata –

kończyło się wstawianiem mi jeszcze bardziej nawiedzonych gadek niż zwykle. Obecnie musiałam przyznać, aczkolwiek niechętnie, że Czerwony Baron wydawał się zaskakująco normalny, jeśli spojrzano się na niego przez pryzmat wszystkich zasłyszanych historii. Ten popularny hotel i jeszcze popularniejsze kasyno działały wprawdzie na granicy prawa, lecz jej nie przekraczały. Tylko panująca tu atmosfera była jakaś taka... upiorna.

Zwłaszcza jeśli ktoś potrafił dostrzec czające się w kątach cienie.

Co zaskakujące, odkąd tu przebywałam, Millera widziałam raptem przy jednej okazji. Nie, poprawka, przy dwóch. Niby przesiadywał w hotelu niemal dzień w dzień, jednakże stronił od ludzi. Thorne natomiast...

Wiadomo, to zupełnie inna bajka. Moja chora relacja z tym świrem kwitła w najlepsze, choć jej większa część rozgrywała się wyłącznie w mojej

głowie. Kto by pomyślał, że dzień, w którym rzucę się w pogoń za Reynoldsem, będzie początkiem mojego upadku?

– Sobotnia zmiana... – westchnęła dziewczyna przebijająca się obok mnie. Vanessa, tak miała na imię. Wiedziałam o niej tylko to i jeszcze, że lubi zbierać porcelanowe anioły. – Najgorsza ze wszystkich. Tłumy napalonych dziadów.

– Mhm – mruknęłam. – Przejebane.

Tyle że akurat to, co ona uważała za przeszkodę, dla mnie stanowiło szansę. W weekendy Czerwony Baron jak każde miejsce, gdzie ludzie szli się rozerwać, przeżywał prawdziwe oblężenie i jeśli chciałam powęszyć, nie mogłam wskazać bardziej sprzyjających ku temu okoliczności.

Pozostawało tylko mieć nadzieję, że tym razem coś znajdę. Cokolwiek. Bo do tej pory było z tym raczej krucho, a sytuacja, kiedy to ochroniarz nakrył

mnie na myskowaniu w kanciapie Terry'ego, omal nie zaprzepaściła moich szans na dalsze śledztwo.

– Mam cię na oku – przypominał przełożony za każdym razem, gdy tylko mnie widział. I zaczął zamykać swój pokój na klucz.

Cóż, gdybym wyszła pół minuty wcześniej, nawet by nie wiedział, że tam byłam. Mój błąd, bo naiwnie myślałam, że znajdę u niego jakąkolwiek wskazówkę. Otóż nie.

Nie lubię się tłumaczyć, tłumaczenia zawsze są kulawe, ale w tym wypadku widmo umykającego czasu popychało mnie do impulsywnych działań. Tak, byłam zdesperowana. I właśnie dlatego zdecydowałam się na kolejny ryzykowny krok.

Gdzieś tak około dziesiątej wieczorem zwróciłam uwagę na jednego z gości. Siwowłosa mężczyzna, blisko sześćdziesiątki, elegancki, choć wychudzony i niezdrowo blady. Do tego zanosił się rzęzącym kaszlem. Nie wyglądał jak okaz zdrowia i rzeczywiście nim nie był. Dostrzegłam niewielką kropkę nad jego kołnierzykiem – tatuaż do radioterapii. To, że chory na raka facet przyszedł do kasyna, nie stanowiło przestępstwa. To raczej tylko trop, którego nie zaszkodziło sprawdzić. Dlatego kiedy ruszył w kierunku wind, podążyłam za nim. Wsiadłam do kabiny, odpowiadając głupkowatym uśmiechem na jego pytające spojrzenie. Wyczekałam, aż wybierze piętro, i wcisnęłam inny przycisk. Wsiadłam dwa poziomy niżej i pobiegłam w górę schodami przeciwpożarowymi. Jak się jednak okazało, nie musiałam się aż tak spieszyć. Facet wszedł do pokoju z numerem 606 i

siedział tam dobre pół godziny. Mogłam zignorować zapach pustyni, który do mnie docierał. Czerwoną poświatę sączącą się spod drzwi na dobrą sprawę też. Bo naprawdę dziwnie zrobiło się, dopiero kiedy gość stamtąd wyszedł.

Pewnie łapały mnie kamery monitoringu, a obsługujący je facet zastanawiał się, co tam, do kurwy nędzy, robię, ale nie miało to żadnego znaczenia. Fakt, że z dużą dozą prawdopodobieństwa wykopią mnie z pracy, zresztą też. Szkoda tylko, że w to, co właśnie oglądałam, raczej nikt nie uwierzy. A już na pewno nie komendant.

*Istnieją pokoje, specjalne pokoje...*

*Thorne to wcielone zło...*

Gapiałam się na mężczyznę, który wszedł do 606 jako chory człowiek. A kiedy wyszedł... Ten, na którego teraz patrzyłam, z pewnością na nic nie chorował. Nie wiem, czy można przytyć w trzydzieści minut – nie, oczywiście, że nie – ale jemu się udało. I zniknęła ta niezdrowa bladość jego skóry. Wprawdzie facet wciąż wyglądał, jakby właśnie zażegnał

paskudną infekcję, ale to wszystko. Nie było już śladu po tatuażu do radioterapii, nie było wrywającego płuca kaszlu.

Cofnęłam się, kiedy mnie mijał, ale i tak na mnie spojrział.

Przyglądałam perukę i wykrzesalam z siebie uśmiech, lecz tak naprawdę chciało mi się krzyżeć. Facet miał oczy... Sama nie wiem, jak to trafnie opisać. Wydawały się nienaturalnie lśniące, zadowolone, a jednak pełne kiepsko skrywanego poczucia winy. Tam się coś stało, coś, z czego zarówno się cieszył, jak i tego żałował.

– Przepraszam – odezwałam się. – Pan Thompson?

– Nie, pomyłka.

– Proszę. – Złapałam go za rękaw. – Szukam pana Thompsona. Będę miała problemy, jeśli go nie znajdę.

Zmierzył mnie wzrokiem. Zdawało się, że dopiero teraz w pełni zdał sobie sprawę, że tu jestem.

– A jeszcze ich nie masz?

– Nie rozumiem.

– Skoro wybrałaś to miejsce... – Wzruszył ramionami, a potem odszedł, zostawiając mnie samą.

Stałam na korytarzu jeszcze chwilę, ale wreszcie zmusiłam się, żeby stamtąd prysnąć. Wiedziałam, kto jeszcze wyszedłby z pokoju 606. Nie musiałam czekać, żeby to sprawdzić.

*Ludzie wierzą, że to, co ich otacza, to rzeczywistość. Przyjmują to bez sprzeciwu. Jednak się mylą. Dokładnie tak jak ty teraz, spoglądając w dół ludzkimi oczami.*

Wróciłam do kasyna, podświadomie oczekując, że zaraz spadnie na mnie ciężka łapa ochroniarza, który powie, że mogę wypierdalać sama albo z jego uprzejmą pomocą, ale nic takiego nie miało miejsca. Odniosłam wrażenie, jakby zupełnie nic się nie stało, a mój wypad na górę był

zaledwie kolejną senną wizją.

Wiedziałam jednak, że to nieprawda.

Może i miałam odchyły, ale nie ciężką schizofrenię, na litość boską.

– Hej, wszystko w porządku? – zagadnęła mnie Vanessa, ta od ceramicznych aniołków.

– Tak, jasne. Czemu?

– Bo wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

## 2



Nathaniel siedział za kierownicą czarnego jaguara, niemal niewidocznego na tle nocy. Wzrok miał utkwiony w oknach domu po przeciwnej stronie ulicy. Obserwował, jak jego właściciel przechodzi do pokoju, a potem wraca z kanapką w ręku i siada przed komputerem. Ze swojego miejsca Thorne nie widział monitora, zasłaniała go głowa mężczyzny i jego zmierzwione włosy z odcisniętą linią zdradzającą, że dłuższy czas przykrywała je czapka.

– Nie zapomniałeś o maśle orzechowym? – szepnął.

Facet obrócił się, a potem wzruszył ramionami i odgryzł pierwszy kęs.

Nathaniel dał mu jeszcze chwilę, po czym wyłowił komórkę ze skrytki i wybrał jego numer. Po całych czterech sygnałach w głośniku wybrzmiało: –

Halo?

– Dobry wieczór, Peter – przywitał się.

Na linii zapadło kilkusekundowe milczenie. Wreszcie mężczyzna zapytał: – Kto mówi?

– Przyjaciel.

– Niby czyj?

Nathaniel uśmiechnął się nieznacznie.

– Twój, jeśli się postarasz.

Peter odgryzł kolejny kęs kanapki, a potem z pełnymi ustami powiedział: – To znowu jakiś głupi żart? Wiesz, że mogę cię namierzyć, jeśli zechcę, zabawny gościu?

– Doprawdy? Byłbyś w stanie to zrobić?

Pete odsunął telefon od ucha i zerknął na ekran.

– Numer prywatny? Żaden problem. A teraz nie blokuj mi linii, bo...

– Ominie cię coś ważnego? Czy zadławisz się kanapką, którą trzymasz w ręku?

Mężczyzna łypnął na bułkę, po czym odłożył ją, jak gdyby nagle zaczęła parzyć. Zgasił światło i ponownie spojrzął w okno. Tym razem trwało to znacznie dłużej.

– Jeszcze raz, kim jesteś? – zapytał. Jego głos stracił poprzednią pewność siebie.

– Przyjacielem, jak mówiłem – odparł Thorne. – Przyjacielem prawdy.

– Niech będzie. – Peter wyciągał szyję, ale jaguara zaparkowanego po przeciwnej stronie drogi nie był w stanie dojrzeć. Nawet gdy spojrzął prosto na niego. – A dzwonicz, żeby co?

– Żeby prawdzie stało się zadość.

– Jesteś od adwentystów dnia siódmego czy jak? – Pochwyił zapomnianą kanapkę i wgryzł się w nią. – Jeśli tak, odkładam słuchawkę.

Oczy Nathaniela błysnęły w mroku.

– Pożałowałbyś, gdybyś to zrobił.

– Wiesz, ile razy słyszałem podobną gadkę?



Księżyc na moment wyszedł zza chmur, malując noc srebrzystym blaskiem. I Peter zobaczył coś w jego świetle, jednak nie był to samochód.

Cofnął się od okna, starając się sobie wmówić, że to tylko przywidzenie.

Ludzie, choć często tak różni, mieli jedną wspólną cechę – łatwo dało się ich przestraszyć.

– Twój zawód, Peter, obliguje cię do dociekania prawdy – podjął Thorne. – Czyż nie?

– Jasne.

– Zatem zainteresuje cię ta sprawa. Widzisz, są kłamstwa, pewne szczególne kłamstwa... Leżą ukryte już zbyt długo, zbierają kurz. Pora to zmienić.

– Mhm, spoko. A dlaczego to konkretne odkurzanie ma mnie interesować?

– Ponieważ chodzi o kobietę, którą kochasz jak siostrę.

– Leah? Co jej się stało?

– Nic – zapewnił Thorne. – Rzecz dotyczy tego, czego szuka.

Peter nie odzywał się przez blisko pół minuty. W głośniku słychać było tylko jego oddech.

– To ma być żart?

– W żadnym razie. Gdybym chciał zrobić ci żart, odciąłbym ci prąd lub zasugerował twojemu przełożonemu, żeby zainteresował się tym, do czego poza pracą wykorzystujesz służbowy komputer.

Mężczyzna przetrwał jego słowa dłuższą chwilę. Bezwiednie ścisnął w rękę kanapkę, a Nathaniel widział wyraźnie, jak skapuje z niej sos.

Błękitne światło monitora nadawało mu osobliwą barwę.

– Święty, kurwa, mikołaju, mówimy o tym, o czym myślę, że mówimy?

– Ty przecież znasz swoją przyjaciółkę najlepiej. Jak nikt inny wiesz, na czym jej zależy. Jesteś jej powiernikiem.

– Nagrywasz to, żeby potem puścić na jej przyjęciu urodzinowym? –

Pete zorientował się, że jego przekąska przecieka, i pozbył się jej, po czym wytarł dłoni w koszulkę. – Mała podpowiedź: Leah nie robi takich przyjęć.

– Ty zresztą też nie. A ja jestem poważny jak sama śmierć.

Peter raz jeszcze odsunął telefon od ucha i z namysłem spojrzał na ekran.

– W porządku. Nawijaj.

– Jest kilka rzeczy, które celowo przeoczono, a które doprowadzą do poznania tożsamości sprawcy. Przez szacunek dla twojego intelektu i mojego czasu nie będę wyjaśniał, o jaką zbrodnię chodzi. Dobrze to wiesz.

– Przeoczono? – Mężczyzna przeciągnął dłonią po twarzy. – Sądysz, że Leah też coś przeoczyła? Ty chyba nie masz pojęcia, ile ona ślęczała nad dokumentami.

Z tego akurat Nathaniel zdawał sobie sprawę bardzo dobrze. Można by rzec, że wyczytał to z jej spojrzenia.

– Nie wiedziała, gdzie szukać.

– I myślisz, że ja też nie?

– Niestety. Chyba się zgodzisz, że istnieją ludzie, którzy są niezwykle biegli w zacieraniu śladów?

– Ale ty bijesz ich na głowę przebiegłością?

– Ja biję wszystkich na głowę.

– Bez urazy, przyjacielu prawdy, ale zaczyna mi to brzmieć jak podpucha.  
– Pomyśl o tym raczej jak o dobrym uczynku, Peter. Nie chcesz pomóc swojej przyjaciółce?

– Pewnie, że chcę. Nie jestem tylko pewny, czego ty chcesz.

– Dokładnie tego samego.

– Powiedzmy, że wierzę.

– Więc skup się i słuchaj – polecił Nathaniel.

A później szczegółowo wyjaśnił Peterowi, co ten powinien zrobić.

– Nooo... chwytam. Powiedziałbym też, że trafiłeś pod właściwy adres, ale tyle pewnie wiesz. W końcu to ty dzwonisz – skwitował Pete. – Tylko jedna rzecz mnie nurtuje. Dlaczego sam się tym nie zajmiesz? Bo mam wrażenie, że kumasz znacznie więcej, niż mi mówisz.

Przed jaguarem przycupnął bury kot. Polizał przednią łapkę i potarł nią głowę. Powtórzył tę czynność kilkakrotnie, po czym skierował żółte ślepia na Nathaniela. Mrugnął powoli, a Thorne odpowiedział mu tym samym.

Kot jeszcze chwilę siedział przed maską samochodu, przypatrując się mężczyźnie z zaciekawieniem. Wreszcie wstał i pełnym gracji krokiem przeszedł na porośniętą bujną trawą parcelę. Thorne odprowadził go wzrokiem.

– Leah nie przyjmie prawdy z moich ust – powiedział. – Nie uwierzy w nią.

– Niby czemu? Jesteś kongresmenem?

– Sprawdź rejestry, o których ci wspomniałem. Wtedy zrozumiesz.

Peter wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– Niech ci będzie. Ale jeśli to jednak jest podpucha, to ja stracę tylko trochę czasu, ale ona będzie zrozpaczona.

– Nigdy nie zrobiłbym niczego, co mogłoby ją zranić – powiedział

Nathaniel. I równocześnie zdał sobie sprawę, że nie jest to tylko wyświechtany frazes, lecz szczerą prawdą.

– Bujasz się w niej? Jak tak, to powodzenia.

– Wyjaśniłem ci swoje powody.

– Gównu wyjaśniłeś, ale niech ci będzie. Sprawdzę to tak czy inaczej.

– Wiem.

– Jedna sprawa. Jak coś mi się nie będzie zgadzać, cokolwiek, człowieku, nic jej nie powiem. Ogarniasz te teksty o fałszywej nadziei?

– Troszczysz się o nią. To chwalebne.

– Na pewno nie jesteś od adwentystów? Bo dziwnie gadasz. I nie mówię tylko o tym twoim akcencie.

Noc była długa, ale nie nieskończona. Thorne zabębnił palcami w kierownicę.

– Ostatnia rzecz. Dyskrecja. Potrafisz być dyskretny?

– Jezu, jakbym ją słyszał.

Nathaniel skrzywił się nieznacznie.

– Jeżeli zapyta cię, jak wpadłeś na trop mordercy, co jej powiesz?

Peter zastanowił się przez chwilę.

– Że zadzwoniłeś?

– Ja? To znaczy?

– Nie przedstawiłeś się, więc nazwę się Hank, może być? Hank z akcentem z dalekiego Nie Mam Pojęcia Gdzie.

– Jak sobie życzysz.

– Nie powiesz mi, kim jesteś, co?

– Przyjemność po mojej stronie. Do następnego razu, Peter. – Thorne przerwał połączenie i rzucił telefon na siedzenie pasażera.

Sylwetka mężczyzny chwilę majaczyła w oknie domu, w końcu Pete wrócił do swoich spraw. Nathaniel odwrócił wzrok od budynku, kiedy nie było już nic wartego śledzenia. Mimo to siedział w jaguarze jeszcze jakiś czas. W którymś momencie bury kot ponownie pojawił się w polu widzenia. Jego ślepia zapłonęły, kiedy odbiło się od nich światło ulicznej latarni.

– Do następnego razu – powtórzył Thorne i uruchomił silnik.

Jaguar ożył i z rykiem ruszył prosto w noc.

Nikt nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

### 3



Po zmianach w Czerwonym Baronie i tak zazwyczaj miałam problemy ze snem, jednak po tej konkretnej czułam się, jakby sen miał mnie spotkać dopiero za następne sto lat. Dlatego nawet nie zwracałam sobie nim głowy i nie pojechałam do mieszkania. I tak nie znosiłam tej cholernej nory.

Pozwoliłam sobie jechać bez celu, aż zorientowałam się, że moje ciało doskonale wie, dokąd się wybiera. Chciałam – potrzebowałam –

porozmawiać z kimś, kto by mnie zrozumiał, kto zawsze mnie rozumiał.

Problemów nastroczało tylko to, że ten ktoś nigdy już nie miał mi odpowiedzieć.

Nie musiałam wbijać adresu w GPS, znałam drogę na pamięć.

Zatrzymałam się, żeby kupić kwiaty u staruszki, która sprzedawała je na poboczu drogi, odkąd tylko sięgałam pamięcią. Dalej ruszyłam na autopilocie. Skręciłam dwa razy w prawo, następnie w Bulwar University, przy kolejnej ulicy znajdował się cmentarz Hillcrest. Zaparkowałam nieco dalej, obok płotu z ciemnej cegły, zgasiłam silnik i wysiadłam z wozu.

Weszłam główną bramą, kutą z żelaza, wiekową jak cała ta nekropolia.

Przeszłam kawałek brukowaną alejką, a potem przy grobie człowieka nazwiskiem Spencer odbiłam w prawo. Wiatr łopotał połami mojej kurtki, gdzieś w górze krzyczał ptak. Mijałam pochylone w zadumie anioły, na które padał cień wysokich drzew. Było tu posępnie, jednak też pięknie w ten szczególnie sposób. Mimo to idea cmentarzy nie do końca do mnie trafiała – wyznawałam kult miejsc, które rzeczywiście łączyły nas z daną osobą. Składanie kwiatów miało dla mnie charakter czysto symboliczny.

Prześlizgnęłam się wzrokiem po grobowcu widocznym w oddali i poczułam się tak, jakbym nie tyle cofnęła się w czasie, ile przewędrowała wprost do innej lokalizacji, na przykład takiej z opowiadania Lovecra a.

Na krawędzi pola widzenia mignęła mi jakaś postać, ale kiedy spojrzałam w tamto miejsce, nikogo nie zobaczyłam. Nie licząc starszego mężczyzny, byłam tu zupełnie sama. Uniosłam dłoń i pomachałam do niego.

Odpowiedział mi podobnym gestem. Rzeczywisty człowiek z krwi i kości.

Żadna moja imaginacja czy inna główniana rzecz. A ta postać na krawędzi wzroku? Złudzenie, nic więcej. W przeciwieństwie do mieszkańców miasta nie wierzyłam, że cmentarz jest nawiedzony. Duchy, jasne. Potrzeba czegoś więcej, żeby przstraszyć człowieka, który nosi ze sobą broń.

Minęłam wykutego w marmurze anioła z pochyloną głową i szeroko rozpostartymi skrzydłami, a potem skręciłam w alejkę, na której końcu znajdował się grób mojej matki. Przyklęłam i zmiotłam liście z liter układających się w dwa słowa: SUSANNAH WINTERS

Położyłam kwiaty na zimnym kamieniu, zakrywając datę urodzin oraz śmierci. Potem jakiś czas tak stałam. I jeśli życzenie śmierci osobom, przez które moja matka zginęła, jest modlitwą... to tak, modliłam się.

Wyszłam z cmentarza tą samą drogą. Staruszek, do którego machałam, zdążył już zniknąć. Sprawdziłam, czy w schowku na pewno mam broń – nawyk zakorzeniony tak głęboko, że niemal nieświadomy – a potem pojechałam na drugi koniec miasta, w miejsce, gdzie naprawdę mogłam poczuć obecność matki. Lub wyobrazić sobie, że ją czuję.

Zaparkowałam tam, gdzie zazwyczaj parkowała ona – pod sklepem papierniczym, teraz już nieczynnym. Weszłam do parku od wschodniej strony i kiedy spojrzałam na górkę, z której jako mała dziewczynka zjeżdżałam na sankach, coś ścisnęło mnie za gardło. Kiedy miałam kilka lat, zdawało mi się, że moja mama jest nieomylna, że jest bogiem, a bogowie są przecież nieśmiertelni. Kiedy się okazuje, że jednak potrafią krwawić, wtedy niestety jest już za późno.

Chłonełam każdy szmer, każdy zapach. I choć szłam przed siebie, z każdym krokiem cofałam się coraz głębiej w przeszłość. Woń liści i trawy, powietrze niosące ze sobą zapowiedź chłodnych dni... to była moja machina czasu. Przeszłam między drzewami i zajęłam miejsce na ławce, na której w jakimś innym życiu siedziała mała Leah i z zapartym tchem słuchała opowieści o tym, że choć ojciec bardzo ją kochał, niestety musiał

wyjechać w daleką podróż, z której – być może – nigdy już nie wróci. Ale gdyby tu był...

– ...chciałby, żebyś to nosiła – szepnęłam ochryple, zaciskając palce na skrzydlatej kobiecie.

Czas nie tyle przestał płynąć, ile stracił na znaczeniu. W kieszeni miałam komórkę, ale nie wyciągałam jej, żeby sprawdzić godzinę. Nie zrobiłam tego, nawet kiedy telefon zaczął wibrować. Tyle rzeczy się ostatnio wydarzyło, chciałam jakoś to sobie poukładać. Świat mógł

poczekać, ja na chwilę się zatrzymałam.

Położyłam dłoń na drewnianym siedzeniu. Dałabym wiele – wszystko –

żeby tylko poczuć, jak nakrywa ją ręka matki. Poświęciłabym, co tylko mam, żeby znów usłyszeć jej głos. Rzadko pozwalałam sobie na tego typu refleksje, ale teraz nie bałam się przyznać sama przed sobą, jaka byłam samotna. Odtrącałam każdego, kto choćby spróbował się do mnie zbliżyć.

Ogarniał mnie paniczny strach przed ponowną stratą. Obawiałam się zbliżyć do kogokolwiek, bo on także mógłby zostać mi odebrany. Lepiej nie mieć nic – wtedy nie mogłam niczego stracić. Gniew był wszystkim, co miałam – dokładnie tak, jak powiedziałam Thorne'owi. To sama prawda.

W moim umyśle wciąż obracał się ten jeden straszliwy moment, kiedy wujek przyklęknął przede mną i tłumaczył, że stało się coś bardzo złego i mama nigdy już nie wróci.

– Tak mi przykro – powiedział, a potem mnie do siebie przytulił. – Tak strasznie mi przykro.

Niedbale otarłam samotną łzę z policzka. Pragnęłam, żeby matka była tu teraz ze mną. Chciałam jej opowiedzieć o tych wszystkich latach, które spędziłam na

poszukiwaniach osób, które mi ją odebrały, wyjaśnić, dlaczego stałam się tym, kim się stałam. Chciałam opowiedzieć jej o facecie, który wszedł do pokoju 606 ciężko chory, a opuścił go jako zupełnie zdrowy człowiek, chciałam jej opowiedzieć o swoich snach, o niepokojących wizjach, a przede wszystkim o Thornie, o którym zaczynałam myśleć, że chyba nie jest człowiekiem. „Mamo, zanim cokolwiek powiesz, wysłuchaj mnie do końca. Wiem, to brzmi, jakbym traciła rozum, ale daj mi szansę”, tak bym zaczęła.

Chciało mi się od tego rzygać. Sprawa, której się podjęłam, zaczynała mnie przerastać, ponieważ ocierała się o rzeczy, o które żadna sprawa nie powinna się ocierać. Pojawiało się coraz więcej nienormalnych poszlak, a

ja nie miałam nikogo, przed kim mogłabym ten ciężar z siebie zrzucić. Nie bez ryzyka, że trafię do wariatkowa.

– Jestem zmęczona, wiesz? – odezwałam się. – Czasem chciałabym już tylko odpocząć. Od... od tego wszystkiego. Ale tego nie robię. Dla ciebie.

Dla nas.

– *Jesteś wyjątkową dziewczynką.* – Usłyszałam jej głos tak wyraźnie, jakby rzeczywiście tu przy mnie była. – *Nie potrafisz wyrazić, jak bardzo twój tatuś żałuje, że nie ma go teraz przy tobie, ale wiem, że chciałby, żebyś to nosiła.* – Naszyjnik zakołysał się w jej dłoni. – *Ja również bym tego chciała. Nigdy go nie zdejmuj, Leah. Nie rozstawaj się z nim bez względu na to, gdzie jesteś i co robisz. Czy się kąpiesz, śpisz, zawsze miej go na szyi.*

*Myśl o mnie, kiedy na niego spojrzysz. Myśl o nas.*

„Zupełnie jakbyś wyczuwała, że to ostatnia szansa, żeby mi go dać” – pomyślałam i ta myśl przejęła mnie trwogą.

Tak wielu pytań nie zdążyłam jej zadać, na przykład jak ojciec miał na nazwisko. Może wtedy istniałaby realna szansa, że go odnajdę. Ale bez choćby strzępów informacji? Niewykonalne. A zarówno ja, jak i wujek wiedzieliśmy tyle, że facet miał na imię David. Matka strzegła prywatności, trudno było wyciągnąć z niej cokolwiek, a kiedy schodziło na temat mojego ojca, stawała się niemową – mniej więcej tak ujął to jej brat. Miała swoje powody, tak zawsze mi się wydawało. Nie drążyłam tematu ani wtedy, ani później z opacznie pojętego szacunku. Wszakże woli boga się nie kwestionuje, a jej wolą było milczenie.

– Mogłaś mi zostawić jakieś wskazówki, cokolwiek. – Uniosłam wzrok.

– Nie chciałaś, żebym go znalazła, prawda?

Zgadza się, z jakiegoś powodu nie chciała. Mój ojciec był tajemnicą, którą postanowiła zabrać ze sobą do grobu.

– *Podejmujemy trudne decyzje, bo tak trzeba.* – To też mi powiedziała.

Susannah Winters, twarda pani prokurator, która nie szła na kompromisy.

Wtedy nie bardzo rozumiałam, kto to w ogóle jest prokurator. – *Musimy się mierzyć z ich konsekwencjami, jakkolwiek straszne by nie były, ale silni ludzie dają sobie z tym radę. A ty jesteś silna, córeczko. Silniejsza, niż ci się wydaje.*

– Jasne – mruknęłam, pociągając nosem.

Ze świadomością, że nigdy nie poznam tożsamości ojca, jakoś mogłam żyć – nie da się tęsknić za kimś, kogo się nie spotkało. Inaczej natomiast wyglądała sprawa z kobietą, której nazwisko nosiłam. Nie mogłam zrezygnować, wywiesić białej flagi i stwierdzić, że to pierdołę. Psychol czy nie, Thorne coś wiedział, był rozwiązaniem. Czuałam to. I nieważne, że wpędzał mnie w obłąd, bo nie zamierzałam odpuścić. Z

powodu wszystkich tych straconych dni, skradzionych momentów oraz historii, których nigdy już nie miałam usłyszeć. Jeżeli nawet był samym diabłem, trudno. Nie wycofam się. Nie istniała nawet taka opcja. Wiedziałam, że znajdę sposób, żeby wyciągnąć z niego prawdę, choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką w życiu zrobię. Że z jego pomocą czy bez niej znajdę człowieka, który zabił

mi matkę.

– Wyrwę mu serce – powiedziałam. Czułam, że się uśmiecham, i miałam świadomość, że gdybym spojrzała w tamtym momencie w lustro, przekonałabym się, jak straszliwy był to grymas. – Odbiorę mu wszystko.

Albo im. To bez znaczenia.

## 4



Nathaniel stał skryty w cieniu drzew. Jego oczy osadzone w pociągłej twarzy lśniły. Przyglądał się istocie równie kruchej, co walecznej, czując, jak wzrasta w nim niespotykany dotąd podziw. Leah tańczyła z własnymi demonami, stąpała po prawdzie i nie cofała się, chociaż ta prawda coraz bardziej ją raniła. A potem zrani jeszcze mocniej.

W przeciwieństwie do niej dysponował nieograniczonymi możliwościami i znalezienie tych, których ona bezskutecznie szukała latami, przyszło mu bez większego trudu. Teraz tylko musiał ich odszukać ktoś jeszcze. Nathaniel nie spieszył się jednak z wyjawieniem tych informacji i wiedział, że jej przyjaciel też tego nie robi. Nie, dopóki nie nadejdzie odpowiedni moment. Gra okazała się zbyt wciągająca, by tak szybko ją kończyć. A Leah wciąż nie pokazała całego swego potencjału.

– Wyrwę mu serce – dobiegły go jej słowa.

Uśmiechnął się. Miał wielką nadzieję, że tak właśnie postąpi. Nie była zwyczajna i nie powinna wieść żywota zwykłego człowieka. Ani tak odejść. Jeżeli chciała stanąć po jego, Nathaniela, stronie, musiała się określić, wyraźnie opowiedzieć za jedną z sił. I choć jej profesja pozornie zatwierdzała ten wybór, to Leah w sercu nosiła coś zupełnie odmiennego. I mniej czy bardziej świadomie zdawała sobie z tego sprawę. To było jej dziedzictwo.

– W oczach dziecka rodzic zawsze jest bogiem – szepnął. – *Etth tuehrys veherte seyaath, Lyth.*

Leah drgnęła nerwowo i obróciła się, daremnie próbując go wypatrzyć.

Wciąż uparcie widziała rzeczy takimi, jakimi chciała je widzieć, nie takimi, jakimi były naprawdę. Nadal przyglądała się wszystkiemu tak, jak robi to człowiek.

– *Veyherr cohr tuyeherm es.* Czerń i biel. Wszystko odwrotnie. Tak jak powinien był nauczyć cię tego ojciec.

Leah, Leah, Leah.

Lyth.

Nagle ich spojrzenia się spotkały. Wtedy coś poczuł. Pierwszy raz w całym swym istnieniu doświadczył czegoś, co nie było chęcią niszczenia.

To coś... nowego. W chwili, kiedy popatrzył w jej zagniewane, pełne smutku oczy i zobaczył oraz w pełni pojął źródło tego gniewu, ulitował się nad jego kruchością. On. Właśnie on.

– Lyth – powtórzył.

Wiedział, jak dłoń dziewczyny wędruje ku skrytemu pod koszulką naszyjnikowi. To niemal bezwiedny odruch, podobny do tego, gdy sięgała po broń. I w pewnym sensie ten naszyjnik także stanowił broń. Tyle że to nie ją chronił. Nie, jeśli patrzyło się na to z perspektywy Nathaniela.



– Zerwij go – powiedział, nie podnosząc głosu ponad pełen mocy szept.

– I zobacz, co się stanie.

Ale oczywiście nie zrobiła tego.

Jeszcze nie wtedy.

Była tak różna od tych, którzy do niego przychodzili, choć przecież tak podobna. Chciała czegoś, co mógł jej dać, nie zamierzała jednak prosić.

Wolała manipulację od błagań, brnęła naprzód tam, gdzie inni padali na kolana. Oczywiście czasem czuła strach, nigdy jednak nie pozwoliła, by przejął nad nią władzę.

Była zbyt zła, żeby bać się naprawdę, a najpiękniejsza stawała się właśnie taka. Zła.

Mrok kroczył tuż za nią, emanowała z niej ciemność. Nathaniel dostrzegł to coraz wyraźniej. Miała to we krwi przez cały ten czas, lecz wystarczyło ledwie parę chwil i

obnażył ją z tego, co ludzkie. Prawdziwa natura dziewczyny chciała wyjść na powierzchnię. Wreszcie.

– Pomogę ci – powiedział. – Przecież jestem twoim aniołem stróżem.

Kątem oka dostrzegł, że na gałęzi nieopodal przysiadł kruk. Popatrzył na Nathaniela paciorkowatymi ślepiami, przekrzywiając łeppek. Wydał z siebie pojedyncze „kra”, następnie rozłożył skrzydła, zatrzepotał nimi i odleciał. Leah natomiast wróciła do kontemplowania kołyszących się na wietrze drzew. Wciąż intensywnie coś rozważała, co uzewnętrzniało się tym, jak zaciekle ryła tenisówką w ziemi.

– Królestwo za twe myśli – rzekł Nathaniel.

A potem odwrócił się i odszedł, zmieniając się w jeden z cieni.

## 5



Raz jeszcze spojrzałam za siebie, ale nikogo tam nie dostrzegłam.

Cienie drzew, to wszystko. Cienie i szum wiatru. A, no i jeszcze mój wrodzony zajob.

*Leah, Leah, Leah.*

*Lyth.*

Opuściłam wzrok na buty. Nawet nie zauważyłam, że zawzięcie grzebałam nogą w piachu – dookoła mojej prawej stopy zionęła już dziura.

A ja sama? Zagrzebałam się we własnych wspomnieniach tak głęboko, że do reszty straciłam rachubę czasu. Kiedy wsiadałam do samochodu, było już późne popołudnie. I dopiero gdy ruszyłam w drogę, poczułam, że jestem głodna, a moje ciało dopomina się o odpoczynek.

Po drodze wskoczyłam do 7-Eleven – nie tego, przed którym spotkałam się z Peterem, ale one wszystkie były takie same – i kupiłam kanapkę oraz kawę. Z jednym i drugim uporałam się jeszcze w trasie. Chociaż akurat kawa mogła się okazać błędem. Wciąż byłam roztrzęsiona i powinnam się raczej wyciszyć, a nie wpompowywać w siebie kofeinę.

W mojej kieszeni ponownie zawibrował telefon, a ja kolejny raz go zignorowałam. Poważny błąd, choć w tamtej chwili nie mogłam o tym wiedzieć. Wjechałam na podziemny parking i zatrzymałam wóz na miejscu oznaczonym D18. Nie daj Boże stanęłabym na innym, a wtedy ta wariatka z trzeciego piętra dostałaby wylewu. Raz już na mnie naskoczyła i

zamknęła się dopiero na widok pistoletu, który pokazałam jej niby od niechcienia. W tamtym momencie humor nawet mi dopisywał, ale obawiam się, że w obecnym stanie zwyczajnie bym ją postrzeliła.

Zabrałam broń ze skrytki i wysiadłam z wozu. W tej samej chwili zgasły światła.

– Co do... – Tylko tyle zdołałam powiedzieć, zanim ktoś silnie pchnął mnie w plecy.

Poleciałam na beton i rozciągnęłam się na nim jak długa. Pistolet wyleciał mi z ręki i zatrzymał się kilka metrów dalej. Nie tyle go dostrzegłam, ile usłyszałam brzdęk, kiedy o coś uderzył, chyba o felgę.

Albo o stojący przy murku baniak z olejem. W zalegających ciemnościach wszystko było tylko cieniem pośród cieni.

– Cześć, suko. Tęskniłaś?

Ten głos rozpoznałabym wszędzie.

Reynolds. Pierdolony Kevin Reynolds.

„Najgorsze będzie to czekanie. Oglądanie się przez ramię, sprawdzanie każdego pomieszczenia, zanim do niego wejdiesz. Ale nie znajdziesz mnie, chociaż i tak tam będę” – dokładnie tak mi powiedział. Szkoda, że mu, kurwa, nie uwierzyłam.

– Ty?! – Odwinęłam się i w tej samej chwili ostrze rozcięło mi policzek.

– Tak, ja. Ja we własnej osobie. – Chwycił mnie za włosy. W jego ręku załśnił nóż. – Nie przyswoiłaś tego, co ci mówiłem. Spotkamy się, kiedy stracisz czujność, pamiętasz? I ty ją właśnie straciłaś, głupia dziwko.

Jak temu pierdolcowi udało się uciec?

Krew lała się z rany, czułam jej niezdrowe ciepło. Policzek palił żywym ogniem i błysnęło mi w głowie, że pewnie zostanie po tym blizna do końca życia. O ile to życie potrwa dłużej niż kolejnych kilka minut.

– Nic bardziej mylnego – odparłam i kopnęłam go w krocze.

Zgiął się, ale nie zwolnił chwytu. Szarpnęłam jeszcze mocniej, potem znowu. Wreszcie poczułam, jak jego opór maleje. Razem ze sporą kępką moich włosów. Rzuciłam się do przodu, a Reynolds zamachnął się nożem, jednak o parę sekund za późno. Tuż obok swojego ucha usłyszałam delikatne „ksszszsz”.

Ta sytuacja zawierała w sobie jakąś potworną analogię do naszego ostatniego spotkania. Tyle że teraz to on był górą. Moja broń znajdowała się gdzieś... niedaleko. Macałam posadzkę, podczas gdy krew zalewała mi dolną połowę twarzy i szyję.

– Już nie jesteś taka ładna – perorował Reynolds.

Wzrok nawykł do ciemności i widziałam, jak Kevin się zbliża. A sekundę później dostrzegłam swój pistolet. Wykonałam skok w tamtym kierunku, ale teraz Reynoldsowi nie zabrakło tych kilku sekund. Chwycił

mnie za kostkę i pociągnął w swoją stronę. Chwilę później ostrze zagłębiło się w moim udzie. Wrzasnęłam. Ból był potworny.

– Wybierałaś się dokądś? – Wyciągnął nóż i wbił jeszcze raz, a ja krzyknęłam ponownie. – Jaka, kurwa, szkoda.

Spojrzałam na Reynoldsa, na jego wyszczerzone w wilczym uśmiechu zęby. I w tej samej chwili światła włączyły się ponownie. Na moment zmrużyłam oczy, porażona nagłą jasnością. A potem zobaczyłam kałuże krwi. Wszystkie moje.

– Ojoj. – Rozejrzał się teatralnie. – Ile krwi. Ale chyba nie potrzebujesz ambulansu, co?

– Pierdol się, Kevin.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a potem złapał mnie za gardło.

– Z tobą zawsze bardzo chętnie.

Zakreśliło mi się w głowie. Wiedziałam, że jest źle. Jeszcze nie tragicznie, ale już prawie. Nogawka spodni cała przesiąkła, dzins zrobił się sztywny. Mój oddech stawał się coraz płytszy, branie wdechów przychodziło mi z coraz większym trudem. Uciekało ze mnie zbyt dużo krwi, a co za tym idzie zbyt dużo tlenu. Wykrwawiam się, pomyślałam z dziwną obojętnością. Wykrwawiam się i zaraz tu umrę.

– Teraz cię widać. Pomachaj do kamery – powiedziałam swoim nowym spazmatycznym głosem. I chyba również zdołałam się uśmiechnąć. – Za zabójstwo policjanta grozi czapa. Od tego już nie uciekniesz, kutasie.

Miał to gdzieś.

– Sprawdzimy coś, dobra? – Aż się zaplawał do własnych myśli. –

Zobaczymy, czy dojdiesz tak samo jak twoja matka.

Zamachnęłam się, lecz to nie był dobry pomysł. Byłam słaba, za słaba, a do tego ręka ścisnęła mnie za gardło. Ale dopóki żyłam, zamierzałam walczyć. Spróbowałam go kopnąć, lecz bez trudu zablokował mój ruch.

Uniósł już nóż do kolejnego ciosu, jednak nie zdążył go zadać. Ktoś złapał go za rękę. Ktoś. Nathaniel. To nienormalne, że nie zobaczyłam go wcześniej. Powinnam była go widzieć.

– Już nie żyjesz, ty... – Reynolds urwał i skrzywił się, wypuszczając przy tym ostrze z ręki.

Thorne musiał mieć naprawdę silny chwyt.

– Nawet nie masz pojęcia, co zrobiłeś – powiedział takim tonem, że ta resztką krwi, która jeszcze we mnie została, ścięła się. – Ani w jaki sposób za to zapłacisz.

Szarpnął Reynoldsem i choć z mojej perspektywy wyglądało to jak wykonany od niechcenia gest, to Kevin poleciał pod przeciwległą ścianę i gruchnął o nią jak worek z mąką. Nie stracił przytomności, ale impet uderzenia na moment wybił mu powietrze z płuc. Thorne wykorzystał

chwilę i przywitał się ze mną. W dość osobliwy sposób.

– Wciąż się nie boisz, moja droga – stwierdził. – Nawet teraz.

Gość był, kurwa, chory.

– Co ty tu tak właściwie robisz? – wydyszałam.

Pochylił się i ujął moją brodę.

– Mówiłem przecież, że nikomu nie pozwolę cię skrzywdzić.

Tak, tylko że to stało się w moim śnie, miałam ochotę mu powiedzieć.

Zważywszy na sytuację, zdecydowałam się jednak na krótkie: – Za tobą.

Thorne obrócił się z niedorzeczną gracją. Złapał szarżującego na niego Reynoldsa za nadgarstek i złamał go z taką łatwością, jak gdyby miażdżył

suchą gałązkę. Kości przebiły skórę. Reynolds zawył i wypuścił nóż z ręki.

Osunąłby się na kolana, ale Thorne mocno go trzymał.

– Mówiłeś coś? Nie dosłyszałem przez ten twój pisk.

Kevin tęsknie popatrzył na ostrze, następnie wykonał zamach zdrową ręką. Niestety nie przyniosło to żadnego efektu.

– Pytałem, czy coś mówiłeś. – Nathaniel wsunął palec w otwarte złamanie, jednocześnie puszczając Reynoldsa. Ten walnął o beton.

Tulił do siebie pogruchoaną dłoń, a mimo to wciąż próbował atakować.

Jednak Thorne przyglądał się jego wysiłkom z pobłażliwą miną.

– Musi bardzo boleć, wiem – powiedział, a potem wykręcił mu łokieć pod złowieszczy kątem.

Skowyt, jaki wydał z siebie Reynolds, zapamiętam do końca życia.

– To z pewnością też – dodał Nathaniel i uderzył facetem o filar. Sądząc po odgłosie, Kevin złamał kolejną kość.

W mojej kieszeni tkwiła komórka, ale nie miałam siły jej wyciągnąć.

Nie, to nie do końca prawda. Nie chciałam jej wyjmować, zbyt zafascynowana okrucieństwem rozgrywającym się przed moimi oczami.

Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby wezwać gliny. A poza mną nie było tu innych naocznych świadków.

*I to się nie zmieni. Nikt teraz tu nie wejdzie. Nie może wejść.*

*Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?*

Z tego, że nie jest ze mną najlepiej, też całkiem nieźle zdawałam sobie sprawę. Nie byłam w stanie wstać, nawet nie próbowałam. Mogłam tylko leżeć na mokrym od własnej krwi betonie i przyglądać się, jak Thorne pastwi się nad skurwielem, który omal mnie nie zabił. Skłamałabym, mówiąc, że nie czułam satysfakcji.

– Jesteś, kurwa, martwy, świrze! – wrzasnął Reynolds i podjął kolejną próbę ataku. Facet był szybki, ale przeciwnik bił go na głowę pod każdym względem.

Thorne uchylił się, następnie obrócił i złapał mężczyznę za gardło.

Miotał nim z taką łatwością, jak gdyby podrzucał szmacianą kukielkę.

Pchnął go na maskę najbliższego samochodu; Reynolds zsunął się z niej, pozostawiając smugi krwi na jasnej karoserii. Byłam pewna, że Thorne ma przy sobie broń, nie wyciągnął jej jednak, ponieważ – jak na sadystę przystało – wybrał bardziej wyszukany sposób zadawania cierpienia.

Rozejrzałam się za własnym pistoletem. Moje pole widzenia dramatycznie się kurczyło, a zawroty głowy przybierały na sile. Może należało jednak zadzwonić po ambulans, ale teraz było już na to chyba za późno. Ściągnęłam z siebie kurtkę i użyłam jej jako opaski uciskowej.

Przewięzałam udo tak mocno, jak tylko byłam w stanie. Materiał błyskawicznie nasiąknął krwią, a ja poczułam, że zaraz puszczę pawia.

– Mówiłem, że już nie żyjesz! – zawołał Reynolds triumfalnie. Tulił do siebie pogruchotaną rękę, ale w drugiej ścisnął mój pistolet, i to całkiem pewnie.

Zrobiło mi się jeszcze bardziej niedobrze, Thorne z kolei uśmiechał się szeroko. Zupełnie jakby uważał, że jest kuloodporny.

– Możesz powtórzyć? – Lekko ruszył palcami i w tym samym momencie Reynolds padł na kolana. – Nie, zdaje się, że nie jesteś w stanie.

Na twarzy Kevina malowało się czyste przerażenie i zaraz pojęłam dlaczego. Ręka, w której trzymał pistolet, odwróciła się i teraz celowała w jego skroń. Wiem, powinnam powiedzieć: „Reynolds odwrócił rękę”, ale to tak nie wyglądało. Było zupełnie tak, jakby jakaś siła z zewnątrz sterowała jego ramieniem. Widziałam, jak drżą mu mięśnie, jak cały się napina.

Stawiał opór, lecz przegrywał tę walkę.

– Powiedz, jakie to uczucie? – odezwał się Thorne. – Jak to jest wiedzieć, że się umiera?

Facet wydał z siebie jedynie niezrozumiały bulgot, ale powiększająca się ciemna plama w jego kroku dawała jako takie pojęcie na temat tego, jak się teraz czuł. Umierał ze strachu. I wcale mu się nie dziwiłam.

*Thorne nie jest tym, kim się wydaje.*

– Ostatnie słowa, zanim pójdziesz do piekła? – Drapieźny uśmiech rozciągnął wargi Nathaniela.

Reynolds otwierał i zamykał usta, otwierał i zamykał, wyduszając z siebie urywane dźwięki.

– Nie... Nie... Prosz... ęę...

Thorne postąpił krok w jego kierunku. Patrzył z góry na klęczącego przed nim mężczyznę. W jego oczach nie było współczucia. Czaiła się tam wyłącznie ciemność.

– One wszystkie cię prosiły, czyż nie? Ale ty nie usłuchałeś żadnej prośby, dlaczego ja miałbym usłuchać twojej?

– Dam... – Strużka krwi wyleciała z ust Reynoldsa i spłynęła po brodzie. – Wszystko. Dam ci wszystko. Mam...

– Wiem – uciął Thorne. Jego nieludzkie oczy błysnęły czerwienią. – Sam to sobie wezmę.

Gdy zgiął palce prawej dłoni, rozległ się huk. Moja broń wystrzeliła, a kawałki mózgu Reynoldsa bryznęły na ścianę oraz podłogę. Sam Reynolds zachwiał się na kolanach i w następnej sekundzie runął na plecy. Jego noga drgnęła konwulsyjnie raz, potem drugi. Wreszcie znieruchomiał.

Przyglądałam się temu i miałam wrażenie, że stoję gdzieś obok własnego ciała. Zastrzelił się, pomyślałam. Tyle że tak naprawdę zabił go

Thorne. Nikt by jednak w to nie uwierzył, sama nie wierzyłam. Patrzyłam na martwego Reynoldsa, na dziurę zionącą w jego czaszce i wciąż nie dawałam temu wiary.

Tu się dzieje coś...

Myśl urwała się nagle.

Po niej przyszła czerń.

## 6



Uniosłam powieki i przekonałam się, że leżę na łóżku we własnej sypialni. Za jedyne źródło światła robił wiszący na niebie księżyc.

Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to myśl: „Miałam strasznie pojebany sen”, ale ból, który zwałił się na mnie chwilę później, wyprowadził mnie z błędu. To nie sen. Wszystko, co się stało, wydarzyło się naprawdę.

Ostrożnie dotknęłam policzka i zaraz cofnęłam rękę. Rana była głęboka, nie chciałam nawet myśleć, jak musi wyglądać.

– Wciąż jesteś piękna – odezwał się Thorne, a ja omal nie wrzasnęłam.

– Ty...

Wyszedł spośród ciemności, w której do tej pory się ukrywał. Zapalił nocną lampkę i przyjrzał mi się. Wyglądał wręcz absurdalnie doskonale w swoim czarnym garniturze, z włosami zaczesanymi do tyłu i gładko ogolonymi policzkami. Sprawiał wrażenie, jakby właśnie wrócił z wytwornego przyjęcia, a nie skatował faceta niemal na śmierć. Ani na jego ubraniu, ani na nim samym nie było choćby plamki krwi Reynoldsa, a z doświadczenia wiedziałam, że jednak powinna. Pamiętam, w jakiej odległości stał, kiedy broń wystrzeliła. Rozbryzg nie mógł go nie dosięgnąć.

– Ja – przytaknął Thorne. – Twój anioł stróż.

W jego ustach brzmiało to niemal jak bluźnierstwo.

A jednak, tu i teraz, wydawało się samą prawdą.

– Pewnie powinnam ci podziękować. Ale nie wiem, czy chcę.

– Nie musisz. To była czysta przyjemność.

Moment, w którym Reynolds palnął sobie w łeb, powrócił do mnie z upiorną klarownością. I miałam wrażenie, że będzie wracał przez długie lata.

– Zabiłeś go – powiedziałam, a w myślach dodałam: jakoś.

– Ja? – Wargi Thorne’a rozchyliły się w drapieżnym uśmiechu. – To on trzymał broń. Jakbym, kurwa, nie wiedziała.

Nie mam pojęcia, czy gorzej było mi przez tę świadomość, czy z powodu faktu, że prawie umarłam. A teraz toczyliśmy sobie tę surrealistyczną gadkę, tymczasem ból powracał i odchodził, odchodził i powracał. Skrzywiłam się, gdy zabolalo szczególnie dotkliwie. Wciąż miałam lekkie zawroty głowy, co jednak wcale mnie nie dziwiło.

Przesunęłam dłonią po materacu, przekonana, że będzie cały wilgotny. Ale nie, wyglądało na to, że krwawienie ustało. Opuściłam wzrok i zobaczyłam, że oprócz prowizorycznego opatrunku z kurtki mam również pasek zaciśnięty powyżej rany. Ja takiego nie nosiłam, musiał więc należeć do Nathaniela.

– Sądzisz pewnie, że powinienem użyć tego – wyciągnął przed siebie moją komórkę – i wezwać pomoc?

Szarpnęłam się w kierunku Thorne'a, ale był to duży błąd. Ranna noga zaprotestowała, a ja musiałam przygryźć język, żeby nie krzyknąć. Było ze mną źle. A jednak już nie tragicznie. No i żyłam, choć tak znaczna utrata krwi powinna mnie zabić.

– Daj mi ją! – zażądałam.

Spojrzał na telefon i niedbale rzucił go za siebie.

– Nie widzę takiej potrzeby, moja droga.

– A ja tak. Nie wiesz, że za nieudzielenie pomocy też możesz beknąć?

– Właśnie tym się teraz martwisz? – Spoglądał na mnie błękitnymi oczami, jednak w jego twarzy nie mogłam się doszukać śladu jakichkolwiek emocji. – Doprawdy?

– Faktycznie, jako glina powinnam w obliczu rychłej śmierci czuć jedynie drobny dyskomfort – syknęłam jadownicie.

– Nie możesz umrzeć – powiedział Thorne, zbliżając się do mnie. – Ta część, która jest twoim ojcem, nie pozwoli ci na to.

Postanowiłam zignorować ten obłąkany komentarz.

– Reynolds zastrzelił się z mojej broni, ale tym też się nie martwię – ciągnęłam. – Niepokoi mnie co innego. Chcesz wiedzieć co?

Nathaniel potwierdził skinieniem głowy.

– Zawsze.

– To, że wyglądał, jakby coś opętało mu rękę.

Po tych słowach Thorne sięgnął pod marynarkę i wyłowił stamtąd mojego glocka. Spięłam się odruchowo, jednak niepotrzebnie. Położył broń na skraju łóżka, posyłając mi zagadkowy uśmiezek.

– Zastanawiasz się, czy bardzo cierpiał? Owszem. I wciąż cierpi.

– Przecież on nie żyje.

– Zgadza się. A jednak wciąż cierpi.

Facet był szaleńcem. Kompletnym świrem.

– Wspaniale – wydusiłam, zezując na pistolet. Wolałabym dosięgnąć go pierwsza, chociaż mając na uwadze, co stało się z Reynoldsem, może jednak niepotrzebnie. – Ale jeśli nie podasz mi telefonu, mam spore szanse pójść w jego ślady.

Thorne przyglądał mi się z pobłażliwym uśmiezkiem błakającym się w kącikach ust.

– Mówiłem ci przecież, że nie możesz umrzeć.

Może byłoby lepiej, gdyby Reynolds mnie po prostu zadźgał, pomyślałam z rezygnacją. Bo wyglądało na to, że za chwilę stanie się coś nawet gorszego. Thorne postanowił mi udowodnić, że jestem nieśmiertelna, i naprawdę mnie zabije.

– Zabawne, bo jestem już bardzo blisko.

– Przeciwnie, moja droga.

– Dźgnął cię ktoś kiedyś, Nate? Boli jak sam skurwysyn.

– W tym momencie cierpisz na własne życzenie. Możesz to przerwać.

Ty. Właśnie ty. Przecież wiesz, że masz to... pod skórą.

W jednej chwili zrobiło mi się gorąco.

– Co takiego? – Wargi mi zdrętwiały. Cała byłam jak sparaliżowana.

Ten człowiek znał wszystkie moje koszmary. Nie miał do tego prawa, nie mógł o nich wiedzieć. A jednak. Albo sam był koszmarem, albo do reszty postradałam już rozum.



– To klucz. – Wskazał palcem mój naszyjnik. – Wiesz już, jakie drzwi otwiera?  
„Twojego szaleństwa” – miałam ochotę odpowiedzieć.

Rzuciłam się w kierunku pistoletu, ignorując ból, który eksplodował w nodze, ale nie byłam wystarczająco szybka. Thorne pierwszy zacisnął palce na rękojści.

– Kiepskie rozwiązanie – powiedział i cisnął glocka przez pokój. –  
Skoncentruj się na tym, co masz na szyi.

Chciałabym móc powiedzieć, że się bałam, ale to nie byłaby prawda.

Czułam wściekłość. Ten łańcuszek nie miał związku, to ślepy trop, na który Thorne rozmyślnie mnie kierował. I nawet teraz, kiedy tu siedziałam z ranami kłutymi, wciąż o nim bredził. Gdyby istniała jakaś wskazówka, jakakolwiek, ja lub Pete byśmy ją znaleźli.

– To tylko wisiołek – powiedziałam przez zęby.

– Sprawdziłaś jego pochodzenie? – Drwiący uśmiech nie schodził z ust Thorne’a. Było zupełnie tak, jakby ten psychopata dobrze znał odpowiedź, jakby śledził każdy mój ruch. Paranoiczna myśl, ale w jego towarzystwie trudno się uwolnić od paranoi. Tym bardziej po tym, co dziś zobaczyłam.

Może po prostu mnie czymś naszprycował? Boże, chciałam, żeby tak brzmiała odpowiedź.

– Nie – skłamałam. – Wyleciało mi z głowy.

– Nic nie znalazłaś, czyż nie? – Choć brzmiało to jak pytanie, Thorne wcale nie pytał. Znał odpowiedź. Tak po prostu.

– Ulży ci od tego, jak powiem, że nie?

Zaśmiał się. Średnio przyjemny dźwięk.

– Jak mogłabyś znaleźć coś, co nie pochodzi z tego świata?

– Jeśli to jakieś szarady, to wybacz, ale nie chwytam. – Widziałam swój telefon.

Ekran rozbłysnął do wtóru charakterystycznego „bzz”, „bzz”,

„bzz”. Kolejne połączenie, które zostanie przekierowane na pocztę głosową. Nie widziałam, kto dzwoni, nie ze swojego miejsca, ale obstawiałam, że ktoś z komisariatu. Reynolds nawiał. Chcieli mnie ostrzec.

– Wiesz, dlaczego twój ojciec polecił matce ci go dać? Dlaczego chciał, żebyś nigdy go nie zdejmowała? – podjął Nathaniel. – Nie rozstawaj się z nim bez względu na to, gdzie jesteś i co robisz. Czy się kąpiesz, śpisz, zawsze miej go na szyi. Nie te słowa usłyszałaś?

*On nie jest tym, kim się wydaje. Thorne to wcielone zło.*

*A ty... masz to pod skórą. Miałaś to cały czas.*

Zaschło mi w gardle. Chciałam przełknąć ślinę, ale nie bardzo miałam co przełykać. To był szok, musiał być. Szok wywołany utratą krwi.

– Kim ty, do diabła, jesteś?

Thorne pochylił się nade mną.

– Przecież znasz odpowiedź.

Czy rzeczywiście? Bo jedyna, jaka przychodziła mi na myśl, kwestionowała mój zdrowy rozsądek i sprawiała, że chciało mi się krzyczeć. Jako glina w wydziale zabójstw regularnie widywałam trupy, naprawdę paskudne trupy, ale teraz chciałam wrzeszczeć na całe gardło.

– Zerwij go, Leah – zachęcił. Jego niesamowite oczy zmieniały kolor, choć przecież nie było to możliwe. Patrzyłam, jak z błękitu przechodzą w zielen, z zieleni w szarość, a

potem w czerń. – Zerwij i przekonaj się, co się stanie.

Leah, Leah, Leah.

Lyth.

Odepchnęłam się i przesunęłam w tył, aż plecami dotknęłam zagłówka.

Tu się działo coś nienormalnego i albo poważnie chorowałam na głowę, albo powinnam bardzo szczegółowo rozważyć, czy inny wymiar przypadkiem nie istnieje. Bo inaczej tego wytłumaczyć się nie dało.

– Nie zbliżaj się – poradziłam. – Jedną nogę wciąż mam zdrową.

– Nie zrobiłbym ci krzywdy. Nigdy.

Mogłam postawić stówę, że niektóre z jego ofiar słyszały dokładnie to samo.

– Doce... Aua!

Pasek, który do tej pory był zaciśnięty wokół mojego uda, pękł. Ot tak, bez wyraźnej przyczyny. Krew momentalnie buchnęła z rany. Chciałam ją zatamować, ale Nathaniel złapał mnie za ramiona. Patrzył mi prosto w oczy.

Jego własne przybrały teraz barwę obsydianu.

– Odpowiedz mi na jedno pytanie. Chcesz żyć?

Znacie frazę „gubić się w czymś spojrzeniu”? Z pewnością.

Przeważnie brzmi to jak romantyczna bzdura, ale w tamtej chwili rzeczywiście odczuwałam to w ten sposób. Jakby we wzroku tego

mężczyzny można było zgubić duszę. A ja bardzo pragnęłam zachować swoją. Życie zresztą też.

– Tak – odparłam. – Chcę.

Chwycił mój naszyjnik i szarpnął, zrywając mi go z szyi.

– Więc żyj – powiedział. – Żyj dla mnie, Leah.

Lyth.

Lyth, Lyth, Lyth.

Moje ciało wygięło się w spazmie. Z chęcią powiedziałabym, że bólu, ale to nie było takie proste. Czułam wszystko, każdą przyjemną i potworną rzecz, rozkosz oraz cierpienie, czerń i biel. Rzuciałam się na materacu, dyszałam, jak gdyby chwywanie powietrza przychodziło mi z wielkim trudem. Tak musiało wyglądać umieranie.

Tylko że ja wcale nie umierałam.

Ja się rodziłam. Rodziłam się na nowo.

Nathaniel przyglądał mi się z niewzruszoną miną. Nie bał się, zresztą czemu miałby? Przecież to on był tego przyczyną.

– Co... ty... mi... zrobiłeś? – wypowiedziałam z trudem.

Nie odpowiedział, po prostu patrzył, jak moje palce kurczowo zginają się i prostują. Chwilę później przestałam widzieć cokolwiek, ale zaraz doszłam do wniosku, że to dlatego, że oczy uciekły mi w głąb czaszki.

Może lepiej, gdybym zwyczajnie zemdląła, ale nie traciłam przytomności.

Przeciwnie, zyskiwałam jakąś nieznaną dotąd siłę. To musiał być sen, każde inne wyjaśnienie było po prostu kretyńskie. Snułam tę obłądną wizję, leżąc na intensywnej terapii – to właśnie to.

*Przecież wiesz, że to dzieje się naprawdę.*

*Masz to pod skórą, Lyth.*

Nie wiem, ile to trwało. Pewnie nie dłużej niż minutę, dwie, ale dla mnie to była wieczność. I skończyło się tak nagle, jak przyszło. Pstryk, niemal jakby ktoś przesunął mi przełącznik w samym środku mózgu.

Chwyciłam zmiętą pościel i chwyciłam podparłam się na rękach.

Patrzyłam na Nathaniela, przez moment widziałam ich trzech. Potem obraz zlał się w jedno.

– Ja... – zaczęłam i urwałam. Spoglądałam na swoją nogę, która już nie krwawiła. Pasek czy jakakolwiek inna opaska stały się bezużyteczne.

– Już nie umierasz – dokończył Thorne. – Przecież mówiłem, że nie możesz. A nie zwykłem powtarzać czegoś trzeci raz.

Dotknęłam policzka i krzyk uwiązał mi w gardle. Palce powinny namacać otwartą ranę, lecz napotkały jedynie strup.

– Co zrobiłeś? – Mój głos brzmiał słabo. – Co ty mi zrobiłeś?

– Ja? Nic. Ty? Wszystko.

Bałam się. Chyba pierwszy raz po tym, jak usłyszałam, że moja matka nie żyje, naprawdę się bałam.

– Nie musisz – powiedział Nathaniel.

Wlepiłam w niego ogłupiałe spojrzenie.

– Proszę?

– Nie musisz się bać. Nie masz powodu, moja piękna Lyth.

Chyba się uśmiechnęłam, nie jestem do końca pewna. Kiedy przekroczy się pewien punkt koszmaru, umysł dobrotliwie odcina niektóre sekcje. To taka procedura bezpieczeństwa, inaczej przegrzałyby się reaktor.

– A ty? – zapytałam, mając wrażenie, że za moment znów odpłynę. –

Czy jest w ogóle coś, czego się boisz?

Spojrzał na mnie poważnie.

– Dziś się bałem. Bałem się, że cię stracę – odparł, odgarniając mi włosy z czoła.

A potem złączył nasze usta w pocałunku.

Jeżeli tam nie umarłam, to byłam pewna jednego. Tak smakowało szaleństwo, musiało. Tak smakował sam grzech.

## 7



Nathaniel przyglądał się śpiącej dziewczynie. Jej gałki oczne gwałtownie się poruszały pod zamkniętymi powiekami. Śniła. Śniła o kobiecie, którą tak naprawdę była, którą mogła się stać z jego drobną pomocą. Wciąż jednak zbyt mocno przywiązywała się do tego, co знаła. Do swojego przeżywanego na jawie snu.

Najwyższa pora ją zbudzić.

– Lyth – szepnął.

Odpowiedział mu cichy jęk. Przewróciła się na drugi bok, a potem wymamrotała coś, co zabrzmiało jak „nie”. Jej dłoń przesunęła się po materacu, aż palce natrafiły na poduszkę, którą wypchnęła spod głowy.

Leah wczepiła się w nią kurczowo. W jej śnie to musiał być pistolet. Lub nóż.

*Gdybyś się spóźnił...*

*Mogłeś ją stracić.*

Thorne w zamyśleniu przesunął kciukiem po dolnej wardze. Zabawne, jak szybko zmieniły się zasady gry, jak ona je zmieniała. Stracić ją to jak utracić część siebie. Nie miał pojęcia, że ją zgubił, dopóki nie odnalazł jej w oczach dziewczyny.

Blask księżyca wsączał się przez okno, malując twarz Leah srebrzystym światłem. I teraz, zaledwie przez ułamek sekundy, dopóki chmury na powrót nie zasnuły nieba, kobieta wyglądała niemal jak bogini. Była nią

poniekąd, jednakże utknęła w połowie drogi do tej boskości. Zawzięcie ignorowała znaki, biorąc za szaleństwo to, co stanowiło jej dziedzictwo.

– Masz to pod skórą – powiedział Nathaniel. – I pokażę ci to, nawet jeśli będę musiał z ciebie tę skórę zdrzeć.



Mimo mojej niezbyt zażyłej relacji z alkoholem parę razy w życiu zdarzyło mi się obudzić na kacu. Kojarzycie ten ból głowy? No właśnie. Z dokładnie takim wstałam z łóżka. I jeśli telefon nie kłamał, przespałam ponad dobę. – Chryste – stęknęłam i powlokłam się do łazienki.

Każdy, kto próbował się do mnie dodzwonić, musiał chyba uważać, że umarłam. A ja, prawdę powiedziawszy, trochę tak się czułam. Ciało miałam całe odrętwiałe, mózg z kolei działał, jakby ktoś napchał go watą.

*Masz to pod skórą.*

Rozejrzałam się jak stuprocentowa paranoiczka, ale nikogo tu nie było, nikogo poza mną. Może to i lepiej? Ludziom, którzy się tak zachowują, zabiera się broń. Na zawsze. – Nate? – zaryzykowałam.

Odpowiedziała mi cisza.

I co w tym takiego dziwnego? Przecież cała ta poroniona historia tylko mi się śniła. Nie pierwszy i nie ostatni koszmar w moim życiu. Ten po prostu okazał się wyjątkowo realny.

*Piękna myśl, naprawdę. Niestety nieprawdziwa. Wiesz dlaczego? Z*

*powodu tylu połączeń, że prawie zapchał ci się telefon. Z powodu*

*prześlągniętych krwią spodni, które wciąż na sobie masz, a mimo to nie kulejesz, idąc.*

Moja dłoń odruchowo podjechała do naszyjnika. Jeżeli to nie sen, nie powinnam go znaleźć, jednak był tam. Zacisnęłam palce na kształcie, którego nie pomyliłabym z niczym. A mimo to niepokój nie znikał, wręcz powoli we mnie narastał.

*Zerknij w dół. No dalej.*

Nie miałam na to ochoty. Najmniejszej. Ale ponieważ byłam gliną i zawsze starałam się dociec prawdy, choćby nie wiem jak szalona czy przerażająca się wydawała, wreszcie to zrobiłam. I chyba gdzieś w głębi siebie wiedziałam, co zobaczę.

– Nie – jęknęłam. – Nie.

Całą nogawkę dżinsów pokrywała zaschnięta krew. W dwóch miejscach materiał był przedziurawiony nożem Reynoldsa. To nie były draśnięcia, nie powinnam móc chodzić. Nie powinnam żyć.

*Masz to pod skórą, Leah.*

*Miałaś to pod skórą cały czas.*

Pchnęłam drzwi łazienki i weszłam do środka. Przejrzałam się w lustrze nad umywalką. Raz, drugi, dziesiąty. Wciąż widziałam to samo.

– Niemożliwe – powiedziałam zdławionym głosem. – Po prostu, kurwa, nie.

A jednak to okazało się możliwe.

Miałam wrażenie, że ktoś posadził mnie na karuzeli, a potem zakręcił

nią ze wszystkich sił. Byłam o krok od puszczenia pawia. Ściągnęłam spodnie i zajęłam się oględzinami nogi. Rezultat był dokładnie taki, jakiego się spodziewałam. Najpierw policzek, teraz udo. Ślady po ranach, które zadał mi Reynolds, zniknęły. Nie, mała poprawka. Prawie zniknęły.

*Nie możesz umrzeć. Ta część, która jest twoim ojcem, nie pozwoli ci na to.*

Zawahałam się na moment, a potem zdjęłam wisiołek. Gdy to zrobiłam, blad różowe kreski po ostrzu zbladły do reszty na moich oczach. To się nie mogło dzieć, nie miało prawa, a mimo to właśnie się dzieło.

Chwyciłam się umywalki i przysiadłam na zamkniętej klapie sedesu, inaczej nogi ugięłyby się pode mną. Nawet teraz czułam, jak drżą. Co miałam zrobić? Co powiem, kiedy...

Rozległo się walenie do drzwi wejściowych. Najchętniej bym je zignorowała, ale odroczyłabym o parę minut coś nieuniknionego. Jeśli nie otworzę, wyważą drzwi. Bo to musieli być gliniarze. Pewnie zdążyli już znaleźć zwłoki Reynoldsa i teraz zastanawiali się, dlaczego typ zastrzelił

się, kurwa, z mojej broni, a ja nie odbieram cholernego telefonu.

Głupia sprawa, wiecie, ale poznałam faceta, który robi zabawne sztuczki i okazało się, że ja też potrafię. Pokazać wam? Nie ma sprawy, tylko dajcie mi nóż.

To im miałam powiedzieć?

– Idę! – zawołałam.

Ściągnęłam szlafrok z wieszaka, owinęłam się nim szczelnie i pomaszero wałam stawić czoła rzeczywistości, w której nic już nie było prawdziwe. Chciałam się cofnąć do chwili, w której wydawało mi się, że coś jest nie w porządku, kiedy to Pete pokazał mi zdjęcia Thorne'a z przełomu stuleci. W porównaniu z tym, co rozgrywało się teraz, tanto zdarzenie wydawało się przedszkolną zabawą.

Oczywiście istniała jeszcze alternatywna hipoteza. Jeżeli to, co się dzieło, nie dzieło się naprawdę, to znaczy, że odpiardoliło mi już do reszty i to ja zaszlachtowałam Reynoldsa, a potem opowiedziałam sobie tę bajeczkę o nadludzkich zdolnościach Thorne'a i ranach, które same się goją.

Szczerze? Nie wiem, która opcja była gorsza.

Zrobiłam głęboki wdech, a potem otworzyłam drzwi i stanęłam twarzą w twarz z Andrem Stewartem.

– Jezu Chryste, Winters, co się z tobą dzieje? – powitał mnie. –

Wyglądasz jak narkomanka.

– Dzięki, komendancie. Może herbatki?

Posłał mi mordercze spojrzenie.

– Nie odbierasz telefonu. Od kilku dni.

– Mam urlop – przypomniałam. – Korzystam.

Rozejrzał się, sprawdzając, czy nikogo nie ma w zasięgu słuchu.

Byliśmy sami, ale i tak ściszył głos.

– Reynolds nie żyje.

Nie wiedziałam, jak to rozegrać, żeby nie narobić jeszcze większych szkód, więc milczałam, a on wziął to milczenie za szok. Bardzo dobrze się stało, zważywszy na to, co powiedział w następnej kolejności.

– Znaleźli go w rzece.

W rze... Zaraz, co?

Pokazałam Stewartowi, żeby wszedł do środka. Trzasnęłam drzwiami i oparłam się o nie.

– Słucham? – Nie było trudno udawać zaskoczenie, nie miałam pojęcia, o czym facet, kurwa, mówi.

– W rzece – powtórzył. – Znaleźli go w rzece.

Nie musiałam pytać, w której. Była tu tylko jedna. Passaic River.

– Jak to się stało?

– Nawiał z więzienia. Znowu. I nie, nie będę się wdawał w szczegóły.

Wystarczy już, że prasa nas za to zje. – Uniósł dłoń, jakby chciał mnie uciszyć, mimo że się nie odezwałam. – Jego kumpel z celi zeznał, że Reynolds wybiera się do Tucson, ale nie wzięliśmy tego na serio. Typ słynie ze składania fałszywych zeznań, no a Reynolds nie jest, znaczy, nie był debilem. Szukaliśmy więc wszędzie. Obstawiliśmy nawet twoje mieszkanie, ale Reynolds się nie pokazał.

Przywarłam do drzwi jeszcze silniej. Jak to „się nie pokazał”? Kogo oni, na litość boską, posłali na ten patrol?

– Dziwne – tyle z siebie wydusiłam.

Stewart skinął głową. Zaczynał wyglądać, jakby na coś chorował.

– Też tak sądzę. Ale dalej jest w zasadzie tylko gorzej.

Trudno było mi sobie wyobrazić, co może być gorszego od martwego Reynoldsa znalezionego w rzece, podczas gdy tak naprawdę zastrzelił się w moim garażu, ale wtedy Stewart powiedział: – Doszli do tego, że to on, po zębach. Coś wygryzło mu twarz. Patolog mówi, że ryby, ale... Niech będzie, że to ryby.

– Ale co?

Rzucił mi przeciągłe spojrzenie.

– Zajebicie długie zęby miały te ryby – powiedział.

– Piranie? Przecież tu nie ma piranii.

– Myślisz, że tego nie wiem?

*Thorne nie jest tym, kim się wydaje. To wcielone zło.*

*A ty... jesteś taka sama.*

Ciaśniej otuliłam się szlafrokiem. Nagle zrobiło mi się strasznie zimno.

Zawroty głowy wróciły, ale teraz nie miały nic wspólnego z obrażeniami, które zdążyły się zagoić same z siebie.

– Winters, wszystko z tobą w porządku? – zainteresował się komendant.

– Tak – skłamałam. – W najlepszym.

Postąpił krok w głąb korytarza i rozejrzał się po mieszkaniu. Tylko nie idź do łazienki, pomyślałam. Po prostu tam nie idź.

– Gdyby Reynolds cię dopadł, burmistrz chyba urwałby mi głowę.

Chociaż teraz widzę, że sukinsyn mógłby się zgubić w tych pudłach po pizzy. Jadasz w ogóle coś innego?

Burmistrz, no oczywiście. To tłumaczyło, dlaczego Stewart zjawił się tu osobiście. A na dole pewnie czekał radiowóz. Tak na wszelki wypadek.

– Wszystko, o ile podają to na pizzy.

Przewrócił oczami.

– Spróbuj czegoś z warzywami. Podobno poprawiają człowiekowi nastrój.

– Ależ ja mam świetny nastrój.  
– Jakoś się to na tobie nie odbija. Widziałaś się w lustrze?  
Problem polegał na tym, że owszem.  
– Kwestia oświecenia, a światło w mieszkaniu jest raczej kiepskie. –  
Zdmuchnęłam łaskoczący mnie w czoło kosmyk włosów. – A wracając do Reynoldsa... mam złożyć zeznania?  
– Nie widzę takiej potrzeby. Kevin Reynolds utonął wskutek nieszczęśliwego wypadku. Nikt nie będzie po nim płakał, a z pewnością nie ty.  
– Nie miał innych obrażeń? – spytałam z pozorną obojętnością.  
– Skąd taki pomysł, Winters?  
Wzruszyłam ramionami.  
– Zastanawiam się, czy to na pewno był wypadek. Co, jeśli Reynolds miał współnika? Uciekali razem lub może ten ktoś koordynował wszystko z zewnątrz, ale coś poszło nie tak i tamten go stuknął? – Piękna bajeczka.  
Gdybym się postarała, może sama mogłabym w nią uwierzyć.  
– Patolog znalazł wodę w płucach, wszystko się zgadza – odparł komendant, zaglądając do salonu. – Klasyczne utonięcie. Ustaliliśmy, że się poślizgnął, uderzył głową w kamień i wpadł do rzeki. Nie znaleźliśmy śladów obecności osób trzecich. Na ciele również nic nie ma.  
– Co on w ogóle tam robił?  
– Staramy się tego dowiedzieć. Ale obstawiam, że chciał w ten sposób prysnąć, popłynąć w górę Passaic River.  
– Była jakaś łódź? Ponton? Cokolwiek?  
Zaprzeczył.  
– Mogła się zerwać. Albo jego współnik nawalił, o ile rzeczywiście jakiegoś miał.  
– Powinien przyjść do mnie. – Śmiały ruch, ale chciałam mieć pewność, że Stewart nie snuje żadnej teorii na boku. Nie potrzebowałam ogona, który z pewnością by za mną wysłał. – Wsadziłam go do paki dwa razy.  
– A on dwa razy uciekł. Trzeciego nie będzie. Sprawa zamknięta.  
– Nie uważa pan tak.  
– Uważam. Tylko te ryby...  
Z sypialni doleciał terkot mojej komórki. Oboje spojrzeliśmy w tamtym kierunku. Wprawdzie nie pamiętałam, żebym przełączyła wibracje na dźwięk, ale ostatnimi czasy niespecjalnie mogłam ufać własnej pamięci.  
– Odbierzesz? – zainteresował się Stewart.  
– Oddzwonię. Sądziłam, że jednak skusi się pan na tę herbatkę.  
– Innym razem.  
Ruszył do wyjścia. Położył dłoń na klamce i spojrzał na mnie, jak gdyby nagle o czymś sobie przypomniał.  
– Jak ci idzie z Thorne'em? Masz już coś?  
Więcej, niżbym chciała. Szkoda tylko, że raczej z nikim nie będę się mogła tym podzielić.  
– Wciąż nad tym pracuję – odparłam wymijająco. – Facet jest bardzo ostrożny.  
– I tobie też to radzę.



Zamknęłam za komendantem drzwi i oparłam się o nie czołem. Telefon znów dzwonił, ale nie ruszałam się z miejsca. Przed oczami miałam Reynoldsa z dziurą po kuli zionącą w czaszce. Reynoldsa, który rzekomo się utopił.

*Tak sobie myślę i ty pewnie też... Skoro twój nowy przyjaciel potrafi nakłonić kogoś, żeby się zabił, to jak sądzisz, co jeszcze potrafi zrobić?*

To proste. Wszystko.

## 9



Nathaniel wyszedł z za rogu i spostrzegł Millera bezowocnie mocującego się z klamką jego gabinetu. Czyżby zapomniał, że te drzwi otwierały się tylko wtedy, gdy on, Thorne, sobie tego życzył?

– Pomóc ci w czymś? – odezwał się, podchodząc.

Miller odskoczył w tył. Był to modnie ubrany mężczyzna w średnim wieku o oliwkowej cerze i ciemnych oczach, które kazały myśleć, że miał włoskie korzenie. Miał, w całej jednej szesnastej. Teraz spojrzał na Nathaniela z mieszaniną gniewu oraz lęku, chociaż gniew jednak przeważał.

– Możemy tam wejść? – Palcem dźgnął skrzydło. – Nie chcę gadać tutaj.

Thorne wyminął go i nacisnął klamkę. Zamek nie stawiał oporu, mimo że chwilę wcześniej Miller siłował się z nim i zdążył się przekonać, że jest zamknięte. Teraz przyglądał się z rozdziawionymi ustami, jak drzwi otwierają się lekko.

– Zapraszam. – Nathaniel wskazał wewnątrz swojego gabinetu. –

Przecież chciałeś porozmawiać.

Miller wszedł do środka ostrożnie, zupełnie jakby się obawiał, że coś go zaatakuje. Namacał włącznik i kiedy światła załąły pokój, wyraźnie się rozluźnił. Przynajmniej z pozoru.

– Czy to prawda? – zapytał, celując w Thorne'a palcem. – Że ta nowa hostessa jest gliną?

Nathaniel skinął głową.

– To dla ciebie problem, Liam?

Miller cały poczerwieniał.

– Pytasz mnie, kurwa, czy to problem? Faceci z zachodniego wybrzeża, mówi ci to coś? Miałeś zadbać o to, żeby wszystko przebiegło gładko. Czy to według ciebie jest gładkie załatwianie sprawy? Trzymanie tu gliny?

Thorne lekko zgiął palce i Miller plasnął pośladekmi o blat biurka, wydając z siebie ciche „ooch”.

– Już rozumiem, dlaczego wolisz posyłać mi listy. – Obnażył zęby. –

Kiedy rozmawiamy, zbyt łatwo się zapominasz.

Liam Miller nerwowo przełknął ślinę. Tutaj nie był już władcą wielkiego imperium, z czego doskonale zdawał sobie sprawę.

– Ale o co ci chodzi? Przecież jesteśmy współnikami, no nie?

– Dlaczego więc zwracasz się do mnie, jakbym był twoim podwładnym?

– To duża sprawa, mówiłem ci. – Mężczyzna wygładził krawat. – Masz pojęcie, ile od tego zależy? A ty mi wyjeżdżasz z jakąś suką z wydziału zabójstw. Kurwa, współniku.

Nathaniel go nie słuchał. Odwrócił się, zaplatając ręce za plecami.

Obserwował Millera w odbiciu szyby – karykaturę kogoś, kto uważał siebie za potęgę.

– Przepróż.

– Co? – Miller się skrzywił.

– Przecież słyszałeś.

– Ty chyba nie...

Thorne okręcił się na pięcie i zmierzył go surowym spojrzeniem. Jego ciemne tęczówki rozbłysły złowrogą czerwienią.

– Powiedziałem, żebyś przeprosił.

Mężczyzna przez chwilę tylko łapał powietrze. Jego usta otwierały się i zamykały. Wyglądał zupełnie jak Reynolds na moment przed tym, jak zginął.

– Przepraszam. – To słowo ledwie przeszło mu przez gardło.

– Z uczuciem, Liam. Inaczej każę ci przede mną klęknąć i oddać pokłon.

Ta wizja wywołała w Millerze niemal odrazę. A jednak zrobiłby to, gdyby musiał. Zrobiłby wszystko.

– Przepraszam cię, współniku. – Uderzył się w pierś. – Ogromnie cię, kurwa, przepraszam. Nie chciałem cię urazić. Źle się wyraziłem, to wszystko.

– Jak zatem chciałeś się wyrazić?

– Dlaczego mi o niej nie powiedziałeś wcześniej? Chciałbym wiedzieć tylko tyle.

Thorne wolnym krokiem obszedł biurko, o które mężczyzna się opierał.

Ten łypał na niego niepewnie, jego czoło zrosiły kropelki potu.

– Nie ufasz mi, Liam?

– Co? Nie, to nie tak.

– Dlaczego więc się boisz?

Miller zaśmiał się piskliwie.

– Ja? W życiu. Chodzi o interesy, współniku. Wyłącznie. Duże interesy.

Ale nie muszę ci tego tłumaczyć, co nie? Nie, pewnie, że nie muszę.

Thorne nachylił się nad nim. Czuł jego strach, czuł go bardzo wyraźnie.

– Wątpisz w mój osąd sytuacji?

– Nie, gdzie tam. Ale ta policjantka... – Zmarszczył nos. – Ona może wszystko zepsuć. Dlaczego pozwalasz jej się tu szwendać?

Nathaniel dotknął jego krawata i pozostawił na nim ciemną smugę. W powietrzu rozszedł się zapach spalenizny.

– Widocznie mam swoje powody.

Miller opuścił wzrok i ocenił zniszczenia, jakie wyrządził palec Thorne'a.

– Gównno, nie powody – burknął.

– Mówiłeś coś, Liam?

– Nie, ja... nic.

– Zdaje mi się, że jednak coś mówiłeś.

Mężczyzna był nie tyle błady, co wręcz przezroczysty.

– Głośno myślałem. O tej policjantce.

– Czyżby?

– Sprawdziłem ją. – Miller oblizał usta. – Winters. Tak jak burmistrz Winters. Zbieżność nazwisk nie jest przypadkowa. Dalej ci się nie wydaje, że to problem?

– Twoje interesy są bezpieczne... wspólniku. – Ostatnie słowo wymówione z osobliwym akcentem zabrzmiało dziwnie złowrogo. –

Gdybym był tobą, martwiłbym się o coś zupełnie innego.

Palce Millera, które do tej pory miętoszyły końcówkę krawata, znieruchomiały. Mężczyzna uniósł wzrok i popatrzył na Nathaniela.

Grozisz mi? W moim własnym, kurwa, hotelu?

– Ludzka pamięć jest zawodna. Jest również wybiórcza.

– No i?

– Przypomnij sobie, gdzie byłeś, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy.

– Thorne rozłożył ręce. – Sądziś, że miałbyś to wszystko beze mnie?

– I co? Teraz chcesz mi to odebrać? Nie jesteś stratny, dobrze wiesz, że nie jesteś w niczym stratny! – Miller uderzył pięścią w blat. – Niech cię szl...

Nathaniel uniósł palec i mężczyzna potulnie zamilkł.

– Uważaj na słowa, Liam.

Miller świdrował go spojrzeniem. Czuł strach, czuł go cały czas, jednak gniew ponownie wysunął się na pierwsze miejsce. I właśnie z jego powodu próbował teraz stanąć do nierównej walki. Taki właśnie był – zuchwały, pełen pychy, niezdolny, by racjonalnie ocenić własne możliwości. Gorsza od jego miłości do kiepskich dywanów była chyba tylko właśnie ta niczym nieuzasadniona zuchwałość, piękna w swej niszczącej go sile. Miała go zgubić już całkiem niedługo.

– Ta policjantka. – Liam zsunął tyłek z biurka i stanął naprzeciwko Thorne'a. Może efekt byłby lepszy, gdyby nie to, że rozmówca przewyższał

Millera o głowę. – Zajmij się nią albo ja to zrobię.

– Mam ciekawszy pomysł.

Miller zmrużył oczy.

– Zamieniam się, kurwa, w słuch.

– Goście z zachodniego wybrzeża są dla ciebie szalenie ważni, czy nie tak, Liam?

Dlaczego więc nie miałbyś dostarczyć im rozrywki?

Na twarzy mężczyzny odbiły się wzmożone procesy myślowe. Wreszcie pojął, co Thorne próbuje mu przekazać, i cały się rozpromienił.

– Ej, to dobre! Dobre to jest, podoba mi się!

– Wymowny symbol potęgi, nie uważasz? Pomyśl, jaki szacunek zyskasz w ich oczach. Dasz im dowód, że twoje słowa nie są puste, poprzecz je czynami. – Nathaniel z rozmysłem kreślił przed nim tę wizję. –

Do Czerwonego Barona może wejść niemal każdy, lecz wyjdzie już tylko ten, komu ty na to pozwolisz, Liam. Królestwo w królestwie. Miejsce poza jakąkolwiek jurysdykcją.

Mężczyzna pstryknął palcami, po czym wymierzył je w Nathaniela.

– To jest, kurwa, to! Pomyśl, że jesteśmy jak ten, no... To miasto, gdzie trzymają papieża.

Thorne skrzywił się nieznacznie.

– Tak, Liam – zgodził się. – Powiedzmy.

– Wspólniku, to nie można było tak od razu? – Miller chciał klepnąć go w plecy, ale widząc minę Nathaniela, zmienił zamiar. – Trzeba było mówić, co ci chodzi po głowie. Wiesz, że na takie numery zawsze jestem chętny.

- Nie chciałem psuć niespodzianki.
  - Chuj tam z niespodzianką. Może się napijemy? Szampan? Whisky? Powiedz tylko, na co masz ochotę.
  - W tym momencie na nic.
  - Nie wygłupiaj się, taki plan trzeba opić.
  - Innym razem. – Thorne skierował dłoń na drzwi. – Pamiętasz, jak się z nich korzysta, czy mam ci pokazać?
- Entuzjazm momentalnie opuścił Millera.
- Miło się gadało. Jak zawsze – rzucił i ruszył w kierunku wyjścia. Nathaniel skrzyżował ręce na piersi i obserwował mężczyznę. Słyszał jego kroki jeszcze długo po tym, jak ten opuścił gabinet.



Podobno podczas snu mózg układa sobie różne sprawy, uczy się, jak radzić sobie z tym, co go spotkało. Te klimaty. Cóż, mój tego nie zrobił.

Przespałam noc i następnego dnia byłam tak samo skołowana jak poprzedniego. Masa pytań wciąż pozostawała bez odpowiedzi. Właściwie to miałam wrażenie, że jest ich coraz więcej. Jedynym sensownym posunięciem wydawało się pójście do źródła, czyli do Thorne'a. Nie wiedziałam tylko, czy mam brać ze sobą broń, czy może lepiej krucyfiks.

Pewnie najlepiej jedno i drugie.

Z kubkiem czarnej kawy rozsiadłam się przed laptopem i przystąpiłam do ustalania faktów. Na początek zabrałam się do czegoś prostego, o ile zagadka śmierci Reynoldsa w ogóle mogła taka być. Poszperałam w Internecie – wszystko zgadzało się z tym, co poprzedniego dnia powiedział

mi Stewart. Ucieczka z więzienia, utonięcie. Bum. Natrafiłam nawet na oświadczenie burmistrza, który wyraził ubolewanie, że groźny przestępca zbiegł z aresztu, zapewnił jednak, że przedsięwzięto już kroki, które mają zapobiec podobnym incydentom. Osobiście o to zadbam, tak powiedział. I nie zająknął się słowem, że Reynolds nawiał już drugi raz. No tak, zbliżał

się koniec kadencji.

Zastanowiłam się, czy nie podjechać na komisariat, ale z miejsca odrzuciłam ten pomysł. Jeżeli chciałam się czegokolwiek dowiedzieć, to na pewno nie tam. Zamiast tego skontaktowałam się z zarządcą mojego budynku i przekonałam go, żeby pokazał mi zapis z monitoringu.

Powiedziałam, że chodzi o porysowany błotnik, co brzmiało zdecydowanie bezpieczniej niż: „Chcę sprawdzić, czy zbiegły zabójca palnął sobie w łeb w podziemnym garażu, ponieważ mimo tego, co widziałam, z oficjalnych źródeł wynika, że się utopił”. Facet coś tam bąkał, ale kiedy postraszyłam go odpowiednimi paragrafami, stwierdził, że w zasadzie to nie widzi przeszkód i mogę przeglądać, co tylko sobie chcę. No więc zjechałam na sam dół i przejrzałam nagrania. I głównie znalazłam. Kamera zarejestrowała tylko, jak parkuję na miejscu D18, a potem idę w stronę klatki schodowej.

Ani śladu Reynoldsa. Ani śladu Thorne'a.

– Proszę mi pokazać zapis z zewnątrz.

– Po co? – zdziwił się facet.

– Proszę to zrobić.

– Na wypadek, gdyby nie zauważyła pani, że ktoś kasuje pani furę, kiedy siedzi pani za kierownicą?

– Człowieku, pokaż mi to cholerne nagranie.

Zerknął na odznakę w mojej dłoni, a potem pokazał zapis z drugiej kamery. Rezultat był dokładnie taki, jak się spodziewałam. Żaden. Nagranie nie zarejestrowało nikogo, kto choćby w przybliżeniu przypominał

Reynoldsa czy Nathaniela. Zupełnie jakby nigdy ich tu nie było.

– Jakim, kurwa, cudem? – wyrzuciłam z siebie.

Ale czy naprawdę nie wiedziałam?

– Coś nie w porządku? – zainteresował się zarządca. Patrzył na mnie nieufnie, a fakt, że przyszłam do niego w szlafroku, też raczej nie pomagał.

– Nie, nic. Byłam pewna, że się nagrało.

– Może ten ktoś porysował pani błotnik gdzie indziej? – zasugerował.

– Pewnie tak – odparłam i wróciłam do siebie.

Im dłużej nad tym wszystkim myślałam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że najlepsze i chyba jedyne, co mogę teraz zrobić, to aresztować Nathaniela Thorne'a pod byle pretekstem. Mogłabym podrzucić mu prochy, nie byłby to wielki problem. Niechętnie musiałam przyznać, że nic innego nie miałam. Kręciłam się po tym pierdolonym kasynie już blisko dwa miesiące, a wszystko, co dostałam, to zaostrzająca się psychoza.

Kiepski wynik jak na kogoś, kto chciał ocalić posadę detektywa. Pora więc przeprosić się z nieczystymi zagraniami i gościa wrobić.

– Ciekawe, czy za kratami dalej byłbyś taki cwany – mruknęłam.

Obawiałam się jednak, że odpowiedź brzmiałaby „tak”.

Mimo wszystko taka prowokacja mogłaby się okazać strzałem w dziesiątkę. W areszcie bylibyśmy nie tylko ja i on, ale i cała masa ludzi.

Jeśli Thorne odstawiłby jedną z tych swoich paranormalnych sztuczek, miałby sporą publiczność. Cokolwiek by zrobił, wszyscy by to zobaczyli.

Swojej głowie mogłam nie ufać, ale zeznaniom piętnastu czy dwudziestu innych świadków? No właśnie.

Naturalnie Thorne mógłby nic nie zrobić. A jeśli dysponował najlepszymi prawnikami w mieście – oczywiście, że dysponował – wyszedłby z aresztu, zanim w ogóle zdążyłby się czekać. Przy okazji mógłby pomóc mi się pożegnać z posadą gliny w ogóle, ale chwilowo miałam to gdzieś. Istniała natomiast jeszcze jedna, nawet poważniejsza obawa. Co, jeśli facet jednak odstawiłby jakiś numer i zobaczyłabym go tylko ja?

Ka an bezpieczeństwa już czekał.

Dopiłam chłodną kawę i zmieniłam kierunek poszukiwań. Niczym Charles Dexter Ward[5] dwudziestego pierwszego wieku zajęłam się wertowaniem okultystycznych tekstów. Jeżeli odrzucimy wszystko, co nieprawdopodobne i takie tam... Poruszałam się na ślepo, w oparciu o przecucie. Nie, nawet nie tyle. To była namiastka przecucia. Nie miałam pojęcia, czego właściwie szukałam, chciałam chyba przekonać samą siebie, że nie zwariowałam.

– Demonologia na przestrzeni wieków – odczytałam tytuł i kliknęłam w książkę. Żeby ją przejrzeć, musiałam uiścić opłatę w wysokości dwunastu dolarów. Niestety tylko zmarnowałam forszę.

Mimo to szukałam dalej. Gorzej już przecież być nie mogło. Naszyjnik nie z tego świata, rany, które goją się same, Thorne pojawiający się na fotografiach sprzed dwustu

lat. Co jeszcze mogło mnie zaskoczyć?

*Nic, przecież wszystko już wiesz.*

*Odpowiedź jest w tobie.*

Zorientowałam się, że zawzięcie bębnię palcami o krawędź biurka.

Kiedy zdałam sobie sprawę, że melodią, którą wystukuję, jest *I've Got You*

*Under My Skin*, natychmiast przestałam.

– Zrób sobie przerwę, Winters – powiedziałam i podniosłam się z krzesła. – Demony mogą poczekać.

Kąpiel wydawała się niezłym pomysłem. Powąchałam własną pachę i uznałam, że pomysł jest nie tyle niezły, ile wręcz stanowi konieczność.

Wyszłam z wanny jakieś dwadzieścia minut później, odświeżona i niemal narodzona na nowo. Tylko głowę wciąż miałam ciężką od myśli.

Zastanawiałam się na przykład, czy nie zdjąć wisiorka z szyi, a potem nie przejechać sobie po nadgarstku żyłką i się nie przekonać, czy rana zagoi się na moich oczach. Ostatecznie jednak się na to nie zdecydowałam.

Przetarłam ręką zaparowane lustro i przyjrzałam się swojemu odbiciu.

Wszystko było dobrze do momentu, kiedy odbicie do mnie mrugnęło.

Odskoczyłam w tył, ale zaraz załapałam, że to tylko przywidzenie.

Dostawałam świra nie tylko od tego, że prawdopodobnie i tak go miałam, lecz także od czytania tych bzdur o duchach, dżinach i diabłach. Nie dość, że co drugi bandyta to czub, to teraz pojawiły się poważne szanse, że stanę się największym z nich wszystkich.

– A może to sporysz? – zastanowiłam się na głos.

Przyjemnie by było, gdyby się okazało, że to wszystko to tylko mój odlot, nie powiem. W gruncie rzeczy to nawet zabawne. W jednej chwili martwię się tylko o to, żeby Reynolds nie prysnął z pudła, a w następnej Reynolds nie żyje, a ja modłę się o sporysz. Chryste, co za świat.

*Masz to pod skórą.*

Odbicie znów puściło do mnie oko, a kiedy sekundę później rozdzwoniła się moja komórka, omal nie przebiłam głową sufitu.

Namacalam telefon, o mały włos nie strącając go przy tym z pralki, i odebrałam.

– Halo?

– Chryste, Leah, wreszcie! – powitał mnie Peter. – Dodzwonić się do ciebie to jebany cud.

– Byłam ostatnio... zajęta. – Łypnęłam na lustro, ale moje odbicie zachowywało się najzupełniej normalnie. Tak, zdaję sobie sprawę, jak to brzmi.

– Tym dziwnym gościem?

– Między innymi.

– Myślałem, że Reynolds cię załatwił. Albo coś. Wiesz, że nawiał, nie?

– Tak, ale po drodze potknął się i utopił.

– Miał skurwiel pecha. – Dopiero teraz usłyszałam, że Peter głos ma jakiś nieszczerólny. – Powiedz, Leah, siedzisz?

– Nie, czemu?

– To usiądź.

Zaraz mi powie, że Reynolds zmartwychwstał, pomyślałam głupio.

– Do rzeczy, Pete.



– Siedzisz?  
– Tak – skłamałam. – Mów wreszcie.  
– Wiem, kto zabił twoją matkę.  
– Co takiego? – stęknęłam. I zgodnie z wcześniejszym zapewnieniem usiadłam.  
– Może spotkamy się pod 7-Eleven jak ostatnio?  
Nie miałam na to czasu.  
– Mów, Peter. – Przesłoniłam oczy ręką. – Proszę cię, powiedz.  
Spełnił moją prośbę.  
A ja zaczęłam się śmiać.  
– Ty jesteś poważny? – zapytałam. – Skąd wzięłeś taką pierdołę?  
– Leah... To jest na serio.  
– W takim razie musiałam się poślizgnąć, uderzyć głową o kant wanny i teraz leżę nieprzytomna.  
– Co proszę?  
– To, co mówisz, jest niedorzeczne, Pete – wyjaśniłam z uderzającym spokojem.  
– Wiem, jak to brzmi. Widzisz, dlatego chciałem się z tobą spotkać.  
– Wtedy też bym ci nie uwierzyła.  
W tle rozległo się stukanie klawiatury.  
– Sprawdź maila i do mnie oddzwon – powiedział Peter. – Jeżeli dalej będziesz uważała, że to moje wymysły, zjem własną czapkę.  
Rozłączyłam się i weszłam na pocztę. Mail nie miał treści, jedynie parę załączników. Sprawdziłam je po kolei, mając wrażenie, że stoję gdzieś z boku i obserwuję samą siebie jak na filmie. Wiedziałam, na co patrzę, a zarazem nie mogłam tego pojąć. Miałam przed sobą kopię zeznania faceta  
nazwiskiem Hurt, które nigdy nie weszło do akt, patrzyłam na wyciąg z konta, które po ogromnym zastrzyku środków przestało być zadłużone.  
Ostatni załącznik stanowił skan pojedynczej strony z akt sprawy, którą zajmowała się moja matka. Jak? Z jakiego powodu wszystkim nam to umknęło?  
Drżącą ręką wybrałam numer Petera ze spisu połączeń. Odebrał po pierwszym sygnale.  
– Nadal mi nie wierzysz?  
– Zadam ci nietypowe pytanie – powiedziałam głosem, który należał do kogoś innego. – Skąd pomysł, żeby sprawdzać akurat te rzeczy?  
– Przyjaciel mi to zasugerował.  
– Jaki przyjaciel?  
– Facet z dziwnym akcentem. Nie przedstawił się, więc mówię na niego Hank. Thorne.  
Wypuściłam telefon z ręki.  
Następne, co pamiętam, to szaleńczy bieg do samochodu.



Nathaniel siedział na końcu długiego stołu, bębniąc palcami w blat.

Zebrani w sali konferencyjnej ludzie słuchali tego, co Miller miał do powiedzenia, z różnym stopniem zaangażowania. Thorne przeciwnie.

Właściwie zaczynał się nudzić.

– Chłopie, możesz przestać? – zwrócił się do niego mężczyzna, który zajmował fotel po jego lewej.

Thorne obnażył zęby w uśmiechu. Palce na moment zawisły w bezruchu, po czym uderzyły w drewno w poprzednim rytmie.

– Nie – powiedział. – Nie mógłbym.

Facet wyglądał, jakby chciał dodać coś jeszcze, ale ostatecznie zmienił zamiar. Odwrócił się do Nathaniela bokiem i starał się go ignorować. To, jak rytmicznie zaciskał szczęki, świadczyło o tym, że jednak nie idzie mu najlepiej. Jego sąsiad z kolei był uderzająco spokojny, całą jego uwagę zajmowało liczenie luksferów, z których zbudowana została wschodnia ściana.

– ...dlatego Czerwony Baron jest miejscem idealnym – tłumaczył

Miller z przejściem. Jego burgundowy krawat pięknie kontrastował z ciemnozieloną ścianą za plecami. – Ale o tym najlepiej przekonajcie się sami.

– Magika nam zamówiłeś, Liam? – odezwał się siwowłosy człowiek z krzaczastymi brwiami. Pisano, tak miał na nazwisko. Jego kompani zaczęli głośno rechotać.

Miller poczerwieniał. Dyskretnym ruchem wyciągnął telefon z kieszeni, sprawdził coś i zaraz jego twarz się rozpozodziła.

– Mam coś lepszego – odparł i wskazał podwójne drzwi.

Zebrani w sali odwrócili głowy. Nathaniel również spojrział w tamtym kierunku. I wtedy drzwi się otworzyły.

Leah nie tyle przez nie weszła, co została wrzucona. Ochroniarz, który ją eskortował, mocno pchnął ją w plecy i dziewczyna poleciała na podłogę.

Nie zaryła o nią głową tylko dlatego, że w porę wyciągnęła przed siebie ręce. Sama twarz nosiła jednak ślady niedawno stoczonej walki – lewy kącik ust był rozcięty, podobnie skroń. Z obu miejsc sączyła się krew.

A więc uparcie nosiła naszyjnik.

– To nasza dzielna mała policjantka – wyjaśnił Miller, wskazując Leah ręką.

Wśród zebranych przetoczył się pomruk sygnalizujący poruszenie, jeden z mężczyzn sięgnął nawet po broń, ale Miller uspokoił wszystkich gestem.

– Nie, nie, nie. Nie ma powodów do nerwów. Panna Winters jest żywym dowodem na prawdziwość tego, co mówię. – Zaśmiał się. – Żywym na razie.

– Policjantka? – Pisano nie wydawał się przekonany. – I była na tyle głupia, że przyszła tu sama?

Miller skinął głową na ochroniarza. Mężczyzna sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyciągnął stamtąd dwie rzeczy: kajdanki oraz odznakę.

– Detektyw Leah Winters – odczytał, a potem pokazał zebrany.

– Widzicie? Detektyw – powtórzył Liam, unosząc palec. – Jeszcze jakieś pytania?

Leah spróbowała się podnieść i rzucić na niego, ale miała z tym wyraźny problem. Ochroniarz musiał jej zrobić coś jeszcze poza ciosem w twarz.

– Leżeć – powiedział Miller i kopnął ją w brzuch.

Nathaniel wyprostował się w fotelu. Przyglądał się temu z zaciśniętymi ustami. Jego oczy miały w tej chwili barwę lodu, palce zaś wciąż poruszały się po blacie, teraz jednak zostawiały na drewnie czarne smugi.

– Zatańczy dla nas? – zapytał któryś z ludzi Pisano.

Dziewczyna skierowała na niego płonący nienawiścią wzrok, następnie w ten sam sposób popatrzyła na Thorne'a. Doskonale zdawała sobie sprawę z położenia, w jakim się znalazła, a mimo to nie zamierzała prosić o pomoc.

Nie ona. Dlatego była taka wyjątkowa. Przez tę dziką żądzę zemsty, którą od niej wyczuwał, przez wściekłość tłumiącą strach. Ktoś taki jak ona nie będzie błagał, nie ukorzy się, lecz odejdzie na własnych warunkach, zabierając ze sobą tyle dusz, ile zdoła.

– Podoba mi się ten pomysł – podchwycił Miller. Złapał dziewczynę za włosy i pociągnął ku sobie. – Zatańczysz, suko?

– Pierdol się – odpowiedziała.

Miller skinął na ochroniarza, który do tej pory stał przy wejściu ze złożonymi rękoma. Mężczyzna bez słowa podszedł i wymierzył

dziewczynie cios w brzuch. Leah zgięła się wpół. Kiedy zakaszła, wykładzinę zrosiły kropelki krwi.

– Radzę jednak zatańczyć – powtórzył Miller i dał mężczyźnie znak, by postawił policjantkę na nogi.

Ochroniarz szarpnięciem poderwał ją do pionu. Leah zrobiła jeden chwiejny krok przed siebie, a potem błyskawicznie się odwinęła. Kopnęła faceta w krocze, a kiedy się pochylił, chwyciła go za głowę i rozprasowała jego nos na swoim kolanie. Miller, przyglądając się temu, otworzył usta jak do krzyku, ale wtedy jego człowiek odzyskał rezon. Uderzył dziewczynę w twarz, następnie chwycił ją za rękę i wykręcił. Leah wrzasnęła.

– Zerwij naszyjnik – szepnął Thorne.

Usłyszała go mimo to. A jednak tego nie zrobiła.

Ponieważ wciąż nie wierzyła.

– Liam, do czego właściwie zmierza twój spektakl? – odezwał się Pisano.

– Do finału – palnął Miller, po czym zachichotał w ten sam nerwowy sposób co wcześniej. – Panna Winters, która za moment zatańczy, czy tego chce, czy nie, jest wysoko postawioną policjantką, ale koneksje w niczym jej nie pomogą. Czerwony Baron to moje małe Vegas. Co się tu stanie, zostaje właśnie tutaj. Wasze interesy, wy sami... Wszystkiego strzegą mury tego miejsca. Czy wyrażam się dość jasno?

Pisano zastanowił się, po czym pokiwał głową.

– Dość jasno, Liam – potwierdził.

Siedzący obok niego mężczyzna zaczął walić otwartą dłonią w stół.

Pisano zmierzył go karcącym spojrzeniem, ale jego człowiek tego nie widział. Gapił się na Leah.

– Niech wreszcie zatańczy!

– Była nawet ładna, zanim łysy nie zoperował jej twarzy – wtrącił inny mężczyzna.

– Widzisz, ilu masz tu fanów? – zakpił Miller. – No dalej, pokaż nam, co potrafisz.

Chyba że potrzebujesz zachęty od Ricky’ego?

Na dźwięk swojego imienia ochroniarz zrobił krok w kierunku dziewczyny. Z rozbitego nosa ciurkała mu krew, ale nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Wyciągnął broń z kabury i wymierzył w głowę policjantki.

– Tańcz – powiedział, kciukiem przesuwając bezpiecznik.

Leah skierowała na niego spojrzenie. Na jej opuchniętych ustach gościł przerażający grymas.

– Skoro już do mnie mierzysz, będziesz musiał mnie zabić.

– Żaden pro... – Ochroniarz tylko tyle zdążył powiedzieć, zanim jego słowa zmieniły się we wrzask. Dłoń, w której trzymał pistolet, eksplodowała, zmieniając się w krwawy strzęp.

– Co ty odpierdalasz? – jęknął Miller, spoglądając na stojącego po przeciwnej stronie sali Thorne’a.

– Znudziło mnie czekanie – odparł i strzelił mu w głowę.

Reszta zgromadzonych uznała to za sygnał do ataku. Zaczęli sięgać po broń, niestety ich problem polegał na tym, że nie byli wystarczająco szybcy.

Nathaniel oddał dziesięć precyzyjnych strzałów, zabijając każdego po kolei.

Po pomieszczeniu rozeszła się ostra woń kordytu.

– Możesz już wstać – odezwał się.

Leah, która kulila się na podłodze, rękoma osłaniając głowę, powoli opuściła ramiona. Oceniała sytuację, następnie spojrzała prosto na niego. W jej oczach widział kiepsko skrywaną wściekłość.

– Znów ratujesz mi skórę, chociaż to ty wpędzasz mnie w kłopoty –

stwierdziła. Jej dłoń wysunęła się i pochwyciła coś z podłogi. Nathaniel udał, że tego nie dostrzega.

Sala usiana była trupami, rozbryzgi krwi znaczyły ściany, podłogę, długi stół, a do luksferów, które niedawno próbował liczyć jeden z ludzi Pisano, przykleił się fragment mózgu. Martwi gangsterzy zastygli w

najprzeróżniejszych pozach i w tym momencie przypominali postaci z muzeum figur woskowych. Thorne ostentacyjnie rozejrzał się dookoła, po czym rzekł: – Dziesiątkowałbym królestwa, gdyby takie było twoje życzenie.

Gniew nie zniknął z oblicza Leah, jednakże powoli wkradało się tam zgoła odmienne uczucie. A ona walczyła z nim z chwalebą zawziętością.

– Tym razem naprawdę powinnam ci podziękować, Nate... –

powiedziała, podnosząc się na nogi. – Podłożyłeś mi się.

Wyczekał, aż do niego podejdzie.

– Zamierzasz mnie aresztować? – Okręcił glocka, złapał go za lufę i wyciągnął w kierunku dziewczyny. – Nie zapomnij im tylko wyjaśnić, dlaczego strzelałem z twojej broni.

Przyjrzała się pistoletowi w jego dłoni i otworzyła usta.

– Jak ty...

– To taki rodzaj magii, pamiętasz?

Wyrwała Nathanielowi pistolet i uniosła na wysokość jego głowy.

– Nie, koniec tego pieprzenia.

– Boisz się uwierzyć w magię?

– Nie ma żadnej magii, psychiatra dobitnie ci to wytłumaczy.

– A wszystko to, co widziałaś do tej pory? Jak to nazwiesz? Czy też może nie zrobisz tego z obawy, że to zburzy cały twój dotychczasowy świat? – Ściszył głos do konfidenckiego szeptu i dodał: – Powinnaś wiedzieć, że on nigdy nie był prawdziwy, ponieważ nie byłaś w stanie zobaczyć go takim, jakim w istocie jest.

Leah zrobiła jeszcze jeden krok i przytknęła lufę do czoła Thorne'a.

– Została prawie połowa magazynka, a mnie wystarczy jeden nabój, żeby rozwalić ci łeb.

– Strzeliłabyś do mnie? – Uśmiechnął się. – Doprawdy?

– Wolałabym nie, ale jeśli mnie zmusisz, nie będę się specjalnie wzbraniać.

– Skoro tak twierdzisz, moja droga.

Kipiała gniewem, lecz na dnie jej oczu dostrzegła rozpacz.

– Dzwoniłeś do mojego przyjaciela, wcisnąłeś mu bzdury, wszystkim wciskasz bzdury. Może on ci uwierzył, ale ja tego nie kupuję. Nie kupuję niczego, co sygnujesz swoim nazwiskiem, Thorne.

– Ofiarowałem ci prawdę zgodnie z umową. A ty uparcie ją odrzucasz.

– Prawdę? – prychnęła. – Nie sądzę, że w ogóle wiesz, co to słowo znaczy.

– Pytanie brzmi... co znaczy dla ciebie?

Woń kordytu nie słabła, ale coraz silniej przebijał się przez nią metaliczny zapach krwi. Leah stała pośród trupów, tocząc ze sobą zajadłą walkę. Pod krwiakami, które przykrywały jej twarz, była blada.

– On jej nie zabił – powiedziała cicho. – Dlaczego zależy ci, żebym w to uwierzyła?

– Nie musisz wierzyć moim słowom. Jednakże dowody... one nie kłamią.

– Podłożyłeś je!

– I sądzisz, że twój przyjaciel by się nie zorientował?

– On jest przekonany, że żyjesz już dobre dwieście lat. Za bardzo wierzy we własną nieomyślność, żeby zrozumieć, że jesteś po prostu lepszym oszustem.

– A wie, że nie potrzebujesz lekarza, żeby dojść do siebie po śmiertelnym dźgnięciu nożem? – Uśmiech nie schodził z warg Nathaniela.

– Nie pochwaliłaś mu się tym, prawda?

– Przestań!

– Mówić prawdę? Kiedy widzisz... chcę tylko, byś przejrzała na oczy.

Czyż nie to ci obiecałem? Nie powiedziałem, że poznasz wszystkie odpowiedzi? Ja jestem prawdą, Lyth. Twoją prawdą, całą prawdą i tylko prawdą.

– Jesteś diabłem – wyrwało się jej. – I chcesz mnie pociągnąć do piekła.

Nathaniel zaczął się śmiać. Ten osobliwy dźwięk pokrył luksfery siateczką pęknięć. Pomieszczenie za nimi było puste i zdawało się, że cały Czerwony Baron jest taki. Odgłosy strzelaniny nie ściągnęły tu nikogo.

– Chciałem wielu rzeczy, które mogłabyś mi dać samą sobą, przyznaję. Jednakże teraz... chcę tylko ciebie.

– Będziesz mnie miał. Na komisariacie. Pójdiesz po dobroci czy każesz mi użyć siły?

Wyciągnął dłoń i delikatnie pogładził Leah po twarzy. W miejscu, którego dotknął, krwiak wyraźnie zbladł.

– Wszystko się zmieniło. Ty zmieniłaś wszystko. Zmieniłaś mnie.

– Nie, Nate... Proszę.

Patrzył na nią, na twardą policjantkę. Pod pancerzem, który wkładała, żeby stawić czoło wszystkim i wszystkiemu, była zaskakująco krucha.

Przyglądał się istocie w połowie takiej samej jak on. Pragnął jej. Pragnął jej dla siebie. I nie, teraz to nie było już czyste wyrachowanie. Chodziło o znacznie więcej.

– O co mnie prosisz? O to, żebym przestał widzieć w twoich oczach wszelkie znane i nieznane światy? O to, żebym nie chciał tańczyć z tobą pod konstelacjami, których nie znasz? Żebym nie pragnął już więcej smakować twoich ust? Żebym nie chciał zamknąć cię w ramionach i nigdy już nie puścić?

– Daj mi wykonywać moją pracę.

Widział, jak samotna łza spływa po policzku Lei.

– Nie tak to się rozegra, przecież wiesz.

– Mam broń, Nate. I właśnie celuję ci w głowę.

Przesunął palcami po jej szyi.

– W takim razie, moja droga, obawiam się, że jednak będziesz musiała mnie zastrzelić.

– Skoro tak... – Mierzyła w środek jego czoła. Ręka drżała jej lekko.

Nagle szarpnęła ramieniem i pociągnęła za spust. Szkło w ścianie za nimi eksplodowało z hukiem.

Thorne nawet nie drgnął. Zerknął za siebie z niewzruszoną miną, następnie wrócił spojrzeniem do dziewczyny. Do jej oczu napłynęło jeszcze więcej łez, a on uświadomił sobie, że pierwszy raz widzi, jak Leah płacze.

– Od twojej nienawiści piękniejsza jest tylko miłość – powiedział.

– Pieprz się, Nate!

Teraz już nie była wściekła, chociaż sprawiała takie wrażenie. Ona się bała.

– Jest powód, dla którego do mnie nie strzeliłaś. Ten sam, który każe mi cię chronić. Przerażający, czyż nie? Tak, oczywiście. Ale gdy coś pocujemy naprawdę, zawsze nas to przeraża.

– Ty nie... – Urwała, kręcąc głową.

– Co ja nie?

– Nieistotne. – Zerknęła na glocka w swojej dłoni. – Zabrałeś mi go, tak będzie brzmiała oficjalna wersja. Zabrałeś go siłą, czego dowodzą moje obrażenia.

– Które obrażenia? – powtórzył.

Zignorowała go.

– Stawiałaś opór przy aresztowaniu – kontynuowała, wyciągając kajdanki zza pleców. Zacisnęła obręcz na jego nadgarstku i pociągnęła w dół, aż drugą obręczą dosięgnęła nogi stołu. Metal szczęknął. – A jednak mi się udało.

– Sądziś, że to mnie zatrzyma? – Poruszył ręką na próbę. – Doprawdy?

Uniosła pistolet.

– Sądzę, że to może.

Nathaniel rozchylił wargi w drapieżnym grymasie.

– Tak przywiązana do tego, co doczesne...

– Siedź tu – przykazała. – Zaraz wracam.

Przyglądał się, jak omiata wzrokiem usiane trupami pomieszczenie, podnosi z podłogi swoją odznakę, a potem kieruje się do wyjścia. Nie miał nic przeciwko, wszakże nie był to koniec.

– Leah? – Kiedy się odwróciła, uniósł dłoń. Spomiędzy palców zwisał mu jej naszyjnik. – Nie zapomniałaś o czymś?

## 12



– Thorne zastrzelił jedenaście osób – powiedziałam. – Na moich oczach.

Komendant przyglądał mi się z kamienną twarzą. Miał zaciśnięte usta i skrzyżowane na piersi ręce. Powiedzieć, że był wściekły, to jak nic nie powiedzieć. Za jego plecami w lustrze weneckim widziałam Thorne’a.

Siedział rozparty na krześle, spoglądając prosto na mnie. Nie powinien mnie widzieć, a mimo to widział.

*On nie jest tym, kim się wydaje.*

Gówno prawda.

*Podał ci nazwisko zabójcy twojej matki.*

*Dlaczego wciąż nie wierzysz?*

– Jedenaście osób – powtórzyłam. – Wprawdzie sami kryminaliści, a jednak wciąż ludzie.

– Rozumiem, że to była planowana akcja? – Słyszałem było, że Stewart ledwie nad sobą panuje. – Prowokacja, którą miałaś pod kontrolą?

– Poniekąd. – Gdyby wiedział, jak to wyglądało naprawdę, pewnie rozszarpałby mnie gołymi rękoma.

– Kto z tobą był?

– Mój glock. Przynajmniej dopóki Thorne mi go nie odebrał. Siłą, komendancie. Siłą. Ale potem ja załatwiłam go sprytem.

Stewart wreszcie wybuchnął.

– Poszłaś tam sama?! – wydarł się. – Do reszty ci siadło na mózg?!

Kiwnęłam głową.

– Przecież mówiłam, że go zgarnę. Mówiłam, prawda?

– Założyłaś chociaż kamizelkę?

– Skąd miałam ją wziąć? Jestem na urlopie.

Zrobił głęboki wdech, ale na moje oko niewiele mu to dało. Wyglądał, jakby jedną nogą stał już przy zawale serca.

– Niczego się nie nauczyłaś, Winters. Wcześniej sądziłem, że lot radiowozem to szczyt twoich możliwości, ale teraz widzę, że są nieskończone. – Widząc, że otwieram usta, dźgnął powietrze przed moją twarzą, nakazując milczenie. – Wiesz, dlaczego żyjesz? Bo miałaś cholernego farta. Tylko dlatego.

– Ale żyję. I wsadziłam Thorne’a. To mało?

– Dużo. – Odwrócił się i zerknął na siedzącego w pokoju przesłuchań Nathaniela, który wyglądał, jakby wyśmienicie się bawił. – Zakładając, że prawnicy zaraz go nie wyciągną.

Przewróciłam oczami.

– Obalą zarzut wielokrotnego morderstwa?



–Bardzo wątpię, komendancie.  
– Zależy, co znajdziemy w Czerwonym Baronie. Na razie mamy tylko twoje zeznania.  
– Powtórzę kolejny raz: to mało?  
– Dla jego prawników? – prychnął Stewart. – Wyciągną każdy brud, Winters.  
Wszystko na twój temat. Zdyskredytują cię.  
– Mogą mi naskoczyć.  
Wbił we mnie wzrok.  
– Twierdzisz, że Thorne zabrał ci broń.  
– Bo zabrał. – Najeżyłam się. – Nie wierzy mi pan?  
– Wspominałaś też, że użył siły. – Ton głosu Stewarta nie zachęcał do rozmowy. Jego spojrzenie podobnie.  
– Walnął mnie... – dotknęłam ust, które nie były już opuchnięte – w brzuch.  
– Módl się, żebyśmy znaleźli coś, co potwierdzi twoje słowa.  
– Tych jedenastu sztywnych gości to wystarczające potwierdzenie. Jest wśród nich również Miller.  
Stewart ponownie odwrócił głowę i przyjrzał się podejrzanemu.  
– Skosił współnika? Dziwne.  
O nie. Nie, nie. Nie podobał mi się ten tok myślenia. Wiedziałałam, dokąd może nas zaprowadzić.  
– Kilka osób widziało moją szarpaninę z ochroniarzem – wyznałam niechętnie.  
Komendant pochylił się nade mną.  
– To była część twojej szczegółowo przemyślanej akcji, tak? – zakpił. –  
Powiedz, co będzie, jeśli się okaże, że nie ma żadnych ludzi?  
– Miller nie żyje, Thorne siedzi. Prawdopodobieństwo, że ktoś przekupi świadków, jest minimalne.  
– Obyś się nie myliła.  
Czułam, że zaraz się wścieknę. Nie, w zasadzie to już się stało.  
– Wywiązałam się ze swojej części umowy. – Podniosłam się z krzesła, na którym siedziałam do tej pory. – Teraz kolej na pana, komendancie.  
Chcę wrócić do pracy.  
Otaksował mnie z góry na dół, krzywiąc się przy tym.  
– Pogadamy o tym jutro.  
– Nie. – Postąpiłam krok w jego kierunku. – Pogadamy o tym teraz.  
– Zapomnij. Idź do domu, prześpij się albo coś.  
– Nie chce mi się spać.  
– Dobrze by ci to zrobiło, wciąż wyglądasz jakoś nieszczególnie. To ta sprawa z Reynoldsem tak na ciebie siadła?  
Aż mnie skreśliło na samo wspomnienie.  
– Skąd taki pomysł?  
– Bo ja wiem? – Wzruszył ramionami. – Staram się pojąć, o co ci chodzi. Nie zrozum mnie źle, Winters, ale stałaś się jakaś drażliwa.  
Po tym wszystkim, co mnie do tej pory spotkało? To cud, że nie skończyłam jeszcze w zakładzie zamkniętym, śliniąc się i tępo gapiąc przed siebie.  
– Mogę go przesłuchać? – Wskazałam palcem lustro weneckie.

Siedzący w pokoju Thorne, do tej pory zajęty oglądaniem swoich paznokci, podniósł głowę i przeszył mnie spojrzeniem. No, dalej, pomyślałam, odstaw jakąś magiczną sztuczkę, sukinsynu.

– Zapomnij. – Stewart również spojrzął za siebie. – Przesłucha go Travis.

– Ten debil? – wyrwało mi się. – Ja wsadziłam Thorne’a. To mój podejrzany.

Komendant sapnął ciężko.

– Oficjalnie wciąż jesteś na urlopie – przypomniał. – Dlaczego miałbym pójść na takie ustępstwo?

– Bo zależy mi bardziej niż Travisowi.

– Wciąż mnie to nie przekonuje.

– Trochę już faceta znam, wiem, jak go podejść – zaryzykowałam. –

Tylko dwa pytania, góra trzy. Niech pan się nie da prosić.

– Bez adwokata i tak pewnie nie będzie chciał z tobą rozmawiać.

– I tu się pan myli.

– Zdajesz sobie sprawę, że to niezgodne z procedurą?

Żeby tylko to jedno. Odkąd trafiłam do Czerwonego Barona, ja i procedury pomachaliśmy sobie na pożegnanie.

– Uda pan, że o niczym nie wiedział.

Stewart zmarszczył czoło. Przetrawiał moje słowa i kiedy już sądziłam, że zaraz poczęstuje mnie tekstem w stylu: „Wróćmy do tematu, kiedy zapoznam się z dowodami”, powiedział: – W porządku. Masz minutę.

– Dwie?

– Nie przeginaj, Winters. – Zerknął na zegarek. – Sprężaj się. Czas start.

Przeszłam do drugiego pomieszczenia, świadoma, że komendant obserwuje mnie przez szybę. W pokoju przesłuchań w swojej karierze byłam już niezliczoną ilość razy, ale po raz pierwszy miałam przed sobą podejrzanego, który autentycznie chciał się tu znaleźć. Inaczej nie pozwoliłby się aresztować. Kajdanki? Co to dla niego? Przy wszystkich jego urągających logice sztuczka co to, kurwa, dla niego? Dotarło to do mnie mocno ponieważ, a szkoda.

– Cześć, Nate – przywitałam siedzącego za stołem mężczyznę.

Uśmiechnął się na mój widok. Do twarzy mu było z tym uśmiechem, a ja okazałam się skończoną kretynką, skoro nawet teraz przebiegały mi przez głowę podobne myśli. Co gorsza, pojawiało się ich coraz więcej. I mimo rozpaczliwych wysiłków nie chciały mnie opuścić. W tym psycholu coś było, coś, co sprawiało, że pragnęłam...

Przestań!

– Witaj, moja droga – odezwał się. – Zdaje się, że sprawy nie idą tak gładko, jak sobie zaplanowałaś, czyż nie?

Otworzyłam usta, ale zaraz je zamknęłam. Nie było sensu pytać.

– Nie, dlaczego? – Przyciągnęłam najbliższe krzesło, okręciłam je oparciem do przodu i usiadłam. – Skasowałeś swojego kumpla Millera i trafiłeś tutaj. Dla wielu to jak spełnione marzenie.

Wychylił się ku mnie i położył ręce na blacie. Łańcuszek kajdanek zadzwonił.

– Ale nie dla ciebie, Leah.

Lyth.

Lyth, Lyth, Lyth.

Poczułam przebiegające po kręgosłupie ciarki. Nie dałam jednak nic po sobie poznać.

– I tu się właśnie mylisz.

– Marzenia są próżne, dlatego tak pociągające – podjął Thorne. – Ty wszelako masz innego rodzaju marzenia, w pewnym sensie ich kompletne przeciwieństwo. Interesuje cię wyłącznie brudna, surowa prawda. I właśnie ją ci dałem.

– Może porozmawiamy o tym, co zrobiłeś?

– Naszyjnik. – Wskazał na mnie palcem. – Powinnaś go wreszcie zdjąć.

Nie planowałam. Jeżeli miało się stać coś upiornego, niech on to zrobi. I niech zobaczy to Stewart. Zakładając, rzecz jasna, że wszystko to nie jest tylko wytworem mojej imaginacji.

– Ludzie nie przepadają za tym, kiedy notorycznie się im mówi, co mają robić.

– Tu się mylisz. Ludzie chcą, żeby im to mówić. Ale ty jesteś zupełnie inna. Jesteś taka jak ja.

Zerknęłam na weneckie lustro. Nie widziałam Stewarta, jedynie odbicie moje i podejrzanego. I nagle przyszło mi do głowy, że ta rozmowa to bardzo zły pomysł.

Ponieważ zamiast czymś się zdradzić, Thorne mógł mnie wpakować w jakiś kolosalny syf.

– Ja nie zastrzeliłam z zimną krwią jedenastu osób.

Za odpowiedź robił przelotny uśmiech. Teraz jednak nie było w nim niczego urzekającego, w twarzy odbijała się jedynie kpina.

– Wolałbym nie poruszać tego rodzaju kwestii bez mojego adwokata.

Żeby cię pokręciło.

– Słyszysz? – Wskazał palcem drzwi, w które ktoś zapukał sekundę później. – To chyba do ciebie.

– Adwokat ci nie pomoże. W najlepszym razie zmieni karę śmierci na dożywocie.

Thorne odrzucił głowę do tyłu i zaczął się śmiać.

– Chciałbym to zobaczyć, moja droga. Naprawdę chciałbym to zobaczyć.

Pukanie się powtórzyło. Teraz było o wiele bardziej napastliwe.

– Wrócimy do tego, kiedy trochę tu sobie posiedzisz – powiedziałam, podnosząc się z krzesła.

Nathaniel wbił we mnie ten swój przeszywający wzrok. Jego tęczęwki pociemniały i miałam wrażenie, że ich barwa pogłębia się z każdą chwilą.

– Jedź do niego.

– Jasne, tylko skoczę po precle.

– Boisz się prawdy, której szukałaś przez lata. Czy to nie zabawne?

– Nieszczęśliwie.

Złożył dłonie na blacie. Widziałam, jak drewno pod nimi czernieje.

– Rodzic jest bogiem w oczach dziecka – powiedział. – A on zabił boga.

Z trudem przełknęłam ślinę. Teraz nie były to już tylko ciarki – czułam chłód rozchodzący się po całym ciele.

– W głębi siebie nie jesteś zaskoczona, prawda? Twoja niechęć do tego świata bierze się ze słusznych powodów, zawsze tak było. Zaskakująco trudno jest znaleźć kogoś bez winy. – Czerń pod jego dłońmi rozprzestrzeniała się, teraz sunęła w moją stronę. – Śmierć, krzywda, zepsucie i tak mało dobra, że właściwie jest bez znaczenia. Twoja

matka była orędowniczką dobra i spójrz, co ją za to spotkało. Nie potrzeba diabła, ludzie zgładzą się sami. Okrucieństwo to ich ulubiony sport. Co chcesz chronić, Leah?

*Lyth.*

Siebie, pomyślałam. Przed tobą.

– Jestem światłem i jestem wibrujący w świetle – zagrzmiał Thorne. –

Jestem ciemnością i niosę ze sobą mrok. Stań po mojej stronie. Zasługujesz na więcej. Zasługujesz na wszystko.

Kątem oka zarejestrowałam ruch. Zerknęłam w bok i zobaczyłam, że lustro weneckie pokryte jest krwią. Spływała ze wszystkich ścian, przesiąkała przez sufit. Była również na podłodze, brodziłam w niej po kostki. Wątpiłam jednak, że Stewart również to widział. Ten spektakl przeznaczono wyłącznie dla moich oczu.

Weź się w garść, nakazałam sobie. Facet chce cię sprowokować, to wszystko.

– Do zobaczenia, Nate – powiedziałam z całym spokojem, na jaki było mnie stać, i na sztywnych nogach skierowałam się do wyjścia.

Kiedy byłam już przy drzwiach, pokój przesłuchań znów wyglądał normalnie.

Ani śladu krwi.



Podjechałam niemal przed samą bramę. Zatrzymałam się w odległości dziesięciu, góra piętnastu metrów od niej i dłuższą chwilę tylko siedziałam, wsłuchując się w warkot pracującego na jałowym biegu silnika. Ostatecznie jednak wrzuciłam wsteczny i się wycofałam. Nie chodziło nawet o to, co mogłam usłyszeć, wszakże ludzie potrafili kłamać, niektórzy nawet naprawdę zręcznie.

Chodziło o to, co mogły mi powiedzieć oczy.

I tak, byłam tchórzem, w tamtym momencie na pewno. Nie zachowałam się jak glina, tylko jak przelęknione dziecko.

*Boisz się, ponieważ wiesz, że Thorne powiedział ci prawdę.*

– Jutro – obiecałam sobie. – Wrócę jutro.

Odbiłam z podmiejskiej drogi i skierowałam się na ekspresówkę, a stamtąd prosto do mieszkania. Po czasie lubię to zwać na szok czy też swego rodzaju nowatorskie zaćmienie umysłu, inaczej na pewno wybrałabym inne miejsce.

Swoją komórkę znalazłam tam, gdzie ją zostawiłam – na podłodze w łazience. Ekran był cały, tylna obudowa też. Zabrałam telefon do sypialni i jeszcze jakieś dwadzieścia razy przejrzałam dokumenty, które wysłał mi Peter. Jakaś część mnie – i to całkiem spora część – upierała się, że to zwykła podpucha, ale w głębi duszy wiedziałam, że to nieprawda.

Odłożyłam komórkę na nocną szafkę i jakiś czas tylko siedziałam, opierając się o zagłówek. Powoli schodziło ze mnie całe napięcie i teraz czułam już tylko potworne zmęczenie. W ustach miałam miedziany posmak.

– Prześpij się, Winters – poradziłam samej sobie.

Włożyłam jeden z przesadnie wielkich T-shirtów – ten akurat miał logo Iron Maiden – i zagrzebałam się w pościeli. Obawiałam się, że mimo to nie zasnę, że będę jedynie leżeć i gapić się w sufit, jednak kiedy moja głowa dotknęła chłodnej poduszki, odpłynęłam. Obudził mnie dopiero napastliwy dźwięk telefonu.

Namacałam na ślepo szafkę i chwyciłam komórkę.

– Halo?

– Uciekaj! – To był Pete.

– O czym ty mówisz? – Przeciągnęłam dłonią po twarzy i sprawdziłam godzinę. – Jest... środek nocy.

– Wiej, Leah! Idą po ciebie.

Brzmiało to tak absurdalnie, że miałam wrażenie, że tylko mi się śni.

– Co? Kto?

– Jesteś podejrzana o jedenaście morderstw. Według nagrań z monitoringu to ty zabiłaś ludzi w Czerwonym Baronie.

Jakich nagrań z monito...

No tak. Thorne.

– Leah? Jesteś tam?

– Jestem. – Nie zdążyłam dodać nic więcej.

Drzwi wyleciały z hukiem.

Telefon wysunął mi się z ręki, ale nie miałam czasu go podnosić.

Przeturlałam się po materacu i zeskoczyłam na podłogę po drugiej stronie łóżka.

Wyrzut adrenaliny sprawił, że wyostrzyły mi się wszystkie zmysły, a ciało weszło w tryb „uciekaj albo walcz”. Miałam tylko kilka sekund na podjęcie decyzji i stwierdziłam, że najlepiej zrobię, wiejąc. Otworzyłam okno i weszłam na gzyms.

– Leah Winters, wyjdź z rękoma do góry! – doleciało z mojego mieszkania.

Wychyliłam się w bok tak daleko, jak tylko mogłam bez ryzyka, że zlecę na ziemię.

Przez jeden rozpaczliwy moment sądziłam, że stanie się to i tak, ale w porę złapałam równowagę. Wiatr szarpał moją koszulką, chłostał mnie po gołych łydkach, zawiewał włosy na twarz. Teraz albo nigdy. Zamierzyłam się i skoczyłam. Jedną ręką złapałam się poręczy

balkonu sąsiedniego mieszkania, potem zdołałam uchwycić się również drugą.

Podciągnęłam się i przeturlałam do środka. W tej samej chwili w otwartym oknie mojej sypialni pojawił się gliniarz.

– Winters, stój! – zawołał, mierząc do mnie z pistoletu.

Nie miałam takiego zamiaru.

– Winters! – powtórzył. – Nie masz dokąd uciekać!

Tak się składało, że miałam. Zerwałam z szyi łańcuszek i cofnęłam się aż pod drzwi balkonowe. To szaleństwo, błysnęło mi w głowie. To, co chcę zrobić, to szaleństwo!

*Nie, to sama prawda.*

*Masz ją pod skórą.*

Salon tonął w mroku, właścicieli, zdaje się, nie było. Mogłam wybić szybę,

Wejść tam, a potem spróbować nawiać schodami przeciwpożarowymi, ale napotkałabym zasadniczy problem – i pomijam już nawet tych miłych gości, którzy grasowali za ścianą. Wiedziałam, że wszystkie wejścia do budynku są obstawione, nie musiałam tego sprawdzać.

– Poddaj się, Winters! – Do pierwszego gliniarza dołączył drugi. On również do mnie celował.

Rzuciłam mu obojętne spojrzenie, a potem puściłam się biegiem w kierunku barierek. Przeskoczyłam przez nią i runęłam prosto w noc.

Leciałam z czwartego piętra, ale nie krzyczałam ani nie machałam histerycznie rękoma. Czułam dziwny spokój. Wisiorek spoczywał w mojej zaciśniętej dłoni, a ja sama... Chodziło o to, że pęd powietrza nie był tak silny, jak powinien.

A potem opuściłam wzrok i wtedy wszystko przyspieszyło.

Wylądowałam na chodniku w mało efektownym przysiadzie. Moja ręka dotykała kostki brukowej, inaczej pewnie przeorałabym twarzą ziemię.

Obejrzałam się – gliniarze wciąż sterczeli w oknie mojej sypialni – a potem zerwałam się do sprintu. Głos w głowie krzyczał, że to przecież niemożliwe, że przy upadku z takiej wysokości powinnam była coś sobie połamać – żebra, nogi – że tak naprawdę taki upadek powinien mnie zabić, ale uparcie udawałam, że go nie słyszę.

Wybiegłam na ulicę, ignorując trąbiące wściekle samochody, przecięłam ją i popędziłam między stojące dalej budynki. Asphalt był zimny, ale ja ledwie to czułam. I pewnie nie poczułabym, nawet gdybym nastąpiła na coś bosą stopą i ją rozcięła. Zawodzenie syren zbliżało się niebezpiecznie. Raz nawet dobiegł mnie wściekły wrzask: WINTERS!!!

Nie odwróciłam się, prulałam przed siebie, nie mając bladego pojęcia, dokąd właściwie powinnam się udać. Do Petera? Nie, z dwóch powodów.

Po pierwsze, będą mnie tam szukać. Po drugie, ściągnę na niego więcej problemów, niż już prawdopodobnie miał.

A więc...

Czarny jaguar zatrzymał się przede mną z piskiem opon, zagradzając mi drogę. Wyłonił się z nicości, przysięgam na Boga. Drzwi po stronie pasażera się otworzyły i zobaczyłam siedzącego za kierownicą Thorne'a.

– Wsiadaj – rzucił.

Zerknęłam przez ramię. Światła policyjnych radiowozów błyskały na końcu ulicy. Tamtędy z pewnością nie ucieknę.

– Już! – ponaglił.

Będę tego żałować, zdążyłam jeszcze pomyśleć.

A potem opadłam na fotel w jego samochodzie.

Thorne wrzucił bieg i jaguar skoczył naprzód. Wylot ulicy po przeciwnej stronie również zastawiły radiowozy, widziałam także przycupniętych za nimi policjantów. Mierzyli do nas i coś mi mówiło, że nie będą strzelać w opony.

– Już nie żyjesz, zdajesz sobie z tego sprawę? – warknęłam. – Zabijają cię oni albo ja. Skwitował moje słowa uśmiechem.

– Jesteś piękna, gdy się złościś. A teraz bądź łaskawa zapiąć pas.

Zrobiłam to, a samochód równocześnie wyrwał z taką prędkością, że przeciążenie na moment wgniotło mnie w fotel. Nathaniel pruł przed siebie z zupełną swobodą, jak gdyby barykada przed nami była tylko moim sennym wymysłem. Wbiłam palce w oparcie fotela i przyglądałam się, jak zbliżamy się do niej z samobójczą szybkością. Dwóch, nie, trzech gliniarzy zwało, ale reszta została na posterunku. Podobnie jak ich radiowozy.

– Trzymaj się mocno – powiedział Nathaniel.

A potem jaguar uderzył w dwa policyjne auta, zsuwając je z drogi.

Słyszałam zgrzyt blachy, chwilę później łupnięcie, kiedy najechaliśmy na...

kogoś. Patrzyłam na wszystko szeroko otwartymi oczami, z sercem gdzieś w przetyku. Spodziewałam się, że zderzenie z przeszkodą przy tej prędkości sprawi, że Thorne straci panowanie nad kierownicą, ale nic takiego nie miało miejsca. „Co to jest, batmobil?” – przemknęło mi przez myśl.

Zerknęłam w tył, lecz byliśmy już daleko. Sekundę później Nathaniel skręcił ostro w prawo i przejechał tuż przed maską dodge'a rama, omal się z nim nie zderzając.

Wydawało się, że nawet tego nie zauważył. Albo inaczej: zauważył, ale miał to gdzieś.

Policjanci ruszyli za nami w pościg i jak znałam życie, wzywali już posiłki. Samochód Thorne'a był jednak znacznie szybszy. Mężczyzna przeciął ulicę po skosie, skrócił sobie drogę przez porośniętą trawą wysepkę i kolejny raz skręcił w prawo. Nie zdejmował

nogi z gazu, jechał pewnie i nieustępliwie. Twarz miał skupioną, jednak na jego wargach błąkał się uśmiech.

– Adwokat cię wyciągnął? – Tylko to przyszło mi do głowy. – Jak?

Posłał mi przelotne spojrzenie.

– Naprawdę nie wiesz?

Chciałam zadać następne pytanie, ale zrezygnowałam.

I tak znałam odpowiedź.





Nic nie powiedziałam, kiedy zajechaliśmy przed Czerwonego Barona.

Chyba nawet podświadomie się spodziewałam, że to właśnie on będzie celem naszej podróży. Parking wydawał się ogromny – znacznie większy niż zwykle – ponieważ był pusty. Oprócz jaguara stała tu tylko ciężarówka zaopatrzenia.

– Posprzątali już trupy z konferencyjnej? – zagadnęłam, zerkając na podświetlony na czerwono budynek. Niebo nad nim miało smoliście czarną barwę.

– Policja się tym zajęła. – Thorne sięgnął pod marynarkę i wyłowił mojego glocka. – Teraz, zdaje się, szukają tego.

Wyrwałam mu pistolet z ręki i sprawdziłam magazynek. Pusty.

– Jak? – Zgrzytnęłam zębami. – Poważnie, jak?

Obdarzył mnie przelotnym uśmiechem.

– Naboje są w schowku – wyjaśnił. – Ale nie będą ci potrzebne.

– Zaryzykuję – odparłam i otworzyłam klapę. Zabrałam magazynek i wbiłam go w glocka nasadą dłoni. Dało mi to złudną pewność, że panuję nad sytuacją. Na całe trzy sekundy.

– Nie tak od razu – doprecyzował.

– Czyli czekam, aż odstawisz jedną ze swoich sztuczek?

Nie zniżył się do takiego poziomu, by odpowiedzieć na to pytanie.

Przyglądał mi się z pozorną obojętnością, można było wręcz odnieść wrażenie, że ta rozmowa zaczyna go nudzić. Tylko jego oczy...

Zamrugałam, ale i tak wiedziałam, że to, co zobaczyłam, nie było przywidzeniem. Wiedziałam, że nigdy się nie przyzwyczaję do tego numeru z tęczęwkami, które potrafiły przybrać każdą możliwą barwę. To było zbyt chore.

*To jest prawdziwe.*

A to, że gliniarze nie siedzieli nam na ogonie? Wolałabym tego nie mówić, by nie wyjść na jeszcze większą świruskę niż do tej pory, ale odniosłam osobliwe wrażenie, że w którymś momencie nie jechaliśmy żadną znaną drogą. Nie mam na myśli tylko dróg tego miasta i okolicy.

Przez „żadną znaną drogę” rozumiem miejsce, które wydawało się być spoza tego świata.

*Pamiętasz obce niebo, na które patrzyłaś?*

*A teraz odpowiedz sobie na pytanie: jak można gonić kogoś, kto jedzie prosto do piekła?*

– Naprawdę uważasz, że nie będą nas tu szukać? – zapytałam, orientując się, że płynnie weszłam w rolę jego współpracownicy. Brawo, Winters, oby tak dalej.

– Będą.

– Więc dlaczego...?

– Ponieważ nas tu nie znajdą.

No tak, niepodważalna logika.

– Dobra, Nate, zapytam inaczej. Z jakiego właściwie powodu po mnie wróciłeś? – Poczęstowałam go mściwym spojrzeniem. – Zaraz po tym, jak wpakowałeś mnie w cały ten syf.

– Nie chcę cię krzywdzić, moja droga, nie taki mam cel. Chcę tylko, żebyś uwierzyła.

– Jak na razie zyskałeś tyle, że policja przypisuje twoje zbrodnie mnie.

Wielkie, kurwa, dzięki.

– A jednak siedzisz tu, spokojna, niestrapiiona. Nie odebrałem ci niczego. Nie ja.

– Niestrapiro... Jaja sobie chyba robisz!

– Uciekałaś, ponieważ nie chciałaś, żeby cię pojmano. Prosty mechanizm, niemal niezależny od woli. Ale czy było ci żal? Czy było ci czegoś autentycznie żal, Leah?

*Lyth.*

W zamyśleniu potarłam przedramię. Ogrzewanie zostało podkreślone, nie marzłam, mimo że miałam na sobie tylko koszulkę. Spostrzegłam, że wciąż ściskam w dłoni łańcuszek, więc go włożyłam; odruch, nad którym zupełnie się nie zastanawiałam.

– Wiele się zmienia, kiedy go zakładasz. – Dotknął palcem wskazującym koniuszka mojego naszyjnika. – Rozgryzałaś to już?

– Ma jeszcze jakieś funkcje oprócz tego, że gdy nie mam go na sobie, to robię się nieśmiertelna? Nie, wiesz, jakoś się w to nie wgłębiałam.

– Co czujesz, kiedy zrywasz go z szyi? – ciągnął. – Czy nie jest to wolność?

Tak, pomyślałam niechętnie. To właśnie to. Całe spektrum doznań i ograniczenia, które nagle przestawały istnieć. Grawitacja słabła, a ja... ja...

Nie spostrzegłam nawet, że moja prawa ręka uniosła się i zerwała łańcuszek. I znów poczułam to charakterystyczne pstryknięcie gdzieś w głębi mózgu.

– Nie wiem, co to jest – odparłam. – Ale wiem, że jest przyjemne.

– Ciemność zawsze jest taka. I w przeciwieństwie do tego, co wielu sądzi, nie jest jednowymiarowa.

Nie żebym chciała cokolwiek rozumieć z tej obłąkanej gadki. Ale jednak to ja z własnej woli wsiałam do auta z tym facetem. Leah Winters, drodzy państwo, zyskuje kolejny punkt.

– Stałaś się zwierzyną. – Nathaniel wskazał błyskające na niebiesko światła w oddali. Sądziłam, że policja zajedzie na ten sam parking, na którym teraz staliśmy, ale radiowozy nawet nie zwolniły. Wyglądało to tak, jak gdyby gonili kogoś, kogo wcale tam nie było. – Nie masz dokąd uciec.

Ci, którzy stali po twojej stronie, teraz na ciebie polują. Zostałem ci tylko ja.

I Peter, pomyślałam.

– Przecież mu tego nie zrobisz.

– Proszę? – zapytałam, marszcząc brwi.

– Twój przyjaciel, Peter – wyjaśnił. – Nie zrobisz mu tego, nie wciągniesz go w kłopoty.

Poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Facet jakimś cudem wiedział, co myślę. Brzmiało jak bzdura, ale...

– To. – Wskazał naszyjnik w mojej dłoni. – Kiedy go zakładasz, twoje myśli są tylko dla ciebie.

Miałam ochotę się roześmiać. Wyc histerycznie, dopóki nie zabrakłoby mi tchu. Jednak kiedy się odezwałam, mój głos brzmiał dziwnie słabo. I nie było w nim ani śladu wesołości.

– Ty nie żartujesz.

Pokręcił głową.

– Właśnie dlatego twój ojciec podarował go matce. Z szacunku dla jej prywatności. Z powodu wagi tego, co do niej czuł.

Przetrawiałam tę rewelację dłuższą chwilę.

– Chcesz mi powiedzieć, że mój ojciec był gościem z innego układu słonecznego i gdyby moja matka nie nosiła tego... kryptonitu... czytałby jej w głowie? – Rozejrzałam się teatralnie. – Kamera? Która mnie teraz nagrywa?

– Mówimy o miejscu znacznie odleglejszym – wyjaśnił z powagą.

Miał fantazję, nie powiem.

– Stephen Hawking, nie pędź tak.

– Światły umysł, czyż nie? Wielka szkoda, że za tak wygórowaną cenę.

– Coś niepokojącego odbiło się w jego twarzy. – Chodźmy, Leah.

*Lyth.*

– Tam? – Wskazałam hotel. – Nie, raczej podziękuję.

Spiorunował mnie wzrokiem.

– Nalegam. Czas w końcu przejrzeć się w prawdzie.

Przejrzeć się w... Co to niby miało znaczyć, do diabła?

Kiedy wysiedliśmy z wozu i chłodne powietrze omiotło moją skórę, zadrzałam. Thorne ściągnął marynarkę i okrył mnie nią. Nie protestowałam, nie miałam już chyba na to siły.

– Wiesz – zaczęłam ostrożnie – jeśli obecnie leżę w wywołanej haloperidolem śpiączce, to powiem ci, że jesteś całkiem przyjemną halucynacją.

Kącik jego ust drgnął.

– A jeśli nie?

– To znowu cię aresztuję.

Nathaniel chwycił mnie za łokieć i przyciągnął ku sobie. Jego kciuk delikatnie przejechał po moich wargach, a ja mimowolnie zadrzałam.

Pistolet w mojej dłoni nagle wydał się bezużyteczny. Nawet teraz, nawet w tak obłąkanych okolicznościach Thorne działał na mnie z zaskakującą siłą.

To było idiotyczne, ale – podobnie jak wszystko, co zdarzyło się do tej pory

– też prawdziwe.

– Robiłabyś to po tysiäckroć, czyż nie? – Patrzył na mnie oczami czarnymi jak niebo nad jego głową. – A rezultat wciąż byłby taki sam.

– Jasne. – Cofnęłam się, choć przyszło mi to z trudem. – Jak chcesz.

Przecieliśmy parking, następnie weszliśmy do opustoszałego lobby.

Czerwony Baron wyglądał, jakby stał się własnym cieniem, a ja z jakiegoś powodu wróciłam pamięcią do bramy, przed którą dziś stałam. Może byłoby inaczej, gdybym ją jednak przekroczyła? Może właśnie płaciłam cenę za swoje tchórzostwo?

– Zobaczyć to uwierzyć – odezwał się Thorne, kiedy stanęliśmy naprzeciw wind. – A ty wciąż nie wierzysz, choć widziałaś prawdę już tyle razy.

– To przez tę twoją cechę, Nate. Nieszczególnie wzbudzasz zaufanie.

Drzwi kabiny rozsunęły się i zobaczyłam swoje odbicie w lustrze.

Miałam zmierzwiłone włosy, bladą twarz i ciemne kręgi pod oczami. Thorne natomiast wyglądał doskonale jak zwykle. Cholerny wampir.

– Światło dnia mnie nie pali – powiedział z uśmiechem.

Zerknęłam na niego, potem na wisiołek. Nie, po prostu nie. To nie mogło się dziać. A jednak się działo. Facet naprawdę słyszał, co się dzieje w mojej głowie, chyba że stawiałam zaporę w postaci tego kawałka metalu.

– To musi być strasznie nudne – stwierdziłam. – Słyszeć coś, zanim ktoś to powie.

Nieznacznie skinął głową. A potem stwierdził: – Dlatego, moja droga, z tobą jest inaczej.

Wjechaliśmy na górę i kiedy kabina otworzyła się z pneumatycznym sykiem, wyszliśmy na korytarz tak samo pusty jak reszta budynku. Ta pustka wbrew pozorom nie była najbardziej upiorna, ponieważ ją akurat

dało się wyjaśnić. Jakoś. Gwoździem programu był Thorne. I, choć przykro mi to mówić, ja również.

Szłam przed siebie, zaciskając palce na rękojeści glocka; rękawy marynarki rytmicznie ocierały się o moje boki. Nathaniel kroczył tuż przy mnie. W jakimś sensie to wszystko przypominało sen, ale sam fakt, jak bardzo byłam rozbudzona, zadawał temu podejrzeniu kłam. To będzie jak chrzest, błysnęło mi w głowie. Tyle że nie była to do końca moja myśl.

*Wykopiesz się we krwi, by pojąć, czym jest prawda. Zedrzesz z siebie skórę, bo to, co masz, masz pod nią.*

– Jakie to uczucie? – odezwał się.

Zerknęłam na niego.

– Skoro świdrujesz mi w głowie, to pytasz z czystej grzeczności. Albo coś. Ułatwić ci to? – Wsunęłam wisiołek na szyję. – Lepiej?

Pozwolił mi przejść jeszcze kawałek, a potem chwycił mnie za łokieć, zatrzymując przed pokojem, który nie miał na drzwiach żadnego numeru.

– Odarłem cię ze wszystkiego, co doczesne.

– Nigdy nie łap tak kogoś, kto trzyma broń – warknęłam, unosząc pistolet. – Nigdy!

Pchnął drzwi, chociaż wyraźnie widziałam, że zamek potrzebuje magnetycznej karty. A mimo to się otworzyły.

– Ośmielisz się? – zapytał, zapraszającym gestem wskazując wewnątrz.

W środku było ciemno. Zaglądałam tam, jednak niewiele widziałam.

– To jeden z tych specjalnych pokoi? – wyrwało mi się.

Nieprzyjemny grymas przemknął przez twarz Thorne'a.

– Nie. Ten nie.

– No dobra. Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana – powiedziałam i przestąpiłam próg. Zdażyłam jeszcze pomyśleć: „Włącznik światła powinien być po...”, a potem zważyło się na mnie coś ciężkiego.

*Łup!*



Otworzyłam oczy i rozejrzałam się wokoło. Siedziałam w swoim samochodzie, po prawej mając Czerwonego Barona. Musiałam się chwilę zastanowić, co tu właściwie robię, i zaraz do mnie dotarło. Pete, telefon, Thorne. Sukinsyn wcisnął Peterowi zupełnie obłąkany scenariusz, a ten biedak w to uwierzył.

– Nie żyjesz, facet – mruknęłam i wysiadłam z wozu.

Bez peruki i mocnego makijażu ochroniarz chyba mnie nie poznał.

Może to i lepiej, chociaż nie zamierzałam dłużej ukrywać, kim jestem.

Zmęczyły mnie te prowadzące do niczego gierki.

– Jestem... – Tyle zdążyłam powiedzieć, zanim facet wyprowadził pierwszy cios. Poczułam, jak moje wargi rozprasowują się na zębach. Ból okazał się zaskakująco dotkliwy.

– Wiem, kim jesteś – powiedział i uderzył drugi raz. – Mój szef już na ciebie czeka.

– Cieszę się. Dalej pójde sama – odparłam i kopnęłam go w piszczel.

Zachwiał się, jednak ułamek sekundy później chwycił mnie za kark i rąbnął moją głową w ścianę. Raz, potem drugi. I to właśnie ten kolejny cios omal nie przyprawił mnie o długą drzemkę. Obserwowało nas parę osób, łącznie z recepcjonistką, nikt jednak nie zamierzał interweniować. To nie było tego typu miejsce. Sytuacji nie zmieniła nawet policyjna odznaka, którą ochroniarz wyciągnął z mojej kieszeni.

– Winters, he? – odczytał.

– Dobrze zapamiętaj to nazwisko, bo...

Ale żadne „bo” nie nastąpiło.

Skurwiel wcisnął mi pięść w żołądek z taką siłą, że prawie się porzygałam. Udało mi się chyba uderzyć go w krocze, ale w odpowiedzi na ten cios moja głowa kolejny raz zderzyła się ze ścianą. Wstrząśnienie mózgu miałam gwarantowane.

Czułam, że facet mnie wlecze, ale niewiele byłam w stanie zrobić, jedynie apatycznie wierzałam. Jechaliśmy windą, potem był korytarz, który zapamiętałam jako serię przejeżdżających świateł. A jeszcze później facet otworzył jakieś drzwi i pchnął mnie do środka. Wyrznęłabym twarzą o podłogę, gdybym w porę nie wyciągnęła przed siebie rąk.

Pamiętam to! – błysnęło mi w głowie. Sala konferencyjna, w której Miller...

Ale Millera tu nie było ani nikogo innego. Z wyjątkiem jednej jedynej postaci stojącej na tle panoramicznego okna.

Thorne. To Thorne.

Ochroniarz wycofał się na zewnątrz, zanim jego zwierzchnik zdążył zareagować. Całkiem roztropnie, zważywszy na minę, jaką zaprezentował Nathaniel, kiedy wreszcie się odwrócił.

– Wybacz okoliczności – zaczął. – Innego sposobu zwyczajnie nie było.

Stęknęłam i spróbowałam podnieść się na nogi. Wbrew pozorom nie okazało się to takie proste. W głowie wciąż mi łupało, a żołądek skręcał się w bolesny supeł.

– Subtelny jesteś – warknęłam, kiedy wreszcie udało mi się wstać. – Jak cholera.

Posłał mi przelotny uśmiech.

– Dbam o pozory.

Zbliżyłam się do niego chwiejnym krokiem. Chciałam sięgnąć po broń, ale uzmysłowiłam sobie, że jej nie mam. Sukinsyn bramkarz musiał mi ją zabrać.

– Ty... – Zamiast glocka wymierzyłam w Thorne'a palec, ale nie wiedziałam, co właściwie chciałam powiedzieć. Pamiętałam wprawdzie, że byłam zła, wręcz wściekła, lecz nie potrafiłam przypomnieć sobie powodu tego gniewu.

Nathaniel z kolei nie miał podobnych problemów. Jego umysł działał bez zarzutu.

– Najwyższa pora, żebym powiedział ci, kim jestem – rzekł.

Spojrzałam ponad jego ramieniem i poczułam, jak całe moje ciało skuwa się lodem. Za oknami panowała noc, choć chwilę temu, kiedy ten imbecyl mnie tu wrzucił, było co najwyżej wczesne popołudnie.

Okej, czyli oberwałam w głowę zajebiście mocno.

– No dobra. – Odzyskałam rezon. – Słucham.

– Jestem z wydziału spraw wewnętrznych – wyjaśnił Thorne.

Zmarszczyłam brwi.

– To znowu jakieś jaja?

– Nie, Leah. To prawda.

Gniew wybuchł we mnie w jednej chwili. Zarobiłam w zęby tylko po to, żeby teraz słuchać tych bzdur? Niewiarygodne. Gorsze było chyba tylko to, że wciąż nie pamiętałam, po co właściwie tu przyjechałam.

– Prawda? – prychnęłam. – Taka sama jak to, że ja jestem z CIA. A teraz wybacz, ale spieszę się do Langley[6].

Zaczęłam się odwracać, ale złapał mnie za łokieć.

– Nie mogłem powiedzieć ci o tym wcześniej, teoretycznie wciąż nie mogę, ale... ujmę to tak: jesteś kimś, dla kogo warto złamać własne zasady.

Patrzyłam mu w oczy, błękitne jak niebo w bezchmurny dzień.

Patrzyłam tak i rzeczywiście zaczynałam wierzyć. Bo i dlaczego nie? To z moją głową coś najwyraźniej było nie w porządku, szczególnie teraz, gdy bramkarz odbił mi mózg.

– Powiedzmy, że mogłabym to kupić – zaczęłam ostrożnie. – Co w takim razie robi tu człowiek z wewnętrznego? W Czerwonym Baronie nie pracują gliniarze.

– Poza tobą.

– Ja to co innego. I zdaje się, że straciłam już tę robotę.

– Ale ludzie na usługach Millera nie. Nie wydaje ci się dziwne, że nawet FBI odeszło stąd z niczym?

Moja głupekowata mina wystarczyła za odpowiedź. Jeżeli to rzeczywiście była prawda, to znaczy, że komendant o niczym nie wiedział.

Albo wiedział i celowo pozwolił mi skoczyć na główkę w to szambo.

– Afiszowałeś się jak na tajniaka – zauważyłam.

– Przykrywka doskonała, nie sądzisz?

Pod warunkiem, że to autentyczna historia.

– Taa, ale nie tak dobra jak moja.

– Chwalebne, że starałaś się rozpracować to na własną rękę. – Thorne znajdował się tak blisko mnie, że widziałam każdą najmniejszą plamkę na jego tęczęwkach. Miały intensywnie zieloną barwę. Czy chwilę wcześniej nie były przypadkiem inne? – Ale jedyne, co by cię spotkało, to śmierć.

– Kto? – zapytałam. – Ilu jest umoczonych gliniarzy?

– Wielu, ale teraz to nie twoje zmartwienie. – Musnął kciukiem moją dolną wargę. – Poza tym nie jesteś jednym z nich.

– Nie, ale to i tak moje zmartwienie. Wzięłam tę sprawę, nie rozumiesz?

Zaśmiał się.

– O ile mi wiadomo, jesteś na urlopie. Przymusowym. Nie martw się, umieszczę o tobie stosowną wzmiankę w raporcie.

Działania funkcjonariuszki Winters znacząco przyspieszyły ujęcie podejrzanych. Jak to dla ciebie brzmi, moja droga?

*To zbyt piękne, prawda?*

*Tak piękne i wygodne, że niemal nieprawdziwe.*

– Nie – zaprotestowałam. – Coś się nie zgadza.

– Dokumenty mam w marynarce. – Kiwnięciem brody wskazał jedno z krzeseł przy długim stole. – Jest tam.

– Świetnie. Pozwolisz, że sprawdzę?

– Śmiało.

Nie spuszczał mnie z oczu, kiedy przetrzepywałam mu kieszenie marynarki.

Uśmiechał się triumfalnie, gdy starałam się doszukać najmniejszej oznaki fałszu w jego papierach. Problem w tym, że wydawały się w porządku.

– Wciąż nie wierzysz? – zagadnął.

– Jeszcze nie zdecydowałam.

– Rozumiem. – Kącki jego ust podjechały do góry. – Spodziewałaś się raczej samego diabła.

Z jakiegoś powodu te słowa skuły mnie lodem.

– Możesz to powtórzyć?

– Mówiłem, że jesteś najpiękniejszą kobietą, jaką znam. – Poczułam, jak jego ręce obejmują mnie w pasie.

Nie protestowałam, chociaż wiem, że powinnam. I chyba nawet chciałam, ale po prostu nie byłam w stanie. Pragnęłam dotyku tego mężczyzny bez względu na to, kim był i kim mówił, że jest.

– Nie walcz z tym – poradził, przesuwając dłonią po moim policzku. –

Nie walcz z tym, co czujesz.

Z pewnym zdziwieniem zdałam sobie sprawę, że nie mam już zawrotów głowy, ból również gdzieś zniknął. Dotknęłam kącika warg, a kiedy spojrzałam na swoje opuszki, nie zobaczyłam na nich krwi.

– Coś nie tak? – zainteresował się Thorne.

– Krew. Powinnam...

– To był długi dzień, a ty jesteś zmęczona.

Czy tak wygląda obłąd?, błysnęło mi w głowie. Wrażenie, że coś się nie zgadza, nie chciało mnie opuścić, ale z wolna przyćmiewało je coraz silniejsze pragnienie, by

posmakować ust Nathaniela, by wsunąć palce w jego czarne włosy, sprawdzić, jak...

– Nie chodzi o zmęczenie – zaproponowałam. – Tylko o ciebie.

– Wiem – odparł i pocałował mnie.

Jeśli miałam jeszcze jakieś opory, to zniknęły, gdy tylko dotknął wargami moich ust. Upijałam się jego pocałunkiem, ruchy jego języka doprowadzały mnie na skraj ekstazy. Wplotłam palce we włosy Nathaniela i ciaśniej do niego przywarłam. Moje biodra ocierały się o nabrzmiałą męskość i wiedziałam, że na pocałunku nie poprzestaniemy.

Nagle Nathaniel chwycił mnie za rękę i odepchnął w sposób podobny do tego, jak robi się to podczas tanga. Spojrzałam na niego zdezorientowana i zobaczyłam, że zamiast garnituru ma na sobie smoking.

Moje zwyczajne ciuchy także zniknęły, zastąpiła je długa wieczorowa suknia z odważnym dekoltem. Między piersiami pobłyskiwał wisiorek, a neony malowały go na różowo i niebiesko. Takie same neony były...

W Maskaradzie.

Gdzie znajdowaliśmy się właśnie teraz. Staliśmy na środku pustego parkietu, podczas gdy z głośników popłynęły pierwsze takty *Sway*[7].

– Zatańczysz? – zapytał Nathaniel i nie czekając na moją odpowiedź, przyciągnął mnie do siebie. Owionął mnie jego zapach, woń pustyni.

*Jak leniwy ocean przytula brzeg, Trzymaj mnie blisko, kołysz mnie bardziej.*

Łuna światła kładła się na jego włosach, niebieskie tęczęwki skrzyły się, kiedy na mnie patrzył. W tym momencie wydawał się przystojny jak chyba nigdy wcześniej, był mężczyzną, którego chciałam mieć przy sobie już na zawsze.

– Na wieczność – szepnął.

Przesunęłam dłońmi po jego torsie, jak gdybym chciała sprawdzić, czy aby na pewno jest realny. Był, oczywiście, że tak. Nie wiem, skąd w ogóle myśl, że mógłby taki nie być...

Chwycił moją rękę i poprowadził mnie w tańcu. Miał obłądne wyczucie rytmu, taniec z nim przypominał ujarzmianie ognia. Byliśmy płomieniami, które syciły się muzyką, nasze ciała odnajdywały się w doskonałej synchronizacji. Staliśmy się niemal jednością. Słowa płynęły za melodią: *Słyszę dźwięki skrzypiec na długo, zanim się zaczną.*

*Spraw, bym drżała, by tylko ty wiesz jak.*

*Kołysz mnie delikatnie, kołysz mnie teraz.*

A ja zatracalam się w tańcu. Zatracalam się w Nathanielu.

– Nazwałabyś to miłością? – zapytał, po czym odchylił mnie w tył tak, że włosami dotknęłam parkietu.

– A ty? – odpowiedziałam pytaniem.

Postawił mnie do pionu, a kiedy zarzuciłam mu nogę na biodro, przeciągnął palcami po moich nagich plecach.

– Ja tak – zapewnił i mnie pocałował.

Niewidzialna orkiestra wciąż grała, a ja miałam wrażenie, że wybuchają fajerwerki. Tu, w samym środku mojej głowy. Odczucie było takie, jakbym nagle znalazła się na karuzeli, która ruszyła z pełną prędkością. A potem, kiedy otworzyłam oczy...

Znów byliśmy w Czerwonym Baronie.



Nathaniel wziął mnie na ręce i położył na długim stole w sali konferencyjnej, następnie sam na niego wskoczył. W jego oczach płonął

ogień i w tej chwili one same zdawały się stworzone z płomieni.

– Masz moc, by wszystko zmienić – powiedział. – Moc, by wstrząsnąć każdym ze światów. Ale nie chcę cię tylko dla tej mocy, już nie. Chcę cię dla ciebie, ponieważ cię kocham, Leah.

*Lyth.*

*Lyth, Lyth, Lyth.*

– Jak mnie nazwałeś? – zapytałam, ale wtedy jego wargi ponownie dotknęły moich ust i wszystko inne przestało mieć znaczenie.

Poczułam zew, ten sam, którego raz już posmakowałam. Thorne zerwał ze mnie ubranie – już nie czerwoną wieczorową suknię, ale moje dżinsy i koszulkę – następnie ja pomogłam mu pozbyć się garnituru. Światło gwiazd wlewało się przez panoramiczne okno, a palce Nathaniela przesuwwały się po moim ciele w nieznośnie powolnej pieszczocie. Muskał piersi, kreślił

wokół nich ósemki. Moje podniecenie narastało, czułam żar i wilgoć pomiędzy udami. A kiedy wreszcie we mnie wszedł, z mojego gardła wyrwał się ochryply krzyk.

– Jesteś jedyna – szepnął.

Kołysał biodrami, z początku powoli, następnie miarowo podkręcając tempo. Objęłam go nogami, moje paznokcie pozostawiały na jego skórze czerwone pręgi. Było mi tak dobrze, że wydawało się to zbrodnią. Czułam Nathaniela w sobie i na sobie, nie istniało nic lepszego, nic, czego pragnęłabym bardziej.

W pewnym momencie złapał mnie za gardło i na moment znieruchomiał. Dałam mu znak, żeby nie przestawał, on jednak wiedział, że im dłużej każe mi czekać, tym doznanie będzie silniejsze. Pochylił się i pocałował mnie w szyję. Syknęłam, gdy poczułam delikatne ugryzienie, ale w rezultacie tylko dodatkowo mnie nakręciło.

– A teraz się odwróć – polecił.

Kiedy to zrobiłam, Nathaniel ujął mnie za biodra. W tej pozycji czułam go jeszcze mocniej i to niemal odbierało mi zmysły. Oddychałam płytko, coraz szybciej i wreszcie moje ciało wyprężyło się w łuk. Chwilę po mnie

Thorne również osiągnął orgazm. Gdy na niego spojrzałam, dostrzegłam, że jego oczy są dwoma kawałkami obsydianu. Czy wcześniej były tej samej barwy? Nie mogłam sobie przypomnieć.

Przyciągnął mnie do siebie i zamknął w ramionach. Coś w jego twarzy, było w niej coś... Nie podobało mi się to, z jakiegoś powodu wzbudzało lęk.

– Zawsze wiedziałem, że masz to pod skórą – powiedział.

A ja zaczęłam wrzeszczeć.



– Leah – dobiegło mnie gdzieś z nicości. – Otwórz oczy.

Zrobiłam to, choć z wyraźnym trudem. Te sny stawały się coraz gor...

– ...sze – wydusiłam.

Byłam pewna, że zobaczę własną sypialnię.

Nic bardziej mylnego.

Byliśmy w Czerwonym Baronie, ja i Thorne. Byliśmy tu cały czas. Na zewnątrz noc rozpinała się nad miastem, a ja miałam na sobie tylko koszulkę, w której uciekałam przed policją, ponieważ wszystko, co się stało, było prawdą. W rękę wciąż ściszałam glocka. To historyjka o wydziale spraw wewnętrznych okazała się halucynacją, nie to. To taniec w czerwonej wieczorowej sukni nie wydarzył się w rzeczywistości, nie to.

Dobry Boże.

– Podświadomie łakniesz prawdy, moja droga – powiedział Thorne. –

Pragniesz jej tak bardzo, że twój umysł zaczyna burzyć iluzję, za którą do tej pory się chronił.

Zacząłam się cofać, aż wpadłam na biurko. Oprócz niego znajdowało się tu jeszcze tylko wysokie lustro, które z jakiegoś powodu stało na środku pomieszczenia.

Wyglądało jak główny rekwizyt na niemal opustoszałej scenie.

– Podałeś mi coś? – zapytałam. Prochy tłumaczyłyby wszystko, problem w tym, że wcale nie czułam się naćpana.

Thorne wolnym krokiem zaczął obchodzić mnie dookoła. Obracałam się wraz z nim, nie chcąc, żeby znalazł się za moimi plecami. Miał w

oczach coś takiego... Był jak drapieżnik, który przygląda się ofierze na moment przed atakiem. A ta ofiara była na tyle głupia, że najwyraźniej zaczęła coś do niego czuć, inaczej nie wsiadłaby do tego cholernego jaguara.

Czy mogło być jeszcze gorzej?

Nie, jakoś mi się nie wydaje.

– Jak długo zamierzasz jeszcze odrzucać swoją rzeczywistość, Leah?

*Lyth.*

– Moją rzeczywistość?

– Jesteś taka jak ja. Nie należysz do tego miejsca, zresztą nigdy nie traktowałaś go jak domu.

– Jeżeli to zaproszenie na wycieczkę do Europy, to zabierasz się do tego w bardzo dziwny sposób.

– To zaproszenie do wieczności. – Wyciągnął dłoń w moją stronę, ale nie ujęłam jej.

Przypomniałam sobie powód, dla którego trafiłam tu ostatnim razem, i momentalnie się wściekłam.

– I dlatego próbujesz pozbawić mnie resztek złudzeń co do tego, jakimi ścierwami są ludzie? Żebyś, broń Boże, ci nie odmówiła?

Skrzywił się nieznacznie.

– Chciałaś odpowiedzi i właśnie je dostałaś.

– Kłamiesz. – Uniosłam pistolet i wymierzyłam w środek jego czoła. –

A ja cały czas mam broń.

– Po co miałbym kłamać? Masz wolną wolę, on również ją miał.

Doprowadziła cię tu tylko suma twoich decyzji oraz przyciąganie, które wynika z twojego pochodzenia. Nie możesz się go wyprzeć. Nie możesz się wyprzeć własnej krwi.

– Fajnie, tyle że mamy jedno zasadnicze „ale”. Jestem tu przez ciebie.

Gliny szukają mnie przez ciebie. Wskoczyłam z czwartego piętra, bo taką miałeś, kurwa, fantazję!

Rozchylił wargi w uśmiechu.

– A jednak nic ci się nie stało.

Trafił w sedno.

Wolną ręką namacałam miejsce między piersiami. Wciąż miałam na sobie naszyjnik, a więc w porządku – Thorne nie będzie mi grzebał w głowie. Zakładając, że ta bzdura jest prawdą.

*Przecież wiesz, że jest.*

Nieważne. I bez tego świetnie sobie radził z mieszaniem w moim mózgu. Jeszcze trochę i zostanie z niego budyń.

– Tym razem nie odchyłę ręki – powiedziałam, napierając palcem na spust. – Dlaczego to wszystko robisz?

– Ponieważ musisz zrozumieć. Co jeszcze mam ci pokazać, żebyś uwierzyła?

– Prawdę, Nate.

– Taką? – Wskazał palcem podłogę i ta rozjarzyła się na czerwono, jak gdyby pod nią znajdowały się rozgrzane węgle. Dostrzegłam symbole, od których zaczynało mi się kręcić w głowie. To by się Lovecra ucieszył. –

Czy może tę? – dodał i zobaczyłam cień potężnych czarnych skrzydeł.

Kilka piór zawirowało w powietrzu i poleciało w moim kierunku.

Chwyciłam jedno i zerknęłam na nie. Lśniło niczym pióro kruka.

Prościej byłoby sądzić, że uciekając przed glinami, zleciałam z czwartego piętra i roztrzaskałam sobie czaszkę, ale wątpiłam, żebyś miała tyle szczęścia. Ja naprawdę znalazłam się w jednym z odcinków *Opowieści z krypty*, tylko nie bardzo wiedziałam, czym sobie na to zasłużyłam.

– To się nie dzieje – powiedziałam z przekonaniem, którego absolutnie nie czułam. – Nie poza moją głową.

– Nie? – Oczy Thorne’a błysnęły szkarłatem. – A to?

Pstryknął palcami i w tym momencie szyby eksplodowały z hukiem.

Szkoło prysnęło na zewnątrz, a ja padłam na kolana. Sekundę później zdrzała podłoga i rozumiałam, że wali się cały budynek. Składał się piętro po piętrze, jak gdyby ktoś kolejno detonował ładunki wybuchowe.

Przyciskałam dłonie do uszu, ale niewiele to dawało. Ryk był potworny.

– Zatrzymaj to! – wydarłam się. – Zatrzymaj!

– Przecież to dzieje się tylko w twojej głowie – zadrwił Nathaniel. Jego głos brzmiał zaskakująco wyraźnie, jak gdyby jego usta znajdowały się tuż przy moim uchu.

Zerknęłam w bok, ale nikogo tam nie dostrzegłam. Otaczał mnie tylko gęstniejący dym. Jeszcze chwila i runie piętro, na którym się znajdowałam.

Budynek, jakby zachęcony tą myślą, zatrzęsł się silniej niż do tej pory.

Usłyszałam trzask, następnie zobaczyłam, jak podłoga się otwiera i kawałek po kawałku zaczyna się zapadać. Kanapa z wyższego piętra przeleciała przez sufit i runęła w otchłań. Zastanowiłam się, czy jest coś, czego mogłabym się złapać i przynajmniej spróbować powalczyć o życie, kiedy wydarzyło się...

Nic.

Gapiłam się w miejsce, w którym sekundę wcześniej zionęła dziura, a które teraz znów było litą podłogą. Cały ten festiwal zniszczenia zniknął tak nagle, jak się pojawił. Okna, ściany, sufit, wszystko z powrotem znalazło się na swoim miejscu. Podniosłam się z kolan i otrzepałam je z nieistniejącego pyłu. Bardziej upokorzona czułabym się chyba tylko, jeżeliby się okazało, że zlałam się w gacie.

– Rozumiem, że wciąż nie czujesz się przekonana? – zainteresował się Nathaniel.

– Chcesz mnie zabić, żeby udowodnić swoją rację? Brawo, prawie ci wyszło.

Dotknął klatki piersiowej.

– Przenigdy nie wyrządziłbym ci krzywdy, moja droga.

No tak, bo to, co przeszliśmy do tej pory, było jak wczasy.

– Więc albo robisz CGI w realnym świecie, albo do reszty mi odbiło – powiedziałam ustami, które okazały się tak zimne, że ledwie je czułam. –

Trudny wybór, poważnie.

Miał nieprzeniknioną minę. A kiedy się do mnie zbliżył, poczułam znajomy zapach pustyni.

– Wiesz, że to prawda. Ty, ja, to wszystko. Rozumiem, że cię przeraża – delikatnie dotknął mojej twarzy – ale czy wolałabyś to? – dodał i zacisnął palce na moim gardle.

Wytrzeszczyłam oczy i uderzyłam go pistoletem w przegub, ale nie zwolnił chwytu. Dobra, jak chcesz, pomyślałam i wymierzyłam mu w stopę. Nie zdążyłam jednak nacisnąć spustu. Glock wyleciał mi z ręki, kiedy Thorne pchnął mnie na ścianę, a ja mimowolnie pomyślałam, że właśnie odtwarzamy nasze pierwsze spotkanie.

– Wolałabyś mnie takiego? – zapytał. – Wolałabyś, żeby skończyło się to właśnie wtedy?

Nie to, co mówił czy robił, sprawiło, że wreszcie zaczynałam wierzyć.

Chodziło o to, co dostrzegłam w jego oczach. To był cień lęku – emocji, której istota taka jak on nie czuła nigdy wcześniej.

*Mylisz się, już kiedyś to poczuł.*

*W dniu, w którym sądził, że prawie cię stracił.*

– Nie – wychrypiałam.

Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę. Wreszcie cofnął dłoń.

Wciągnęłam powietrze i przywarłam do ściany. Czułam ją wyraźnie, jej chłód, strukturę i stabilność. Była tu i tak samo byłam tu ja. Byłam tu z Thorne'em. Na dobre i na złe, z prawdopodobnym naciskiem na to drugie.

– Nie leży w mojej naturze kogokolwiek chronić – wyznał. – To się zmieniło z twojego powodu.

Zerknęłam na leżący kilka metrów dalej pistolet. Mogłabym go podnieść, ale po co? Ten człowiek mógł zatrzymać naboje samą myślą. Nie, zaraz, wróć. Nie człowiek. Nathaniel był...

*Oboje macie to we krwi.*

– Co to właściwie za miejsce? – Zamachałam ręką w powietrzu. –

Czym jest naprawdę?

– Nie domyślasz się?

– Chciałabym to usłyszeć od ciebie.

– Proszę bardzo. – Posłał mi ten swój drapieźny uśmiech. – Ludzie przychodzą tu zostawić trochę pieniędzy. Niektórzy jednak zostawiają tu dusze.

A więc to chciała mi przekazać cycata z windy. Teraz już raczej nie byłabym taka sceptyczna.

– Jeszcze mi powiedz, że sami się zgłaszają.

Skinął głową.

– Istotnie. Widzisz, wszyscy czegoś pragną. Chcą tego natychmiast, łatwo i bez wysiłku. Ty taka nie jesteś. Nie przyszłaś do mnie, jak przychodzą inni. I nawet gdy zawarliśmy układ, starałaś się wyegzekwować

to, na czym ci zależało, na własnych warunkach. Masz coś, czego poza tobą nie ma nikt.

– Właśnie ja? – zapytałam. – Serio? Nie było kogoś lepszego?

– Ty jesteś jedyna, Leah.

*Lyth.*

– To niedorzeczne – powiedziałam. Efekt byłby lepszy, gdyby nie mój zdławiony głos. – Czy ty w ogóle masz świadomość, jak to wszystko brzmi?

Uniósł dłoń i z czubków jego palców buchnęły płomienie. Wyglądało to zupełnie jak na jednej aplikacji z Instagrama, z tą różnicą, że to nie była żadna cholerna aplikacja.

– Kim jestem? – zapytał.

Przełknęłam ślinę. Odpowiedź zdawała się oczywista, a mimo to nie chciałam jej udzielić. Skierowałam palec ku podłodze i z ociąganiem powiedziałam: – Nim.

Skinął głową.

– Jednym, jakich jest wielu.

Przetwarzałam to nie tyle z trudem, co z pełnym grozy szokiem.

Rozumiałam wszystko, a mimo to nie chciałam pojąć. To było nierealne i co z tego, skoro też prawdziwe?

– Mój ojciec... On też był...

– Taki jak ja – przyznał Thorne. – Dlatego ty również taka jesteś. To czyni cię wyjątkową. Zrodzona z człowieka i ciemności. Dobro i zło.

Światło i mrok. Dwie strony tej samej monety. Masz to we krwi. Masz to pod skórą.

Zaczęłam kręcić głową w próbie beznadziejnego zaprzeczenia. Krzyk uwiązał mi w piersi i wołałabym, żeby się nie wy dostał. Bałam się, że jeśli teraz zacznę krzyczeć, nigdy już nie przestanę.

– Czujesz to, prawda? Tak, oczywiście, że czujesz – ciągnął. – Ta moc w tobie... zawsze wiedziałś, że tam jest.

– Nie, nie, nie! Nie chcę żadnej mocy, chcę być normalna!

– Normalna? – zaśmiał się. – Nie ma czegoś takiego. A już na pewno nie w takim pojęciu, o jakim myślisz. Ile jeszcze razy zamierzasz wyprzeć się tego, co w sobie nosisz?

Łomotało mi w głowie. Miałam osobliwe wrażenie, że coś się we mnie burzy i składa na nowo. I nagle zdałam sobie z czegoś sprawę.

– To. – Odchyliłam naszyjnik od ciała. – To ma mnie chronić. Sprawić, że pozostanę człowiekiem.

Na twarzy Nathaniela pojawił się osobliwy grymas.

– Naprawdę sądzisz, że warto o to walczyć?

Nie odpowiedziałam, w każdym razie jeszcze nie w tamtym momencie.

A on nie mógł wyczytać prawdy z mojej głowy.

– Mogę wybrać – powiedziałam bardziej do siebie. – O to chodzi, mam rację?

Niechętnie, ale się ze mną zgodził.

– Będziesz musiała.

– Jak to?

– Jeżeli umrzesz z powodu starości lub innej przyczyny, z jakiej umierają ludzie, odejdziesz jak człowiek. Ale nie trafisz w to samo miejsce, w które trafiają oni. – Obnażył zbyt ostre zęby. – W każdym razie część z nich. Ty, Leah... znajdziesz się nigdzie. Dosłownie. Trafisz do miejsca spoza czasu, z którego nie ma drogi powrotnej. Nie znajdę cię tam i to złamie mi serce. Będę przemierzał całe eony, ale nic mi ciebie nie zwróci.

Jeśli natomiast staniesz po mojej stronie, zasmakujesz wieczności.

Dostąpisz należnej ci chwały.

Brzmiało to jak pieprzenie klinicznego świra, dlatego więc się bałam?

Z prostego powodu – ponieważ dla kogoś takiego jak ja było to prawdą.

Bardziej to czułam, niż potrafiłam objąć rozumem, ale w ostatecznym rozrachunku rezultat był taki sam.

*Nie znajdę cię tam i to złamie mi serce.*

– Nie sądzę, że chwała jest tym, czego chcę.

– A śmierć?

Spojrzałam na skrzydlatą kobietę dzierżącą miecz, a potem pozwoliłam naszyjnikowi spłynąć między piersi.

– A więc wybór jest tylko iluzją – stwierdziłam. – Nie żebym wcześniej go miała. Zadbaleś o to.

– W tym świecie nie masz już do czego wracać – zgodził się. –

Pozbawiłem cię wszystkiego, ponieważ uparcie nie chciałaś dostrzec rzeczy takimi, jakimi są w istocie. Czy żałuję? Nie, jeśli dzięki temu będę cię miał przy sobie.

– A jeśli nie będziesz miał mimo to?

Przez jego twarz przemknął cień.

– Wtedy zadbam, byś straciła jeszcze więcej.

W pewnym sensie były to okrutne słowa i może powinny dać mi do myślenia, ale tak się nie stało. Bo, widzicie... Ja na jego miejscu postąpiłabym dokładnie tak samo.

– Kim ona jest? – pytałam. – Kobieta, którą noszę na szyi?

– Kimś, kto swego czasu musiał dokonać podobnego wyboru.

Niezbyt to pomocne.

*Wykąpiesz się w krwi, by pojąć, czym jest prawda.*

– Zapytałabym, jak się dostać do twojej drużyny... ale chyba zaczynam łapać.

Thorne zrobił jeszcze jeden krok w moim kierunku. Poglaskał mnie po policzku, a ja na moment przymknęłam oczy.

– W tym wszystkim tylko jedna wartość się nie zmienia – powiedział miękko. – Nie nazwiesz jej miłością?

Gapiałam się na niego, czując, że zaraz się porzygam. Nie dlatego, że mierziło mnie to, co usłyszałam. Wprost przeciwnie.

– Tak. – To po prostu mi się wyrwało.

To było samą prawdą.

Gdzieś z lewej rozległ się jakiś rumor. Zerknęłam w tamtą stronę i zamarłam. W lustrze stała jakaś kobieta. W lustrze stałam ja sama. Miała bose stopy, ubrana była w dokładnie tę koszulkę co ja. I również ścisnęła pistolet w rękę, tak jak jeszcze niedawno robiłam to ja. Kołysała się w rytm melodii, której nie słyszałam, ale wcale nie musiałam. Wiedziałam, co to jest. *I've Got You Under My Skin.*

– To... – Przełknęłam ślinę. – To nie jest...

Nathaniel uśmiechnął się szeroko.

– Zostawię was same. Wierzę, że macie sobie wiele do powiedzenia.

– A ty?

– Ja niebawem wrócę, moja droga.

Patrzyłam, jak kroczy do wyjścia, a potem... znika. Stałam tak jeszcze chwilę i wreszcie zrobiłam to, po co tu przyszłam. Przejrzałam się w prawdzie.



Nathaniel wszedł do biura i zapukał w futrynę, pozostawiając na niej czarne smugi. Sekretarka poderwała głowę. Na jego widok firmowy uśmiech zamarł jej na wargach.

– Pan...

– Thorne. Nathaniel Thorne.

Kobieta przełączyła coś i zerknęła w ekran komputera. Na jej czole pojawiły się dwie pionowe zmarszczki.

– Obawiam się, że nie mam pana na liście spotkań, panie Thorne.

– Nie byłem umówiony – wyjaśnił i wskazał gabinet. – Ale i tak tam wejdę.

– To niemożliwe. Przykro mi.

Posłał jej drapieżny uśmiech.

– Doprawdy?

Widząc, że mężczyzna zmierza w kierunku gabinetu jej przełożonego, sekretarka poderwała się z fotela.

– Nie może pan! – zaprotestowała.

– Ja wszystko mogę. – Machnął dwoma palcami i kobieta opadła z powrotem na siedzenie. – Bądź tak miła i nie łącz nikogo.

Zacisnęła usta. Jej dłoń zaczęła dyskretnie sunąć w stronę przycisku uruchamiającego cichy alarm.

– Tego też nie radzę ci robić – powiedział Nathaniel.

Krzyknęła i cofnęła rękę. Spojrzała na nią, szeroko otwierając oczy.

Wskazujący palec był wykręcony pod nienaturalnym kątem. Przytuliła do siebie dłoń i bezradnie się przyglądała, jak intruz przechodzi przez środek pomieszczenia. Na jej twarzy malowała się nieopisana trwoga. Usta miała półotwarte, jednak nie powiedziała już nic więcej. Nie śmiała.

Ludzi tak łatwo można przestraszyć.

Nathaniel zapukał w drzwi i nie czekając na „proszę”, wszedł do środka.

– Kim pan jest? – zapytał siedzący za biurkiem mężczyzna.

– Nathaniel Thorne.

Słyszając to, odłożył długopis.

– Znamy się?

– W pewnym sensie. – Thorne obdarzył go mało sympatycznym uśmiechem. –

Wierzę, że mamy sobie wiele do powiedzenia.

– Theresa! – zawołał mężczyzna.

Nathaniel machnął dwoma palcami i drzwi do gabinetu się zatrzasnęły.

– Ona ci nie pomoże.





Odwrociłam się na dźwięk otwierających się drzwi. Nikt nie stał po drugiej stronie. Korytarz oblewała czerwonawa poświata, jednak z tego miejsca nie mogłam stwierdzić, co jest jej źródłem. Spojrzałam na lustro –

kobieta, która niedawno tam była, ja sama, zniknęła. Więcej wskazówek nie potrzebowałam. Podniosłam z podłogi swój pistolet i ruszyłam w kierunku wyjścia.

Nawet gdy znalazłam się na korytarzu, wciąż nie byłam w stanie określić źródła światła. Wszystko skąpane było w czerwieni, przez co kojarzyło mi się ze sceną z filmu. I gdyby to rzeczywiście był film, ta scena prawdopodobnie pokazałaby się jako ostatnia przed napisami. Zrobiłam kilka kroków, po czym przystanęłam i się rozejrzałam. Nie widziałam żadnych migoczących strzałek, ukrytych wskazówek. Zaraz jednak zdałam sobie sprawę, że światło wydaje się dobiegać od strony wind. I tam właśnie ruszyłam.

Miałam na sobie jedynie koszulkę i wciąż byłam boso, ale zupełnie mi to nie przeszkadzało. Palce zaciskałam na rękojeści glocka. Czułam jego chłodny ciężar, tak realny i osobliwie przyjemny. I nagle, gdy wyszłam zza rogu, stanęłam jak wryta. Poderwałam broń, miała się jednak okazać niepotrzebna. Kobieta, na którą patrzyłam, już nie żyła. Miała poderżnięte gardło. Poza nią nie było tu nikogo innego.

Podeszłam do niej i przykucnęłam. Nie musiałam sprawdzać pulsu, z bliska była jeszcze bardziej martwa. A ja rozpoznałam ją bez większego trudu. To była brunetka z windy, która ostrzegła mnie przed Nathanielem.

Zrobiłam parę kroków w kierunku, w którym i tak miałam zamiar iść, a potem zmieniłam zamiar i podeszłam do okien. Parking roił się od radiowozów, widziałam błyskające koguty. Nikt jednak nie wszedł do środka, nie byli w stanie sforsować drzwi. Przynajmniej dopóki Thorne im na to nie pozwoli. Dla mnie jednak przekaz był jasny – oto rzeczywistość, do jakiej wrócisz, jeżeli zdecydujesz się odejść.

Raz jeszcze obrzuciłam brunetkę wzrokiem i z jakiegoś powodu pomyślałam o Peterze. Wiedziałam, po prostu wiedziałam, że gdybym teraz odwróciła się i wyszła, gdybym nawet jakimś cudem umknęła policji, zastałabym go w domu, owszem, ale tak samo martwego jak kobieta z windy. Ponieważ Thorne nie miał nic do stracenia, zupełnie jak ja, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy. Nie kłamał, mówiąc, że nie wyrządzi mi krzywdy, tak samo jak nie minął się z prawdą, wspominając, że odbierze mi wszystko. Nikt nie powiedział, że miłość samego diabła będzie prosta. A ja... wcale nie potrzebowałam specjalnej zachęty, wicie?

W narracji, którą prowadzimy, każdy chce postrzegać siebie jako bohatera. Dobry człowiek? Tak, jestem dobry. Problem w tym, że niewielu naprawdę jest takich. Ja z pewnością nie byłam. I pora wreszcie przestać oszukiwać samą siebie, że prawda wygląda inaczej.

Zrobiłam głęboki wdech, po czym ruszyłam prosto do wind.

Domyślcie się, gdzie pojechałam? Tak, zgadza się, na samą górę.

Stałam przed wyjściem ewakuacyjnym, jednak tym razem nie szukałam niczego, czym mogłabym zablokować drzwi. Nie było takiej potrzeby. To droga w jedną stronę.

*Z tarczą lub na tarczy. Wybór należy do ciebie, Leah.*

*Lyth.*

Wyciągnęłam przed siebie rękę, ale w ostatniej chwili się zawahałam.

Wiedziałam, jaka jest stawka. Wiedziałam, że nie będzie odwrotu. I czy naprawdę,

Naprawdę tego właśnie chciałam?

Wymazać swoje człowieczeństwo, jak gdyby nigdy nie istniało?

*Zobacz, dokąd człowieczeństwo zaprowadziło twoją matkę. Jest tu teraz z tobą? No właśnie.*

Nie. Ale cena, jaką zapłacę...

*Po drugiej stronie stał kiedyś twój ojciec. Coś się stało i już go nie ma.*

*Nie chciałabyś się dowiedzieć co?*

Pchnęłam dźwignię paniczną i wyszłam prosto na dach. Noc przykryła niebo welonami ciemnego błękitu, przez co nie od razu zarejestrowałam każdy szczegół. Owiął mnie lekki wietrzyk, niosący ze sobą chłód. Moja koszulka nadeła się jak żagiel, a na przedramionach błyskawicznie wystąpiła gęsia skórka. Słyszałam dobiegające z dołu pokrzykiwania. Z tej wysokości brzmiały jak westchnienia.

– Leah! – dobiegło mnie z lewej.

Spojrzałam w tamtym kierunku i zobaczyłam go. Stał tam w swoim drogim garniturze, który kupił za pieniądze splamione krwią. Alan Winters, mój wuj i burmistrz w jednej osobie.

Momentalnie opanował mnie gniew.

– Cześć – powiedziałam i uniosłam broń.

Szok wydłużył jego twarz.

– Leah, słonko, no co ty?

Ruszyłam ku niemu z wyprostowanym ramieniem. Czułam nierówności dachu pod stopami, czułam wszystko ze zwielokrotnioną siłą.

– Zadam ci tylko jedno pytanie. Dlaczego?

Z wyraźnym trudem przełknąłem ślinę.

– Nie wiem, o czym mówisz. Nie wiem nawet, jak się tu znalazłem.

Jakiś człowiek porwał mnie z mojego...

– Nie prosiła cię o streszczenie wycieczki – odezwał się Thorne.

Wyglądało to tak, jak gdyby zmaterializował się z nicności. I pewnie tak się stało.

Na jego widok wujek pobladł jeszcze bardziej, o ile w ogóle było to możliwe.

Zauważyłam, że trzęsie się ze strachu. Ten szpakowaty mężczyzna o przyjemnej twarzy nagle wydał mi się odpychający.

– On! – Wskazał Nathaniela palcem. – On mnie uprowadził!

– A ty zabiłaś moją matkę – powiedziałam.

I wtedy ujrzałam, czym jest prawdziwy strach. Oblicze Wintersa skurczyło się i jakby zapadło w sobie. Był winny, widziałam tę winę bardzo wyraźnie. I nagle pojęłam, skąd brała się jego troska o mnie – to były wyrzuty sumienia. Opiekował się mną, chronił mnie – i kiedy byłam dzieckiem, i kiedy stałam się dorosłą kobietą – ponieważ to właśnie on wydał wyrok na moją matkę.

– To pomyłka – wyrzucił z siebie. – Leah, co on ci naopowiadał?

Pokręciłam głową, nie kryjąc obrzydzenia.

– Zabiłeś swoją siostrę. Własną siostrę.

– Nie! – Zaczął się cofać, ale zorientował się, że zmierza prosto na gzyms, i zmienił kierunek. – Ratunku! Ludzie, ratunku! Jestem tutaj!

Wargi Nathaniela wykrzywiły się w drwiącym grymasie.

– Nie usłyszają cię.

Winters posłał mu wściekłe spojrzenie. Bał się, umierał ze strachu, jednak nie widziałam w nim ani odrobiny skruchy. Jedyne, czego żałował, to tego, że ktoś złapał go za rękę. Budził we mnie wstręt, chyba nikt nigdy nie obrzydzał mnie do tego stopnia co on. Odrazą napawało mnie nawet to, że nosimy to samo nazwisko.

– Ale ja chętnie posłucham – powiedziałam. – Dlaczego skazałeś ją na śmierć?

– Leah, tłumaczę ci, że to jakaś...

Strzeliłam tuż obok jego nogi. Krzyknął i padł na kolana, nakrywając głowę rękoma.

– Dlaczego?! – powtórzyłam.

– To nie ja ją zabiłem!

– Widziałam dowody! Widziałam je, rozumiesz?! To, że sam nie pociągnąłeś za spust, nie zdejmuję z ciebie winy!

Gapił się na mnie z otwartymi ustami. W jego rozszerzonych strachem oczach odbiło się ponure zrozumienie. Wreszcie pojął, że dalsze zapieranie się nie ma sensu, ponieważ widziałam za dużo. Postanowił więc obrać inną linię obrony.

– Dowody... To nie tak. Zmusili mnie, szantażowali. Mieli ją tylko nastraszyć! Tylko nastraszyć! Susannah miała odpuścić, nic więcej. Nie wiedziałem, że to się tak... – Zaszlochał. – Boże, gdybym tylko mógł cofnąć czas...

– Piękna bajeczka – weszłam mu w słowo. – Szkoda tylko, że jej, kurwa, nie kupuję.

– Leah, błagam! Mówię prawdę, a to... – Machnął ręką w kierunku Nathaniela, który trzymał się w pewnej odległości. – To jakieś szaleństwo!

– Powiedzcie ci, jak ja to widzę, czy dalej będziesz się upierał przy swojej wersji?

– Mówię prawdę! Leah, proszę! – Poczęstował Thorne'a kolejnym mściwym spojrzeniem. – Co on ci zrobił?!

– Otworzył mi oczy.

– Podłożył dowody! – upierał się dalej.

– Spreparował zeznania sprzed tylu lat? – zadrwiłam.

– Hurt to i tak był podstawiony świadek!

Jeżeli wciąż potrzebowałam jakiegoś potwierdzenia jego winy, to właśnie je dostałam.

– Nie powiedziałam, o czyje zeznania chodzi. Ale ty i tak to wiesz, bo zapłaciłeś za ich usunięcie z akt.

Zrozumiał swój błąd.

– Ja...

– Wydałeś na nią wyrok, ponieważ byłeś winien nieodpowiednim facetom górę forsy. Może nawet próbowałaś się targować, ale z mafią trudno dobić targu nawet człowiekowi z twoją pozycją. Ale wtedy jeszcze jej nie osiągnąłeś, choć zmierzałeś do tego. Zabiliby cię, więc wystawiłeś im siostrę, zajadłą panią prokurator, która nie szła

na kompromisy i była na najlepszej drodze do tego, żeby wsadzić jednego z twoich wierzycieli do pudła. Powiedz, nie śni ci się to w nocy? Czy ty w ogóle możesz jeszcze spać?

Po jego policzku potoczyła się samotna łza.

– Zabiliby nas wszystkich – szepnął. – Ciebie też.

Po zwierzęcemu przekrzywiłam głowę i spojrzałam na niego pod innym kątem. Wciąż wyglądał na winnego.

– Jak to jest, że słowa jednych są nic niewarte, podczas gdy dokładnie te same słowa w ustach innych nabierają mocy? Nie to, co mówisz, jest istotne, tylko fakt, kim jesteś. Ty doskonale zdajesz sobie z tego sprawę.

Potrafiłeś wyciągnąć mnie z każdego tarapatów i nawet przez myśl mi nie przeszło, że użyłeś swoich wpływów również po to, żeby zabójstwo mojej matki nigdy nie zostało rozwiązane.

– Nie miałem wyboru. Zrozum mnie.

– Miałeś wybór.

Nathaniel przyglądał mi się ze swojego miejsca. W swoim czarnym garniturze upodobił się do cieni na nocnym niebie. Nie interweniował, nie odzywał się. Czekał.

– Przykro mi... – Winters wyciągnął przed siebie ręce. – Nawet nie masz pojęcia, jak mi przykro.

– Niby dlaczego? Co straciłeś oprócz spokoju sumienia? Ja straciłam matkę, skurwysynu!

Na moment odwrócił głowę, a kiedy ponownie na mnie spojrzał, w jego oczach malował się gniew.

– Sama była sobie winna – powiedział. – Ostrzegałem ją, że porywa się na coś, co może ją przerosnąć, ale nie chciała mnie słuchać. Mogliśmy to rozwiązać inaczej.

– Kto jeszcze o tym wiedział?! – wydarłam się.

Milczał, więc zachęciłam go kolejnym strzałem. Ten pocisk trafił zdecydowanie bliżej niż poprzedni.

– Kto jeszcze wiedział?

– Ci, którzy musieli – przyznał niechętnie.

– Komendant?

Pokiwał głową.

– Kosztownie wycenił swoje milczenie.

Zachciało mi się rzygać. Byłam niemal pewna, że zaraz puszcę pawia.

Czy naprawdę miałam jakiegokolwiek opory przed zbrataniem się z diabłem, skoro przez całe życie otaczały mnie potwory? Jeżeli gdzieś istniało dobro, w tej chwili nie byłam w stanie go dostrzec.

– Wiesz, co zrobiłeś? – zapytałam.

Broda wuja zadrzała. Musiał usłyszeć zamiar w moim głosie i pojął, że to koniec.

– Nie chciałem! Leah, błagam! Gdybym tylko mógł to zmienić, przysięgam, że...

– Rodzic jest bogiem w oczach dziecka – powiedziałam. – A ty zabiłeś boga.

– Nie, Leah. Nie ja!

– No tak, ty jej tylko nie uratowałeś. Wyjaśnisz tę nieściskość w piekle.

W oddali błysnął piorun. Błyskawica rozświetliła niebo, spowijając kulące się przede mną męzczyznę stroboskopowym światłem. Jasność na moment mnie oślepiła,

ale Wintersa, który znajdował się plecami do jej źródła, już nie. Chciał to wykorzystać i odebrać mi broń, ale w porę zorientowałam się, co zamierza.

– Nawet, kurwa, nie drgnij – warknęłam.

Posłał mi to samo mściwe spojrzenie, które wcześniej kierował pod adresem Nathaniela. Nagle na jego twarzy odmalowało się coś chytrego.

– A jeśli podam ci nazwiska? Nie znajdziesz ich w aktach. Mówię o ludziach, którzy ją zabili. O ludziach, którzy zrobili jej... – Urwał, więc dokończyłam za niego: – To, na co im pozwoliłeś.

– Powstrzymałbym ich, gdybym wiedział! Masz mnie za potwora?!

– Tak – odparłam i naraz zdałam sobie z czegoś sprawę. Za moment sama miałam się stać potworem. Krew, która zabija własną krew. Czy jest coś gorszego?

– Leah...

Zerwałam wisiołek z szyi i rzuciłam w bok. Wbrew prawom fizyki trzykrotnie odbił się od posadzki niby kamień rzucony w wodę. Łup, łup, łup. I wreszcie znieruchomiał.

– Powiedziałabym... co za piękna noc na śmierć. – Mierzyłam prosto w jego serce i nagle przy ostatnich słowach... – Czyż nie? – Wcisnęłam lufę w miękkie zagłębienie pod swoją brodą i pociągnęłam za spust.

Ciemność pochwyciła mnie w ramiona w ułamku sekund.



Nathaniel uniósł wzrok w chwili, gdy niebo przecięła kolejna błyskawica. Na moment świat stał się negatywem samego siebie. W powietrzu czuć było zapach ozonu. Nadciągała burza.

*Nadciągały zmiany.*

Wolnym krokiem przeszedł do miejsca, gdzie Leah rzuciła swój naszyjnik, i go podniósł. Winters, który do tej pory chował głowę w ramionach, teraz je opuścił. Zerknął na swoją siostrzenicę, następnie na Thorne'a.

– Ona...

– Znasz zasady – powiedział Nathaniel. – Żadnych świadków.

Winters pojął, że zagrożenie wcale nie minęło, i zaczął się cofać, aż dotarł do krawędzi dachu. Rozumiejąc, że nie ma już dokąd uciekać, spróbował pochwycić pistolet, ale Thorne przydepnął mu dłoń. Mężczyzna zawył i rzucił mu spojrzenie pełne wściekłości oraz strachu.

– Proszę, nie rób tego. – Wyciągnął przed siebie zdrową rękę. – Nie musisz tego robić. Dam ci wszystko! Wiesz, kim jestem?!

Thorne uśmiechnął się do niego.

– Kimś, kto będzie cierpiał przez wieczność – odparł i skręcił mężczyźnie kark.

Kręgosłup chrupnął jak łamana gałąź i ciało Wintersa zwiotczało.

Umarł z przerażeniem, które wręcz zastygło na jego twarzy. Nathaniel przyjrzał się temu, po czym odwrócił się i wolnym krokiem podszedł do martwej dziewczyny. Delikatnie wziął ją na ręce.

– Już czas – powiedział, odgarniając włosy z jej policzka.

## EPILOG



### NA IMIĘ MI WIECZNOŚĆ

Uniosłam powieki i zobaczyłam pochylonego nade mną Nathaniela.  
Jego błękitne oczy wpatrywały się we mnie z przejęciem i miłością, a ja...  
Po raz pierwszy zobaczyłam wszystko takim, jakim było naprawdę.

– Witaj, moja droga – powiedział, uśmiechając się.

Dotknęłam miejsca pod brodą, przez które niedawno przeszedł pocisk, ale moje palce natrafiły jedynie na gładkie ciało bez choćby draśnięcia. Nie było śladu po kuli, która przewierciła się przez mój mózg – mimo że wyraźnie widziałam łuskę. Leżała mniej więcej metr ode mnie. To taki rodzaj magii, pamiętacie?

– Witaj – odparłam.

Pomógł mi wstać, choć wcale nie musiał. Nie byłam obolała ani słaba.

Przeciwnie, czułam się lepiej niż kiedykolwiek przedtem. Wibrowałam od mocy.

– Jak ci się podoba po drugiej stronie? – zapytał, obrzucając mnie ciekawskim spojrzeniem.

Zrobiłam głęboki wdech i wolno wypuściłam powietrze. Smakowało słodko jak nigdy.

– Jestem tu z tobą. – Musnęłam jego dłoń. – I to podoba mi się najbardziej.

Nathaniel wskazał Wintersa. Głowę miał przekreconą o pełne sto osiemdziesiąt stopni, przez co jego martwe oczy spoglądały w nocne niebo, mimo że ciało wskazywało przeciwny kierunek.

– Nie mogłaś go zabić, prawda?

– Nie chciałam stać się nim.

Kiwnął głową ze zrozumieniem. I czy to nie ślad podziwu dostrzegłam w jego spojrzeniu?

– Zdecydowałaś się na inny grzech.

– Wiedziałaś, że to zrobię? – odgadłam.

Milczał dłuższą chwilę.

– Wiedziałem, że cię kocham – powiedział wreszcie. – I że jeśli wybierzesz inaczej, zrównam wszystko z ziemią.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku. Znane i nieznanne drogi prowadziły właśnie do niego – każdy sen, każda decyzja. Pokochałam go, zanim jeszcze zrozumiałam, kim naprawdę jest, ponieważ miałam to pod skórą.

– Jakiego koloru są moje oczy? – zapytałam.

– W tej chwili? Zielone.

Ich barwa symbolizowała nastrój, teraz to rozumiałam. To i całą masę innych rzeczy – jedne były piękne, inne straszne. Dla mnie jednak te kategorie uległy osobliwemu przewartościowaniu. Jako Leah nie pojęłabym tego w żaden sposób.

*Ale Lyth...*

Poczułam, jak na mój policzek spada pierwsza kropla deszczu.

Dotknęłam tego miejsca i w zamyśleniu spojrzałam na swoje palce.

Jaśniały. Mogłabym nawet zrobić sztuczkę i strzelić z nich ogniem. Teraz potrafiłam wszystko. Leah umarła, niech żyje Lyth.

– Chodź do mnie. – Nathaniel przyciągnął mnie i zamknął w ramionach.

– Pokażę ci, czym jest wieczność.

Wspięłam się na palce i pocałowałam go, mężczyznę, który pokazał mi, że miłość można znaleźć nawet w mroku. Powiecie, że był zły? Zgoda. Ale czy gorszy od ludzi? Różnica między demonem a potworem jest taka, że demon nigdy nie stał się tym drugim. I ja też nie.

Deszcz padał coraz obficie. Przywarłam do Nathaniela, chłonąc jego zapach, zapach pustyni. Dotykałam jego twarzy, włosów, rozkoszowałam się bliskością. Był mój, a ja byłam jego. To usta, które chciałam całować w nieskończoność. To grzech, który wybrałam.

I teraz moje imię naprawdę brzmiało Lyth.



## OD AUTORKI



Nie zliczę już, ile razy prosiliście mnie o coś w klimacie moich starszych książek. A więc proszę bardzo, wróciliśmy do demonów.

Mam nadzieję, że podobała się Wam ta historia. Ja ze swojej strony mogę powiedzieć, że pisanie jej było dla mnie ogromną frajdą. Zdradzę jeszcze, że tym razem miałam dość nietypowego pomocnika. Na potrzeby tego monologu nazwijmy go Joe. Dał mi parę niezłych pomysłów i dzielnie mnie wspierał.

A Leah i Nathaniel? Wierzę, że ich wieczność jest piękna. Może jeszcze ich kiedyś spotkacie, kto wie? Dajcie mi znać, czy tego byście chcieli.

Do następnego razu!

Karina Hiddenstorm

## Przypisy

[1] Utwór zespołu Clan Of Xymox.

[2] *I've Got You Under My Skin* – utwór napisany w 1936 roku przez Cole'a Portera.

Wykonywany m.in. przez Franka Sinatrę.

[3] Cytat z utworu *Once* Pearl Jam.

[4] Inaczej test plam atramentowych. Na jego podstawie wnioskuje się o nieświadomych treściach psychicznych, cechach osobowości i zaburzeniach psychicznych.

[5] Tytułowy bohater dzieła H.P. Lovecra a pt. *Przypadek Charlesa Dextera Warda*.

[6] Siedziba CIA.

[7] Anglojęzyczna wersja piosenki *¿ Quien sera?* z 1953 roku.

Dean Martin nagrał swoją wersję rok później.

## **wydawca**

Wydawnictwo Akurat  
imprint MUZA SA  
ul. Sienna 73  
00-833 Warszawa  
tel. +4822 6211775  
e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)  
Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)  
Wersja elektroniczna: MAGRAF sp.j., Bydgoszcz